

# Ostatnia kohorta tom 2

Łysiak Waldemar



calibre 0.7.14

Waldemar Łysiak

Ostatnia kohorta

Tom 2

2005

Gdy zbliżyliśmy się do Vicetii, skąd prowadziła ku wschodowi Via Postumia, Fulwiusz chciał ominąć miasto, lecz setnik Adaloald, Got, którego dał nam komes Egfrid, rzekł:

- Panie, tam wśród straży biskupiej służy mój bratanek Liutperd, bystry chłopak. Zezwól mi jechać i pogadać z nim. Wypytam czy szedł przez miasto, albo blisko miasta, wasz wróg, Seranus Cimber, i czy da się w Vicetii uzupełnić zapasy, bo mąki długo już nie starczy, wkrótce będzie krucho.

Fulwiusz wyraził zgodę. Adaloald wziął czterech gockich wojów (ci czterej zostali przy nim, gdy reszta danych nam Gotów wróciła już - zgodnie z umową - do Egfrida; opuścili nas koło Ariminum). Pojechał także Rega, i wziął ze sobą mnie tudzież Atenajosa, licząc, że mnich znający gwary barbarzyńców usłyszy w mieście więcej.

Fałszywie noszony przez Adaloalda pierścień króla Teudeberta łatwo uchylał ostrogockie drzwi i bramy, dlatego rychło Got przyniósł Redze wiadomość, że dowódca straży miejskiej i majordom biskupa zezwalają nam stanąć obozem w zakolu rzeki biegnącej meandrami wzdłuż calutkiego podgrodzia. Rega kiwnął głową:

- Uwiadom trybuna, Adaloaldzie. My tu jeszcze będziemy się kręcić, zejdziemy miasto, i przed zmierzchem trafimy do obozowiska.

Nie wiem czy w jego decyzji tkwiło więcej rozwagi (chęci spenetrowania grodu), czy więcej nostalgii (chęci powdychania smrodu miejskiego). Może to drugie, bo nie zazналиśmy wnętrza gwarne go miasta już od kilku tygodni, i niektórych (mnie również) trawiła tęsknota do „*urbs*”. Tutaj bazaltowe chodniki nie były tak szerokie jak w Rzymie, gmachy (piętrowe pudła z kamieni gabińskich) tak wysokie, a wille (rezydencje z marmurów i trawertynów) tak okazałe, dużo widzieliśmy drewna i prowincjonalnej lichoty - lecz jednak było to duże miasto. Rozebrany amfiteatr posłużył biskupom do wzniesienia z pogańskich gładów katedry, dawniej katolickiej, teraz zaś ariańskiej, tudzież pałacu biskupiego. Ulice („*itinery*” dla pieszych i „*actusy*” dla fur) tętniły pulsem roju. Zwłaszcza deptaki handlowe wokoło forum, prowadzące wzdłuż niskich ceglanych budynków zawierających sklepy, gdzie wszystkim handlowano; były tu nawet baseny rybne z wodą, którą doprowadzał akwedukt. Rega wypytał o ceny wina, mąki i oliwy; później udaliśmy się do latryny publicznej, którą chłodziła fontanna; następnie zasiedliśmy w gospodzie, by odpocząć od tułaczki i przypomnieć sobie kuchnię wielkowiejską. Dziewki, które zaczepiały każdego gościa, przepędzaliśmy machnięciami rąk, jak przepędza się muchy ze stołu, lecz nikt nie machnął ręką kiedy przysiadł się bezczelny kleryk. Miał lisią gębę, całą cętkowaną od starych wrzodów, i seplenił, bo brakowało mu zębów na środku pyska. Gdyby zobaczył go Marcipor, mruknąłby: „- *Żle*”, węsząc kłopoty. Kleryk zagadnął Atenajosa obcesowo:

- Salve\* [\* - Bądź pozdrowiony (łac).], braciszku! Widać, żeś świeżo przybyły, bom ja tutejszy i wszystkich tutaj mnichów znam, rudych także...

Zawiesił głos, czekając odpowiedzi. „*Avis*” wytrzeszczył nań wzrok i spytał:

- Wolisz wino słodkie nocą, czy wiatr północny o poranku?

Tamten zdębiał, a Rega burknął:

- Zostawcie go, dobry człowieku, to wariat.

Intruz zwięził chytre ślepie:

- Ale nietutejszy wariat! Tutejszych znam co do jednego...

- Nietutejszy, wędrowny.

- Wędrowny wariat, no, no! Przebrał się w habit dla hecy wędrownej, czy dla hecy wariackiej?

- Nie, to biedny mnich, któremu złośliwe fata pomieszały rozum. Jego klasztor spalono.

- Który klasztor?

- Qho - rzekł „*Avis*”.

- Co on gada? - spytał intruz.

- Powiedział nazwę swego monasteru.

- Znam wszystkie klasztory. Takiego nie ma.

- Może i nie ma - wzruszył ramionami Rufus. - Ja nie znam się na klasztorach. Spotkaliśmy biedaka w drodze i razem wędrujemy.

- A dokąd?

- Dokądkolwiek. Gdzie bogowie prowadzą.

- Bogowie? Jednego czcimy Boga, jednego jedyne go na niebie i ziemi, wszechobecnego Stworzyciela... - uśmiechnął się znowu tamten. - Mówiąc o bogach, wskazujesz, wędrowcze, ilu pogańskich bogów?... Toż przecie tylko pogaństwo dawnej Romy mnożyło bogów. Czyżbyś uprawiał bałwochwalstwo?

- Skąd! - prychnął Rega. - Mówię o dwóch Bogach: o Chrystusie i o Jego Przedwiecznym Rodzicielu. Dwóch to chyba liczba mnoga, klecho? Mam prawo!

Palnął błąd, choć zdawało mu się, że wybieg jest celny. Kleryk pokazał resztki zębów, tym razem już się nie śmiejąc:

- Tu nie rządzi katolickie prawo papieża o Trójcy Świętej, lecz nasze ariańskie kościelne prawo o jedynym Bogu, które neguje boskość Chrystusa, przybłądo! A już wywoływanie dawnych rzymskich bóstw jest tu karane gardłem!

Rega chwycił kubek, łyknął wina i udając lekko podchmielonego starał się wybrnąć z sytuacji:

- Czepiasz się gminnych słów, przyjacielu! Kiedy ktoś westchnie: „- *O bogowie!*”, wlepisz mu bałwochwalstwo? Tak się potocznie gada! Gdy ja ci rzeknę, iż wędrując śpimy często „*sub Jove*”\* [\* - Pod Jowiszem, czyli pod gołym niebem (łac).], weźmiesz mnie za czciciela Jowisza, klecho? To bez sensu.

- Wielobóstwo jest bez sensu! - wyseplenił wściekle tamten.

- Całkowicie się w tej kwestii z tobą zgadzam - przytaknął Rufus. - Mnogość wiar czyni jakby żadnej wiary nie było. Masz rację. Napij się z nami.

- Innym razem... - rzekł kleryk, wstając. - Czas mi już. Darujcie, żem zaczepił was i zagadał, ale to z ciekawości jeno, bom zoczył nowego mnicha w grodzie... Szczęśliwej wędrowki.

- Wolisz hodować gołębie, czy pryszczę na gębie? - spytał go rymem Atenajos.

Dziobata twarz kleryka pobladła jak uderzona, lecz nic nie rzeki, tylko odwrócił się gwałtownie i wyszedł z gospody.

- To mi brzydko zalatuje - mruknął Rega. - Zmykajmy stąd. Nie frontem, przez podwórzec!

Wymknęliśmy się tyłem, od tyłu weszliśmy też do stajni, i czym prędzej ruszyliśmy w stronę rzeki, by szukać obozu. Gdy zbliżyliśmy się ku jej brzegom, ujrzeliśmy obóz Fulwiusza na wyspie! Między brzegiem a obozem biegł nurt rzeki! Przy samym brzegu warowała hurma grodzkich łuczników i kopijników, ni podejść. Chcieliśmy się cofnąć, lecz było za późno, bo opadł naszą trójkę rój jeźdźców.

- Z siodeł! - ryknął ich setnik do nas.

Kilka chwil później, otoczeni grodzką strażą, człapaliśmy już ku miastu, mając dłonie związane sznurami na plecach. Przez całą tę drogę eskortujący gadali między sobą, mocno podnieceni, lecz i uradowani, bo coraz to trzęśli się od śmiechu. Korzystając z tego, Rufus szepnął do mnie i do Atenajosa:

- Gdy wezmą na spytki, mówcie, że...

- Milcz! - syknął Atenajos.

- Chcę was tylko ostrzec, iż...

- Zamilknij, pyskaczu!

- Dlaczego?

- Wolisz żuć, czy wiedzieć? Przeszkadzasz!

Wtedy zrozumiałem (Rega zrozumiał również), że widocznie dziesiętnik i jego żołdacy gadają coś ważnego, a mnich znający gocką mowę chce tego dalej słuchać.

Doprowadzono nas do lochu pod biskupim pałacem. Była to piwnica rotundy, krągła przestrzeń z żelaznymi pierścieniami w murach. Każde kółko miało łańcuch, który kończył się obręczką zakładaną powyżej stopy więźnia. Łańcuch zezwalał ruszać się na boki i ku środkowi klepiska, gdzie stał dzbanek z wodą i gdzie stawiano jedną brudną michę z jadłem dla wszystkich trzymanyh tutaj więźniów. Kiedy nas tam wepchnięto, rozwiązano i przykuto do szorstkiego muru, piwnica była prawie pusta, gościła jednego tylko nieszczęśnika, wyschniętego staruszka o długiej białawej brodzie, śpiącego lub półżywego, bo nawet się nie ruszył, choć żołnierze czynili hałas. Nim sobie poszli, strażnik więzienny, utykający ciężko garbus gigantycznej postury, zakluczył nam łańcuchowe obręczki wokół kostek, uwiesił przy pasie klucz kajdanowy i wskazał dłonią dzban, bez słowa, ale to miało znaczyć: tutaj jest picie. Chciało mi się pić, gardło spierzchło mi ze strachu, wszakże nie mogłbym przełknąć ani dwóch kropel, zbytnio mnie mierzył smród odchodów białowłosego więźnia. Strażnik stąpnął ku wyjściu za żołnierzami, lecz wtedy mnich raptownie ucapił jego nogi, skamłając:

- Panie, jam człek niewinny, wczoraj dopiero poznałem tych ludzi, puśćcie mnie, a ja się wywdzięczę bez targu!

Garbus oswobodził prawą nogę i uniósł, by kopnąć mnicha, lecz opuścił ją wolno, gdyż usłyszał pytanie:

- Chcecie złoto, czy może srebro z rubinami?

Żołnierze też stanęli jak wryci, zerkając ciekawie. Garbus poderwał Atenajosa, przyciągnął do siebie i warknął:

- Gdzie to masz?!

- Jeszcze nie mam, panie, lecz zaraz będę się tu modlił o łaskę bożą dla wykupu, tedy muszę wiedzieć o co konkretnie mam się modlić: wolicie złoto, czy raczej srebro i szlachetne kamyki? Może turkusy?

Gockich żołdaków porwał śmiech, zaś garbus rzucił mnichem na klepisko jak lalką, splunął i wyszedł z lochu. Wyjście nie było kluczone, nie miało drzwi oraz krat, same łańcuchy u nóg starczały. Tuż za wyjściem znajdowało się pomieszczenie strażnika pilnującego przykutyh więźniów. Czasami zerkał uważnie do kolistego wnętrza, lecz później nie było go widać; mogliśmy tylko słyszeć jego kroki, gdy odchodził gdzieś na chwilę, jego zęby, gdy żarł, i jego wargi, gdy siedział pogwizdując.

Los Fulwiusza i los Kornelii trapił mnie wtedy bardziej niż mój własny. Relacja Atenajosa mroziła krew: wszyscy wpadli w pułapkę chytrze zastawioną przez Gotów. Słowa, niby błahe, a ciężkie jak kamienie: „*cypel*”, „*grobla*”, „*śluz*”, „*wyspa*”, „*kwarantanna*”, „*sak dla szcurów*”, oraz inne, które mnich łowił z dialogu eskorty kiedy nas prowadzono. Szczegóły poznaliśmy później od Fulwiusza i od Marcipora, więc dzisiaj mogę zdać sprawę szerzej niż ją kwitował Marcipor swym

„- *Źle!*”, chociaż to słówko celnie określało stan faktyczny:

Wskazano trybunowi jako plac do biwakowania łachę nadbrzeżną - rodzaj cypla tworzonego przez rzeczny meander. Fulwiusz nie wiedział, iż w Vicetii było to miejsce kwarantanny zwane „*wyspą zapowietrzonych*”. Pozwalało się odciąć nurtem rzeki od brzegu, dzięki uniesieniu śluz grobli biegnącej milę dalej, i wtedy cypel stawał się wyspą. Niegdyś separowano tam trędowatych, lub zadżumionych, lub uciekinierów bądź kupców z terenu nękanego epidemicznym chorobskim. Spuszczoną tak właśnie wodą odcięto Fulwiusza. Była to woda niezbyt głęboka i nie nazbyt porywista, mógłby ją konnicą przekroczyć, lecz bez piechoty i bez wozów, a do tego płynąca jazda stanowiłaby łatwy cel dla gockich łuczników pilnujących linii brzegowej. Znalazł się tedy w wilczym dole, jak schwytyany basior.

- Po co to zrobili? - zapytałem.

- Czekali - domyślił się Rega.

- Istotnie, czekali - przytaknął Atenajos. - Czekali na wyznawców Marsa, Jupitera tudzież innych olimpijskich bożków. Ktoś im zapodał, że na północ zdążają bałwochwalcy reaktywujący greckie i starorzyskie wielobóstwo...

- Seranus Cimber! - zgadł znowu Rega. - Musiał tutaj być przed nami, i musiał już się dowiedzieć, że ściga go Valerianus, dlatego podbechtał lub kupił tutejszą hierarchię ariańską!

- Biskup tutejszy to drań, a zwie się Honorius - rzekł mnich. - Goci mówili, iż tępi wszelkie ślady wielobóstwa jak zarazę.

- Typowy ariański fanatyk! - zezłościł się Rufus. - Tępi resztki wyznawców Olimpu, bo coś musi tępić jako krwawy apostoł, gdy nie umie zdusić pogaństwa we własnym plemienu, gdzie tylko górne warstwy przyjęły nową wiarę, doły zaś dalej czczą cichcem bałwana praojców, drewnianego, leśnego, swojskiego! Denuncjując nas fałszywie, Seranus rzucił temu biskupowi żer, by świątobliwy mąż mógł wyprawić ariańskie igrzyska dla tłumu! Jeśli jakimś cudem wyjdę stąd cało, Seranus mi zapłaci, zemszczę się okrutniej niż planowałem!

- Wyjdiesz dzisiaj... - mruknął Atenajos. - Tylko czy dojdiesz? Grożąc zemstą, obrażasz Chrystusa Pana. Lepiej się módl.

- Modłę się jedynie do bogiń zemsty!! - zgrzytnął Rega. - Skąd wiesz, iż wyjdę dzisiaj, ptakolubie? Ptakiem nie jestem, nie wyfrunę stąd.

- Ja cię wyzwolę, więc nie turbuj swego kalafiora, wkrótce będziesz wolny. Ale tylko skrucha oraz łaska Pańska mogą wyzwolić cię spod jarzma grzechu. Zemsta jest grzechem!

Rufus chciał przeczyć, gdy raptownie dobiegł nas z boku głos leżącego starca:

- Młody ma słuszość! Chrystus prawił: „- *Pomstę osławcie mnie!*”.

Przypomnieliśmy sobie, że nie tkwimy tu sami, i dowiedzieliśmy się, że nasz więzienny kompan to nie trup. Białobrody dźwignął łokciem swe wychudłe członki i usiadł, powtarzając:

- Pan mówi: „- *Zemsta jest moja!*”.

- Mówi, mówi!... - przytaknął kwaśno Rega. - Mówi też: „- *Będiesz miłował nieprzyjaciół swoje*”.

- Prawda, że i tak nauczał.

- Vulgo: mam miłować łotrów?... Przestańcie mnie rozśmieszać, twój Chrystus i ty! Gdybym miłował nieprzyjaciół moich, dawno bym przez nich gryzł ziemię!

- Zatem negujesz władztwo Chrystusa Pana? - spytał białobrody.

- Neguję wszystkich idoli, których cudowną sferę głoszą kapłani wszystkich kultów. Ale nawet gdybym chciał bić pokłony bogom, prędzej wybrałbym Jowisza niż Chrystusa. Wolę siłę od słabości, ideę walki od nauki pokory, prawo sprawiedliwego rewanzu od manii bezwarunkowego miłosierdzia, Chrystianizm to niemęska rzecz. To religia dla niewolników, płaczków i bab. Żadne twoje argumenty, starcze, nie przekonają mnie do twego idola.

- Nawet ten, że gdybyś prowadził się niczym Chrystus, uznano by cię za człowieka przyzwoitego, a gdybyś żył niczym Jowisz - byłbyś gwałcicielem, wiarołomcą, krzywoprzysięcą, cudzołożcą, mordercą i przeniwiercą? - spytał cierpko białobrody.

- Teraz wiem za co tu siedzisz, staruchu. Za demagogię.

- A ty za unikanie odpowiedzi, bezbożniku? Która droga lepsza, Chrystusowa czy Jowiszowa?

- Obie mi nie pasują. Żeby naśladować Chrystusa czy też Jowisza, musiałbym mieć pociąg do wstrzemięźliwości abnegackiej lub do rozpasania gromowładnego, a ja zawsze chciałem być tylko wolnym człowiekiem, który nie prześpi jedyne danego mu życia - wyjaśnił Rufus. - Urok życia polega na swobodzie i folgowaniu własnym słabostkom, a tego twój Bóg zabrania swoimi przykazaniami. Wrogowi nie można oddać uderzenia, lecz trzeba bijących krzywdzicieli kochać serdecznie; poplotkować żartobliwie nie wolno, bo to zaraz „*rzucanie fałszywego świadectwa*”; spojrzeć ku żonie sąsiada też nie wolno, aby nie zgrzeszyć „*pożądaniem żony bliźniego swego*”; et cetera, et cetera. Nie patrz, nie piśnij, nie pomyśl, nie dotknij, umartw się na wiór! Czy w tej waszej religii jest coś ludzkiego?

- Jest. Nie ma przykazania zabraniającego gardzić głupim dywagowaniem!

Ten złośliwy komentarz rzucił Atenajos. I odwróciwszy gniewny wzrok od Rufusa, zwrócił się do starca:

- Wybacz mu, bracie, bo on nosi kalafior wewnątrz głowy, a diabła ma w sercu.



- Nie wierzę, by twój towarzysz miał diabła w swoim sercu - szepnął starzec. - On ma tam pustkę, gdyż nie przyjął daru Bożego... Religia jest darem, cudownym darem, innym niż dary-przedmioty. Dar-przedmiot prędzej czy później traci swą siłę, kiedy się już opatrzy, bo istota tej siły tkwiła nie w przedmiocie ofiarowanym, lecz w krótkiej radości dostawania daru. Tymczasem siła daru wiary tkwi w codziennym szczęściu zwracania się ku Opatrzności Bożej i myślą, i modlitwą, z tą ufnością dziecka, któremu sieroctwo nigdy nie zagrozi, mimo wszelkich przeciwności losu.

Wówczas ja odezwałem się pierwszy raz do tego starca:

- Mówisz mową kapłanów, starcze...

- Jestem kapłanem, synu. Jestem ksiądz Damian z kościoła pod wezwaniem Świętej Trójcy. To cztery mile od Vicetii. Ale mój kościół już zniszczono...

- Ten go zniszczył, który cię uwięził?

- Biskup Honorius? Nie, aczkolwiek przez jego wrogość się to stało. Uwięził, bo nie chciałem zdjąć Chrystusa z ołtarza, gdzie prócz Chrystusa nie było nikogo innego. Dla arian Chrystus nie jest Bogiem, więc Honorius nazwał mnie bluźniercą i rzucił do turmy. Nim wprowadził do kościoła swoich kapłanów i stróżów, jacyś dzicy poganie leśni ograbili świątynię i dali ją płomieniom. Wytknął mi, że to moja wina, czy może wprost sprawka moich ludzi. A ja mu odparłem, że tylko on jest tu winny, lecz nie zwycięży, bo prędzej gwiazdy zgasną na niebie niżli Chrystus Pan zniknie z niebios.

- Długo cię będą trzymali tutaj?

- Nie wiem, może i do zgonu samego... Przynieśli mi tu pergamin, inkaust i pióro, bym się pokajał tym piórem, dając pisemne świadectwo mego „błędu”. A jam napisał tylko cztery zdania: „*I będzie jeden król na ziemi oraz w niebie - Jezus Chrystus. Miłosierdziu Chrystusa Pana Wszechmogącego polecam w każdej modlitwie twoją osobę, Honoriuszu. Módl się doń, a On ci wybaczy*”. Dlatego mnie tu trzymają, bym skruszał.

- Skruszałeś już na ciele mocno, tylko jeszcze nie na duchu - prychnął Rega. - Modlisz się bez przerwy, lecz twój wszechmogący Pan jakoś nie zsyła tu zastępu aniołów wybawców. Czymże jest pustka mojego serca, którą tak biegle gromisz, wobec pustki w niebiosach, ku której kierujesz błagania, klecho? Wszyscy jesteście sierotami. Wołacie do bezkresnej dziury w niebie, i możecie żebrać tak ile sił, a nikt stamtąd nie odezwie się, nie odpowie chociażby jednym słowem, nie da wam znaku. Bóg jest wyłącznie ziemską chimera, konieczną gwoli tłumienia lęku przed pośmiertną nicością, i gwoli łatania kalekiej wiedzy ludzkiej. Ludzie są śmiertelni dlatego, że są żywi, zaś religijni są dlatego, że są śmiertelni. To strach. Drugim arealem Pana Boga jest ignorancja naszego gatunku. Podobno „*tylko wszyscy ludzie wiedzą wszystko*”. Tak mówi porzekadło, lecz głupio mówi. To bzdura, bo nawet mędracy i uczeni nie znają mnóstwa aspektów bytu i kosmosu, nie rozwikłali wielu zagadek otoczenia, nie przejrzeni natury dogłębnie. Gdzie tylko uderzają głową o mur tajemnicy - gdzie widzą problem, którego zgłębienie przerasta możliwości rozumu, gdzie zaskakuje ich

dziwność, której nie potrafią wytłumaczyć racjonalnie - tam jako siłę sprawczą przywołują magiczną ingerencję Pana Boga. Bóg jest cudownym zapchajdziurą wszelkich luk w rozpoznawaniu mechanizmów świata i mrocznych głębin życia ludzkiego. To tyle.

- Ejże! Nie zapomniałeś o czymś? - spytał Atenajos.

- O czym?

- O roli diabła, bezbożniku. Brak wiary w istnienie Boga nie przeszkadza ci chyba wierzyć w istnienie diabła? Kłopot z tym, że kto wierzy w istnienie diabła, nie może serio negować istnienia Pana Boga.

- Wierzę jedynie, iż diabeł lepiej przystaje do człowieka niżli Bóg.

- Twierdzisz więc, że natura ludzka jest zła, bardziej diabelska niżli bogobojna i bogolubna, czy tak?

- Nie tak, głupku, myślę o współdziałaniu! - rzucił Rega kpiąco, przyjmując złośliwą konwencję wymiany ciosów z mnichem. - Pan Bóg człowiekowi nie pomaga być dobrym i szczęśliwym, każe mu się samemu zмагаć, samemu uruchamiać i kultywować silną wolę, ciężką pracę, hart ducha. A diabeł jest zawsze gotowy cię wesprzeć w dawaniu folgi słabościom, w popełnianiu grzechów, łamaniu zakazów, we wszelkim czynieniu zła. I robi to - kusi i pomaga. Interweniuje, a Pan Bóg sobie śpi. To kwestia zaangażowania w dzieło, mnichu. Kiedy biskup, dziś lub jutro, weźmie cię na spytki - diabeł mu dopomoże, a tobie nikt nie pomoże. Chciałbym być obok, gdy zapytasz ekscelencję co woli: siusianie w kucki czy upał?

- Rozważę z nim dużo głębsze sprawy, bo to bez wątpienia człek głębszy aniżeli ty, panie Rego, wytwórco pętelkowych siodłanych rzemyków.

- Rozważ więc z nim istotę Qho, rudy jarmarczny kuglarzu.

- Jeśli tylko zechce...

- Cóż to jest Qho? - zapytał białobrody kapłan.

- Wszystko - odparł po swojemu „*Avis*”.

- Wszystko? Czyli co?

- Czyli absolut absolutny, proszę księdza! - roześmiał się Rufus. - Ogień i woda, duch i materia, dobro i zło, łącznie metafizyczna równowaga, w której plus i minus tworzą wspólne zero bytu i opatrności ptasiej.

- Dlaczego ptasiej?

- A z tym pytaniem to już nie do mnie, proszę księdza. Białowłosemu może to wyłuszczyć jedynie

czerwonowłosy. Chciałem rzec: czerwoniopióry. Aczkolwiek sam uważa, iż jest czerwonoskrzydły i dlatego kalafioroodporny.

Cała ta paplanina stawała się coraz bardziej dziwaczną, szczeniacką, głupią, wprost absurdalną, więc tylko strachem, który mnie wtedy gnębił, mogę tłumaczyć, iż nie zorientowałem się, że to gra, teatralna maskarada ciągnięta z rozmysłem przez dwóch wtajemniczonych. Zwłaszcza do Rufusa nie pasowało takie świergotliwe plecenie głupstw, maniackie kontynuowanie słowotoku pełnego szyderstw, bluźnierstw i prowokacji. Przypomniłem sobie wówczas, iż Rega był już w Rzymie podejrzewany zarówno o czarnoksiężstwo, jak i o bezbożność, lecz status Fulwiusza chronił jego majordoma przed aresztowaniem i sądzeniem. Zdawało mi się tedy, iż loch, brak nadziei, bliskość kaźni wyzwoliły Rufusa, kazały mu zerwać maskę i głośno oznajmiać prawdę na temat uprawianego ateizmu. Przedśmiertna desperacja często prowadzi brańców i skazańców do takich autodemaskatorskich eksplozji (Philomusus nazwałby to po grecku: „*katharsis*” [\* - Oczyszczenie (grec.)]). Jakże wciąż nie znałem Rufusa Regi! Człowieka, który ciągle wpajał mi jedno: „- *Wynajduj!*”. „*Pies «Sotera»*”, nie zrzucił wtedy maski, lecz przeciwnie - założył maskę! Maskę bezbożnego błazna, pytlusa mądrzącego się i kłóćącego po gówniarsku. W ważnym celu - żeby zyskać czas. Robił wszystko, by autokrata Vicetii, Honoriusz, przesunął „*spytki*” (czyli tortury) na kolejny dzień. Ergo: robił wszystko, by w krągłym lochu doczekać zmierzchu, snu strażnika i występu kuglarza noszącego mnisi habit. Wiedziałbym o tym, gdybym wcześniej zauważył co zrobił swymi zręcznymi palcami Atenajos tarmoszony przez garbusa. Kocim oczom Regi to nie umknęło. Tak jak nie umknęły mu detale sklepienia piwnicy. Dlatego bezustanną paplaniną religijną podjął grę o czas.

Za dnia loch był jasny, gdyż umieszczone wysoko tondka wpuszczały tu dużo światła słonecznego. Kiedy zgasł dzień, strażnik przypalił dwa długachne łuczywa osadzone na murze. Rozkazał kończyć gadanie i spać. Sam oddał się Morfeuszowi bez nijakiego trudu, chrapiąc później ciężko. Spośród nas szybko zasnął tylko ksiądz Damianus, widać już przyzwyczajony. Wkrótce jednak i Rufusowi zachciało się spać, dlatego spytał:

- Wszyscy śpimy?

- Ja nie usnę na pewno - oznajmiłem.

- No to dobrze! - mruknął Rega. - Zbudź mnie przed świtem, synku.

- Nie trzeba - szepnął „*Avis*”. - Ja się obudzę kiedy zechcę, a przed samym świtem to może być trochę późno. Kładźcie się, Bóg nam sprzyja.

Sporo minęło czasu, mierzonego moim strachem (a i wypełnionego zdziwieniem, że ci dwaj tak beztrudnie znoszą los więzienny), nim usłyszałem dochodzący od góry, ze strefy zupełnego mroku (gdyż nie sięgały tam blaski łuczywa), łopot ptasich skrzydeł. Wtedy właśnie mnich usiadł w kucki i trącił Regę, po czym wyjął skądś kajdanowy klucz strażnika, tego garbusa wciąż chrapiącego za murem. Moment później wszyscy nie mieliśmy już obrączkowanych nóg i nie byliśmy przykuci łańcuchami do ścian. Ksiądz tarł zaspane gały, ja dusiłem łyzy radości, a kuglarz i „*pies «Sotera»*”, kłócili się szeptem:

- Ty cholerny durniu! - syknął cichutko Rega. - Nigdy w życiu nie strzepiłem języka równie długo! Strzepiłem, by tamten zechciał podsłuchiwać moje głędy aż do zmierzchu i by przełożył spytki na jutro. Ty zaś co robisz? Obiecujesz mnie uwolnić! Gdyby się zorientował, mógłbyś sobie wsadzić klucz we własne dupsko, a nie w zamki kajdanów, czubku!

- Jak miał się zorientować? Przecież gadałem, że uwolnię was modlitwą.

- Gadałeś, bo rozpierała cię pycha, że taki zręczny z ciebie sztukmistrz, świrusie!

- Będziesz mi przyganiał aż doczekamy tutaj kolejnego zmierzchu, czy będziesz robił co do ciebie należy? - spytał Atenajos. - Ja już swoje zrobiłem, teraz twój ruch. Pokaż swoją zręczność, panie Rego!

Rufus pokazał swoją zręczność w przedsiönku celi. Wyjął śpiącemu garbusowi zza pasa nóż i błyskawicznym ruchem rozciął krtań. Chrapanie ustąpiło rżeniu kiedy struga juchy obryzgała mur. Weszliśmy na kręcone schodki. Kondygnację wyżej zobaczyliśmy dwóch drzemających wartowników. Pierwszemu Rufus przeciął szyję pod brodą; drugiemu zdusił dłonią gardło, budząc, przyłożył czubek klingi do oka, i zapytał:

- Gdzie śpi biskup?

- Na drugim piętrze! - jęknął wartownik.

- Na drugim piętrze samej wieży?

- Na szczycie rotundy ma sekretariat, a sypialnię obok.

- Wchodzi się do niej przez sekretariat?

- Można przez sekretariat... ale można i z korytarza, jest tam drugie wejście.

- Zamyka od wewnątrz?

- Zamyka, panie.

- Wszystkie drzwi?

- Wszystkie, prócz wyjścia na taras balkonu.

- Ilu strażników?

- Dwóch, przy zakręcie korytarza.

- A co jest pod tym balkonem?

- Też balkon, tylko mniejszy, na półpiętrze, na łuku wnęki klatki schodowej. Panie, daruj mi życie,

będę milczał jak grób!

- Nie mogę - odparł Rufus, i chlasnął trzeci raz. - Będziesz milczał jak grób.

Nad każdym trupem białowłosa ksiądz kreślił dłonią znak krzyża i mamrotał kilka słów rozgrzeszenia. Rega przytroczył sobie jeden miecz; drugi podał mi, mówiąc:

- Wykaż teraz, że gdym cię szkolił w fechtunku, nie było to stratą czasu, Kaiusie.

Wziąłem broń, lecz pełen obaw:

- Sądzisz, że przebijemy się dwoma mieczami?

- Nie przebilibyśmy się poza bramę i dziesięcioma. Tedy nie mogąc iść do zewnątrz, musimy iść do wewnątrz. Stąpajcie za mną bez hałasu.

Na małym balkonie półpiętra wieży trzeba było tylko trochę unieść wzrok, aby zobaczyć spód dużego balkonu, lecz trzeba byłoby mieć wzrost dwóch ludzi, aby capnąć dłonią jego krawędź.

- Muszę wejść tam! - rzekł Rega. - Sięgnę z twoich ramion, Kaiusie. Wydolisz mnie dźwignąć?

Wydoliłem. Stojąc na moich ramionach chwycił krawędź dużego balkonu i wciągnął ciało. Za chwilę spuścił uwiązaną kotarę, po której wspiąłem się ja. Później mnich obwiązał kotarę księdza i wciągnęliśmy białobrodego. Wreszcie Atenajos obwiązał siebie, i również został wciągnięty. Teraz mogliśmy wejść wszyscy do sypialni biskupa.

Panował tam jeszcze mrok, lecz na zewnątrz już tylko gęsta szarość, bo przybliżał się świt, więc kiedy rozchyliliśmy drzwi balkonowe - dało się widzieć sprzęty. Łoże oddzielała od reszty wnętrza lśniąca, złotem haftowana kotara. Rufus uchylił ją delikatnie, zajrzał, po czym cofnął rękę, szepcząc:

- Zgadłeś, mnichu, kiedyś mówił, że Pan Bóg nam dzisiaj sprzyja. Ale nie zgadłbyś jak bardzo sprzyja!... Mirabile visu! \* [\* - Cudowny widok! (łac).]

Jego kocie oczy penetrowały półmrok dużo lepiej niż nasze; wskazał nam stół i zachęcił, by siaść przy nim:

- Nie dojedli wieczerzy zbyt sutej. Kurak zimny, wszelako prawie cały, ciasto, wino, micha owoców, bierzcie się do żarcia!

Oderwał dla siebie udko, jeszcze chwilę krążył po komnacie, a później też spoczął i rzekł:

- Zaczekamy.

Czekaliśmy niezbyt długo, bo ksiądz Damian, źle widząc, stracił kubek ze stołu. Hałas zbudził śpiącego, kotara się rozchyliła, i wylazł nagus, który przypalił kaganek. Wtedy oniemiałem, podobnie jak ksiądz i mnich. Zobaczyliśmy młodzianka ledwie kilkunastoletniego. Był piękny niczym Amor i

goły też niczym Amor, miał zmierzwiłone blondloczki i zwisające przyrodzenie lichego kalibru. Zrazu nas nie dojrzał, kiedy wszakże postąpił kilka kroków, zoczył. Uniósł kaganek, by się przyjrzeć, i rozdziawił gębę, jakby chciał spytać: „- Coście za jedni?!...”, lecz nie wykrztusił głosu. Rega spytał ostro:

- Ktoś ty, chłopcze?
- Je... jestem... Alboin - duknął drżąc ów szczeniak.
- Czyli kto taki?... Słuzysz tu?
- Słu... służę, panie... Jestem synem Hildirika, panie.
- A Hildirik to kto?
- Do... dowódca garnizonu Aquilei.
- Przestań się jękać. Aquilea wiele mil stąd. Co tu porabiasz, gówniarzu?
- Ojciec dał mnie bi... biskupowi Honoriusowi dla... dla przyuczenia kapłańskiego, panie.
- Rozumiem... - kiwnął głową Rufus. - Zbudź więc, Alboinie, swego nauczyciela.
- Kiedy... kiedy chce mi się...
- Nie pójdziesz do latryny. Lej w nocnik, lub w kąt, lub jak chcesz to lej z balkonu.

Kiedy cherubinek wrócił z balkonu, Rega kazał mu wejść do łóża, i chwilę później ujrzeł biskupa. Złapał koszulę, wciągnął na swe opuchłe cielsko, i wodził ślepiami pełnymi trwogi, nie wiedząc czy to jeszcze koszmarny sen, czy już równie koszmarna jawa.

- Witaj przesławny biskupciu Honopupciu! - parsknął Atenajos. - Wolisz tylcem, czy wierzchem?

Biskup milczał, dysząc ciężko.

- Niech ekscelencja nie zwraca uwagi na tego mnicha, to wariat - rzekł Rufus. - Może łyceczek wina, by udrozić suchy gardziołek?
- Czego chcesz?! - pisnął biskup.
- Chcę zawieźć ekscelencję do Aquilei, gdzie komes Hildirik pragnie z ekscelencją pogwarzyć o swoim synu. Ruszemy przed śniadaniem, czy już teraz?
- Przywołam strażę i nie wyjdiesz stąd żywy!
- Wołaj, ekscelencjo. Kiedy tu wejda, ty będziesz miał rozplątany brzuch.

Zapanowała długa cisza. Biskup ważył w spanikowanym łbie możliwości ratunku, gdy Rega dużymi kęsami gryzł pomarańczę, aż sok ściekał na pawiment, niczym krew z kałduna ciętego klingą.

- Dogadajmy się! - wychrypiał Honoriusz.

- Nie śmiałbym odmówić waszej ekscelencji. Ekscelencja chce przeżyć, i my też chcemy przeżyć, zatem wspólny mamy cel. Lecz aby to osiągnąć, musimy rzecz rozegrać ściśle według mojego planu, który nie podlega targom. Proszę słuchać. Ekscelencja wezwie tu swą straż i oznajmi, że wybiera się do Aquilei razem ze mną i z resztą mego taboru uwięzionego na rzece. Niech wasi ludzie przymkną śluzy, uwolnią moich, dadzą im dużo prowiantu i skierują ku Via Postumia, gdzie my zajedziemy przed zmierzchem. Teraz waszym ludziom towarzyszyć będzie do obozu ten głupi mnich, który tutaj wróci z waszym współplemieńcem Adaloaldem, cały i zdrowy, nim ekscelencja ruszy się stąd. Ruszy się stąd ekscelencja gdy wysłucham raportu mnicha. Ekscelencja weźmie ze sobą Alboina, troje sług i dziesięciu konnych. Może ekscelencja jechać własnym wozem. W połowie drogi między Vicetią i Aquileą puszczyć ekscelencję wolno, będziecie mogli wrócić na łono swego grodu i swego biskupiego tronu. A my pojedziemy dalej, ekscelencjo. To wszystko.

- Jaką mam gwarancję, że dotrzymasz słowa? - spytał biskup.

- Pełną. Daję bowiem słowo w imieniu człowieka, który u wszystkich mieszkańców Imperium głośny był tym, że nigdy nie złamał słowa. Mówię o szlachetnym trybunie Fulwiuszu. Ekscelencja kupi moje i jego słowo, lub ja dzisiaj przetnę mieczem żołądek ekscelencji. Prosta alternatywa, ekscelencjo. I żadnych targów.

Znowu nastąpiło milczenie; biskup się wahał, chyba wciąż szukał sposobu innego, bądź też wyczekiwał cudu. Źle zrobił, rozgniewał tym Regę. Rufus chwycił go za kark i pchnął ku drzwiom tak gwałtownie, że Honoriusz tryknął łbem listwę framugi i zemdlał. Dwa kopniaki zwróciły mu przytomność. Dźwignął się, odsunął judaszową klapkę w drzwiach (była duża jak drzwiczki komody) i zaryczał:

- Straż!... Straż!!... Ewaryk do mnie!

Stojący obok z gołym mieczem Rufus szepnął:

- I pamiętaj, biskupie, że albo wszyscy dziś przeżyjemy, albo wszyscy zginiemy, lecz gdybyśmy mieli umierać - ty pierwszy zginiesz, świniaku!

Dowódca straży nadbiegł, wysłuchał rozkazów swego pana, zabrał mnicha i zniknął. Zostaliśmy w towarzystwie biskupa, który spytał czy może wezwać sługę dla pomocy przy ubieraniu.

- Strój będzie ci konieczny do drogi, ale gdybym musiał ciąć ci brzuszysko, stawiliby przez swe złote i srebrne hafty opór, którego nie stawi ta koszula, więc póki co, noś koszulę - zawyrokował Rufus. - Tymczasem teraz, gwoli nasycenia mej ciekawości względem wynalazków, wskaż mi, ekscelencjo, wylot akustycznego kanału, którym podsłuchiwałeś moje głądy piwniczne. Wlot zauważyłem u sklepienia piwnicy, i domyśliłem się, że to taka sama sztuczka inżynierska jak we

wnętrzach cesarskiego pałacu. Staralem się, by ciekawość przykuła cię aż po zmrok. Gdzie to jest?

Biskup wskazał ów wylot między pilastrem a narożnikiem, i spytał:

- Grałeś bezbożnictwo, żołdaku, czyś prawdę mówił?

- Celuj w środek, a będziesz blisko prawdy - roześmiał się Rufus. - Jednak, mimo wszystko, wolę kadzidła świątyń od koszarowych smrodów, choćem żołdak. Podobnie jak wolę pachnące damy od niemytych dziewczek, zaś niemyte dziewczki od pachnących chłopaczków, ekscelencjo. Módl się żarliwie, by ktoś nie szepnął tatusiowi tego blondasa, że nie tylko wobec kultów i dogmatów masz upodobania całkiem różne niż żołdacy.

Honoriusz wbił ślepią w ziemię, a Rega podszedł do łoża, mówiąc:

- Wstawaj, Alboinie, i wdziej szaty, jasno się robi już.

Kiedy blondas to uczynił, Rega zapytał:

- Długo pobierasz tu nauki?

- Dwa lata wkrótce miną.

- I czegoś się tutaj wyedukował, synu Hildirika, oprócz dogadzania ekscelencji ciałem? Pismo znasz?

- Tak, choć pisanie idzie mi słabo, lepiej mi idzie czytanie ksiąg - rzekł Alboin.

- Widzę tu sporo ksiąg. Którą z nich lubisz czytać?

- Dzieło biskupa Augustyna „**O państwie Bożym**”.

- Cóż tam znajdujesz interesującego?

- Biskup Augustyn mówi, panie, o różnicy między „*civitas Dei*”\* [\* - Państwo Boże (łac).] i „*civitas terrena*”\* [\* - Państwo ziemskie (łac).].

- To rzeczywiście pasjonujące, młody człowieku. Przeczytaj mi swój ulubiony fragment, by czas mniej nam się tu dłużył do nierychłego, jak sądzę, powrotu mnicha.

Alboin wziął z sekretariatu księgę, rozwarł, szybko znalazł właściwe strony i czytać zaczął:

- „*Miłość różnego rodzaju wybudowała dwa odmienne państwa. Ziemskie państwo zbudowała miłość własna ludzi, gardząca Bogiem; państwo niebieskie zbudowała miłość do Boga, która człowiekiem gardzi. Ziemskie państwo w sobie samym chwały szuka, a państwo niebieskie szuka chwały w Bogu. Królów i mieszkańców pierwszego rozpiera żądza władzy; monarchowie i obywatele drugiego bliźniemu swemu służą. Pierwsi czapkują siłę świeckiej; drudzy korzą się*



wobec mocy Boskiej...”.

- Dosyć będzie! - przerwał czytającemu Rega. - Zdawałoby się, wedle tych słów, iż kto miłuje Niebo, nie miłuje Ziemi, ale co wówczas mniemać o ekscelencji tu obecnej, która praktykuje zarówno miłość niebiańską, kierowaną ku Bogu, jak i ziemską, kierowaną ku bliźniemu swemu, deprawowanemu zboczeniem greckim? Masz w tej kwestii pogląd, Alboinie?

Blondas zaprzeczył ruchem głowy pełnym wstydu, domknął księgę i milczał, dziurawiąc wzrokiem ścianę. Tymczasem z boku przypomniał się ksiądz Damian, wertując inną księgę i czytając głośno akapit:

- „*Powiem teraz rzecz ciężką, sprawiającą ból: zali nie sam Kościół jest tu winny? Kościół, który miał błagać Pana Boga Wszchemogącego o przebaczenie - tak się prowadzi, jakby chciał mocniej jeszcze rozgniewać Stworzyciela naszego? Wyjąwszy bowiem nielicznych cnotliwych - cała wspólnota chrześcijańska stanowi kloakę grzechów! Iluż w Kościele naszym znajdziesz takich, co nie są pijakami, żarłokami, porubcami, cudzołożcami, rabusiami i tyranami rozkoszującymi się krwią? Czas mija, nic się nie zmienia, zło nie ma końca! Apeluję do sumień i do chrześcijańskich ludów...”.*

Rega znowu przerwał:

- Któż jest ten apelujący na puszczy do sumienia ludzkiego?

- Salvianus, mnich i teolog z wyspy Lerinum - odparł Damian. - Byłem jego uczniem. Kilka lat temu zmarł, a to dzieło nosi tytuł „**O Bożej Opatrzności**”.

- Opatrzność Bożą będziemy słać gdy wyjdziemy i wyjedziemy stąd żywi, księżulu. Teraz zaś uprośmy ekscelencję, by kazał nam tu przynieść ziemskie dary z pieców jego kucharza. Trza się posilić przed drogą. Nie należy się posilać tylko przed bitwą, lecz ja wierzę, iż dzięki Bożej Opatrzności nie stoczymy dziś bitwy, tedy nikt nie będzie miał brzucha rozciętego...

Około południa przybyli Adaloald i Atenajos. Wieści przynieśli dobre - wszystko szło jak z płatka. Ku mojemu zdumieniu Rufus rzekł biskupowi:

- Pora wykorzystać twoją izbę tortur, ekscelencjo... Jest w tym budynku, czy gdzie indziej?

- Na co ci ona?! - miauknął przerażony Honoriusz.

- A na co tobie była, siewco wiary?

- Zawarliśmy układ, czego więcej chcesz?!

- Chcę ci założyć „perską obrozę”, tę samą, którą zakładasz innowiercom.

- „*Crimen non excusat crimen*”! \* [\* - Zbrodnia nie usprawiedliwia zbrodni! (łac).] - krzyknął

wzburzony ksiądz Damian.

- Bądź spokojny, klecho, nie uczynię mu krzywdy, jeśli tylko dowódca straży nie będzie robił głupstw - odparł Rega. - Ekscelencjo, każ przynieść tę zabawkę piorunem, bo kończy się moja cierpliwość!

Znałem „*tę zabawkę*” ze słyszenia. Każda izba tortur miała taki przyrząd, wkładany więzionym. Była to metalowa obręcz z kolcami po stronie wewnętrznej. Spinano ją luźno dla dyscyplinowania więźniów, bądź dociskano lekko dla dręczenia, bądź śrubowano mocno dla uśmiercenia delikwenta, któremu kolce dziurawiły szyję. Kiedy sługa to przyniósł, Rega opiął krąg wokół szyi biskupa, dowiązał kotarowy sznur na zapięciu, i wezwał Evaryka, szefa straży. Temu pokazał Adaloalda, mówiąc:

- Żołnierzu, widzisz ów pierścień noszony przez twego współplemieńca?

- Widzę - mruknął Got.

- Rozpoznajesz?

- Rozpoznaję pierścień kurierów królewskich.

- Bystre masz oko! To pierścień waszego króla, Teudeberta, zaś Adaloald to jego emisariusz. Pędzimy z misją królewską, by dopaść łotrów, którzy tu byli przed nami i którzy omamili wielbnego biskupa. Każdy, kto zechce nas wstrzymać, sprzeciwi się królowi, pojmujesz to?

- Tak.

- Gdybyś wszakże nie pojmował tego bez reszty, spójrz na szyję swego pana. Kiedy będziemy jechać przez miasto ku bramie, i później przez chaszczę ku mostowi, i później przez most ku Via Postumia - jakiś narwany łucznik lub kusznik mógłby głupio strzelić do mnie. Wówczas padnę, lecz ponieważ cały czas będę trzymał ten sznur - padając szarpnę go, co ściśnie obręcz i kolce wbiją się w gardło ekscelencji. Jeśli życzysz swemu biskupowi bolesnego zgonu - ustaw gdzieś strzelca. Tylko jak to wytłumaczysz potem hierarchii swego Kościoła i królowi swego plemienia, Evaryku?

- Nie będzie strzelców, ruszajmy - mruknął Got.

- Nie będzie też tropicieli. Nie śledź nas i nie ścigaj. Za każdym razem, gdy dostrzeżemy twoich ludzi, utnę ekscelencji jeden palec. Dwudziesty pierwszy obetnę mu na końcu. Lecz jak będziesz rozsądny, z połowy szlaku odeślę ci całego biskupa. Masz wybór. Wybierz mądrze, dowódco.

- Jużem wybrał - mruknął Got.

- Tedy ruszamy.

- A mój flet? - spytałem.

- Właśnie! - pstryknął palcami Rega. - Zwróćcie nam wszystko coście zabrali przy aresztowaniu. Konie, i miecze, i zwłaszcza flet, bo bez muzyki życie jest nudą. Księdzu natomiast dajcie godne szaty, bo bez nich kapłan jest tylko dziadem.

- I niech oddadzą Liutperda! - przypomniał Adaloald.

- Słyszysz, Evaryku?... - rzekł Rega. - Bratanek Adaloalda idzie z nami. Ty jedziesz z nami do mostu, stamtąd wrócisz sobie do grodu.

Tak i było. Kiedyśmy zajechali, trybun zgromił Rufusa:

- Łajdaku! Kradniesz mój przydomek!

Kornelia rzuciła mi się na szyję, nie kryjąc radości, co kazało mi wtedy myśleć, iż pewne marzenia wytwarzają siłę sprawczą większą od skuteczności modlitewnych próśb. Valerianus posunął się jeszcze dalej. Stał przed Rufusem - przed człowiekiem ciągle mu niechętnym - i bez słów bił brawo, demonstrując szczery zapał.

- Dłonie ci spuchną, konsulu! - parsknął oklaskiwany.

- Nic mu nie będzie, choćby tak klaskał do samiutkiego zmierzchu. - rzekł „*Soter*”. - To kwestia wprawy, Rufio. Nasz przyjaciel konsul ćwiczył wśród dworaków i senatorów oklaskujących mowy cesarza. Mowy bywały różne, krótkie lub długie, lecz oklaski zawsze były nieskończone, gdyż każdy bał się przestać bić brawo jako pierwszy. Teraz konsul Valerianus pierwszy raz przerwie jako pierwszy...

- Jako jedyny, wodzu!

- Masz całkowitą słuszność, Rufio, wymierz konsulowi srogą karę!

Nie uściskał Rufusa, tylko patrząc mu w oczy położył zaciśnięty kułak na piersi legionowym gestem, parafrazując legionowe „- *Sila i honor!*” słowami:

- Siła i humor, cwaniaku!

Vicetia przypomina mi się dość często, gdyż często szperam w klasztornej bibliotece, a tam moje spojrzenie zahacza o dwa woluminy - o „**De civitate Dei**” biskupa Augustyna z Hippo Regius, i o „**De gubernatione Dei**” brata Salvianusa z Trewiru. Zamykam wtedy wzrok, słyszę czytających Alboina i Damiana, i składam pomarszczone dłonie błagając Boga, by kiedyś „*ziemskie państwo*” ustąpiło przed „*państwem niebieskim*”, czego nam nie dane było dożyć, mimo tylu modłów.

## XII.

Już pierwszego dnia po opuszczeniu Vicetii stało się nieszczęście. Ksiądz Damian, schodząc z wozu, zaczął sandałem deskę i runął tak pechowo, że krawędź furgonu rozorała mu plecy. Zemdlął. Ułożono biedaka w wozie, na brzuchu, ranę przemyto i opatrzone, lecz źle się goiła, a właściwie wcale się nie goiła, tylko gniła, więc kobiety nie wróżyły nic dobrego. Wtedy Rufus wyjął ze swej „czarnoksiężskiej” skrzynki flakonik z jakąś cieczą i sam zrobił „klesze” okład. Dwa, może trzy dni później, rana była już prawie wygojona! Chociaż księżulo dalej leżał blady niby trup i przypominał Philomususa dni agonalnych, jednak stało się jasne, że nie umrze. Gdy zapytałem Regę o tę miksturę cudowną, powiedział, że to sok aloesowy.

- Czyli co?

- Sok z aloesu, rośliny mauretańskiej.

- Wszyscy gadają, że wyleczyłeś księdza za pomocą czarów.

- Kiedy pierdnę tuż przed ulewą, będą gadali, że sprowadziłem deszcz za pomocą czarów. Nigdy się nie uwolnię od takich bają.

Dziękujący mu „klecha” też go spytał o to:

- Jest li prawdą, panie Rego, żeś ty leczył mnie siłą czarów?

Rufus ani myślał przeczyć:

- Jest, proszę księdza.

- Jakich to użyłeś czarów?

- Modłów.

- Modły nie są czarami! Chyba że modły do pogańskich bałwanów, w tym trzeba widzieć czary.

- Wszystkie modły trzeba takimi widzieć, klecho.

- Modły chrześcijanina nie są czarami, synu!

- A czymże są, jak nie zamawianiem cudów, okadzaniem codzienności, by doznała ingerencji nadziemskiej?

- Mówisz językiem poganina!

- Poganie, którzy karmią się swoimi gusłami, i chrześcijanie, którzy szukają wsparcia swoimi modlitwami, robią to samo - rzekł twardo Rufus. - Czym dla jednych zabobon, tym dla drugich wiara, i vice versa. Jedni i drudzy pragną cudowności rozwiązującej ziemskie problemy. Jedni i drudzy się

modlą, a że do innych bóstw? Modlą się do bogów swoich ojców.

- Do kogo ty się więc modliłeś, by mnie wyleczyć?

- Nie znałem mego ojca.

- Pytam: do kogo?

- Do sił natury, klecho.

- Jak Parmenides? Owi filozofowie greccy, którzy utożsamiali naturę z bogiem, żyli w czasach wielobóstwa!

- Tak, żyli w czasach wolności religijnej.

- To ma być żart?

- To jest prawda, święty mężu!... Wielobóstwo dawało wolność, można było wybrać sobie któregoś spośród licznych bogów, po rozważeniu zalet każdego.

- A ci, którzy wybierali Chrystusa, byli karmą dla lwów! To zwiesz wolnością?

- Mówię o wolności w ramach pogańskiego wielobóstwa... - rzeki mniej pewnym głosem Rufus.

- Mówisz o tyranii kultu pogańskiego!

- Czy dziś się jej nie uprawia? Chrześcijaństwo stworzyło monopol władzy duchowej, szerząc przymus wyznawania jednego tylko Boga, którego narzuca każdemu, Boga zazdrosnego o resztę idolów, nie cierpiącego konkurencji!

- Nie cierpiącego tych okrutnych pogańskich bałwanów, żądających krwawej ofiary! - krzyknął Damian. - Nie ma prócz Chrystusa prawdziwych bogów! Nie ma żadnej konkurencji! Nie ma Boga prócz Boga w Trójcy Świętej!

- No właśnie... - westchnął Rufus.

- Co właśnie?

- Właśnie o to mi idzie, proszę księdza... Lecz może zakończmy już ten dialog...

- Czemu?

- Gdyż wedle księdza ja bluźnię, a nie chcę bluźnić.

- Ja natomiast chcę wreszcie jedno zrozumieć: czy ty wierzysz, synu!

- Zależy w co... W twój Kościół, drogi klecho, mniej niż byś pragnął. Przede wszystkim: nie w każdy dogmat. Widzę takie dogmaty, które się kłócą z Ewangeliami, a ja poważam Pismo Święte.

- Nie pytałem czy poważasz, tylko czy wierzysz! Mów czy wierzysz w Chrystusa Króla, naszego Zbawiciela, jedynego Boga!

Rufus zawahał się:

- Własnego zbawienia nie jestem pewny...

- Znowu unikasz szczerzej odpowiedzi, całkiem jak tam, wewnątrz lochu, gdzieś długo bluźnił, ale nie wiem czyś wtedy kpił dla przyciągnięcia uwagi biskupa, czyś mówił prawdę. Wyznaj mi ją!... Mówisz, że poważasz teksty ewangelistów, a z Pisma Świętego jasno wynika...

- Z Pisma Świętego wynika to samo co z obserwacji życia i ze znajomości świata: że ludzie dzielą się na świętych ergo nielicznych, mniej świętych ergo liczniejszych, i zupełnie nieświętych ergo bardzo licznych - przerwał księdzu Rufus. - Spośród ludzi, o których mówi Pismo, szczególnie przypadł mi do gustu Tomasz, proszę księdza.

- Dlaczego on?

- Bo jako człowiek dał wyraz naturalnemu zwątpieniu.

Ksiądz pchnął ku Rufusowi wskazujący palec, upominając lub grożąc:

- Wątpić znaczy błędzić! A długo błędzić, znaczy grzeszyć! Powie ci to każdy duchowny, bezbożniku!

- Nie każdy. Pewnemu księdzu już o tym mówiłem...

- I co ci rzekł?

- Najpierw się uśmiechnął. Później rzekł, iż wątpić, znaczy w połowie wierzyć. I klepnął mnie jak kumpla.

- Mam rozumieć, iż uznał półchrześcijanina za prawego wyznawcę Chrystusa?! - obruszył się ksiądz. - Ładny z niego kapłan, Boże mój! Dobrze sobie - „w połowie wierzyć „!

- To nie algebra, połowa połowie tu nierówna, nie noszę takiej równości w moim sercu. Bliżej mi chyba do wiary niż do niewiary, a jeszcze bliżej do wiary niż do religii.

- Znowu nie wiem jak mam to rozumieć, synu...

- Tak, że byłoby mi łatwiej zostać człowiekiem zupełnie wierzącym niż człowiekiem religijnym.

- Widzisz tu sprzeczność?

- Zasadniczą, proszę księdza. Wiara wewnętrzna to jest ścieżka indywidualna, gdy religia to hierarchia, zbiorowy trakt instytucjonalnego systemu. Mógłbym należeć do Boga, lecz nie do systemu.

- Czyli nie do katolicyzmu?

- Do żadnego fanatycznie misyjnego wojska.

- Dlaczego tak to mienisz?

- Dlatego, że religia i fanatyzm to para małżonków, a ja fanatyzmu nie cierpię, odkąd fanatycy zamordowali pewną kobietę, zwał ją heretyczką i czarownicą. Miłowałem tę kobietę...

- Współczuję ci, synu - szepnął Damian.

- Była Żydówką, miała imię Ajala\* [\* - Sarenka (hebr.)] - kontynuował Rega. - Jej siostra miała imię Mazal\* [\* - Szczęście (hebr.)], lecz to jej nie pomogło, ją również zamordowano wtedy... Mówię ci o tym dlatego, że wyznawcy Żyda z Nazaretu zamordowali dwie Żydówki, bo były Żydówkami, szanowny kapłanie. Tak działa fanatyzm religijny! Może kiedyś będzie inaczej, lecz na razie, od wieków, religia i wojowniczy fanatyzm są nierozłączne, niby rękojeść i klinga miecza... W Boga chcę wierzyć, chcę, by istniał, lecz nie mogę wierzyć w prawdy absolutne religijnych despotów, drapieżnych doktrynerów i dogmatyków, których misyjnością rządzi zbrodniczy fanatyzm. Czyż sam nie zaznałeś tego draństwa ze strony arianina, który cię więził jak kryminalistę? Czyż nie przez to Kościół chrześcijański został rozerwany, i podczas religijnych wojen padają tysiące ofiar? Czemu Wszechmogący Bóg zezwala, by te ofiary rżnięto w Jego imieniu? To mnie bardzo ciekawi, bo sądząc z Pisma Świętego - Chrystus był miłosiernym lekarzem i nauczycielem, a nie wściekłym fanatykiem.

- Rufusie, mnie też coś bardzo ciekawi - odezwałem się pierwszy raz.

- Słucham... - mruknął chłodno, czując, że wsparcia udzielię nie jemu, lecz księdzu.

- Ciekawi mnie czyś dostrzegł w cudzie naszego wyswobodzenia rękę Zbawiciela...

- Dostrzegłem tam tylko jedną rękę - rękę mnicha, kiedy wyłuskiwał klucz.

- To znaczy, że masz zły wzrok. I nie chcesz się przyznać, żeś się mylił.

- Nie myślę się tutaj.

- Mylisz się. Kiedy leżeliśmy na dnie tej wieży, prawiliś, iż ludzkie modły o pomoc są bezowocne, albowiem Bóg nie pomaga szukającym ratunku u Niego.

- I cóż?

- Modły, które słałem ja i które słał ksiądz sprawiły, że jestem wolny.

- To wymódl sobie również, abyś przestał wreszcie być głupi - burknął Rega. - Nie dożyła cię stamtąd łaska Trójcy Świętej, tylko biegleść dwójki cwaniaków. Nie twój Chrystus, lecz Rufus, który ma łeb szulera, i Atenajos, który ma złodziejskie palce.

Ja wszakże byłem zawzięty:

- Sto jeszcze pechów mogło wtedy przeszkodzić naszemu uniknięciu tortur i naszemu umknięciu, lecz nic nie przeszkodziło...

- Tak chciały fata.

- Tak działa Opatrzność Boża, ku której kierujemy prośby, a ty jesteś wobec niej głuchy i ślepy, co mnie dziwi bardzo, gdyż oleju ci w głowie nie brakuje. A że nie brakuje ci i skłonności ku dobru, mniemam, iż nosisz w sercu Chrystusa, wbrew własnym głędom, którymi się bronisz przed Nim jak przed intruzem.

Ksiądz spojrzał na mnie ciepło i rzekł uradowany:

- *Bellicosa anima!*\* [\* - Wojownicza dusza! (łac).] Młodzianku... byłbyś cnym kapłanem!

- Pewnie będzie, ale jeszcze nie teraz, klecho - ożywił się Rega. - Teraz nie to mu w głowie, ino siedzenie jednej młodej dziewczki.

- Szkoda go! - zmartwił się Damian. - Niewiast używają szatani najłaciej, kiedy wiedzą człeka do grzechu. Byłby z Kaiusa duchowny pięknie głoszący Słowo Boże.

- A z ciebie byłby udatny wielce kapelan naszego wojska - podsunął Rufus. - Szlachetny trybun łaknie kapelana dla żołnierskich dzikich duszyczek.

- Widać to człek pobożny - stwierdził ksiądz.

- Kapinkę mniej pobożny niż ty, klecho, ale w Rzymie regularnie na mszę prowadzał swoich legionistów. Zgódź się. Utraciłeś świątynię budowaną, będziesz miał wędrowną. Jak Chrystus, który wędrując uczył. Pono naśladowanie Chrystusa jest szczytową cnotą chrześcijanina, a już obowiązkiem klechów.

I tak ksiądz Damian został kapłanem żołnierzy Fulwiusza. Nie posiadał nerwu retorycznego, nie władał Rufusowską czy Valerianusowską umiejętnością szermowania słowami niby mieczem lub nożem, ale przecież nie o to chodziło. Nie miał nauczać bądź nawracać - miał spowiadać, upominać i dawać łaskę w rozgrzeszeniu. Nie miał też wygrywać dysput - miał odprawiać msze polowe dla taboru bezdomnych. Nie głosił wtedy wielkich kazań, gdyż nie był złotoustym mówcą. Jako misjonarz nigdy by nie odniósł triumfu ewangelizacyjnego, lecz jako proboszcz chrześcijańskich wędrowców sprawdzał się doskonale. Albowiem tylko sianie nowej wiary wymaga wielu słów, niczym każda szkoła, natomiast przy umacnianiu zakorzenionej wiary starcza szlachetna małomówność. I nie trzeba tu mowy wojującej, typowej dla misjonarza, który - choćby był łagodny jak baranek - samym



argumentowaniem za Swoim argumentuje przeciwko cudzemu, a więc bije cudzego. Starcza słowo upominające, zresztą wobec wszystkich, bo nie omylisz się tu wobec nikogo - nie ma człowieka bez grzechu. Wszelkie pułapki, które mnoży egzystencja, plus słabość człowieczej natury, powodują, iż żaden człowiek nie był i nie będzie zwolniony od wyznania: „- ... *gdyż bardzo zgrzeszyłem myślą, mową, uczynkiem i zaniebdaniem*”.

Kiedyśmy w Rzymie przybyli nocą do świątyni księdza Eulogusa, „*Soter*” prawił mu, iż dlatego tak chętnie na msze wodzi swych żołnierzy, bo „*żołnierzowi łatwiej walczyć, jeśli może przed bitwą oddać się Panu*”. To problem pośrednictwa między człowiekiem a Zbawicielem. Są tacy, którym pośrednik jest zbędny. Lecz większość musi go mieć. Pustelnik uprawia samotność komunikując się jedynie ze Stwórcą, bez udziału drugiego osobnika, a mnich, członek zgromadzenia zakonnego, lubi zbiorowość i hierarchiczność monasteru. Gdyby nie było trzeba tego pośrednictwa, rola kapłanów byłaby mniejsza. Żołnierka to zakon, który również oferuje więzy zbiorowości, przynależność do grupy bratniej, lecz wódz bądź oficer jest tam tylko pośrednikiem między żołnierzem a wrogiem, którego trzeba usunąć. Pośrednictwo między żołnierzem a bóstwem zapewnia kapelan. Według mego ojca niezbędny. Dlatego Fulwiusz cieszył się bardzo, kiedy ksiądz Damian przyjął tę funkcję. Legioniści też byli radzi białobrodemu. Zwali go po cichu: „*Papieżem gwardii «Sotera»*”,.

Mszę odprawiał Damian raz w tygodniu (chyba że mieliśmy postój dłuższy, parodniowy - wtedy codziennie). Służyliśmy do niej ja oraz Atenajos. Były to msze ciche, wbrew chętkom kapelana. Ksiądz Damian bowiem uważał, że „*Qui cantat, bis orat*”<sup>\*</sup> [<sup>\*</sup> - Kto śpiewa, podwójnie się modli (łac).], pragnął tedy, aby chór uczestników śpiewał razem z nim na chwałę Bożą. Trybun wszelako wolał nie czynić hałasu śpiewami i zabronił. Jedyne śpiewy cichutko rozbrzmiewały wewnątrz kobiecego wozu, lub wewnątrz namiotu trybuna, gdy nuciła Emilia, gocka wdowa, z którą sypiał regularnie. Miała drobne rysy twarzy, jak u dzieci, ale bez charakteru dziecięcego. I wcale nie wskutek dojrzałego wieku, tylko przez swój wzrok - patrzyła zimnym, okrutnym spojrzeniem starego drapieżnika. Co nie psuło jej urody (a już zwłaszcza pysznej anatomii), i co może nawet podniecało Fulwiusza, lecz we mnie budziło niepokój ilekroć widziałem ją. Śpiewała jakimś gockim narzeczem, spytałem więc Atenajosa czy zna ten język.

- Znam każdy język Gotów - odparł.
- Rozumiesz zatem pienia Emilii?
- Tak. Śpiewa o rychłym zgonie kogoś.
- Kogo?
- Nie mam pojęcia.
- Może o zgonie Fulwiusza?
- Chyba raczej o zgonie baby. Może o swoim?... Wolisz samobójstwo, czy ryby faszerowane?
- Nie błaznuj! Serio myślisz, że o swoim?

- Chyba nie o swoim. Ale nie wiem o czym.

- Jak to nie wiesz o czym? Mówiłeś przecie, że tę gwarę znasz!

- Znam wyrazy, ale to u nich mało, trzeba także rozróżniać akcenty i młaśnięcia językiem przy wymawianiu. Bałbym się gadać tą mową, bo kiedy źle młaśniesz czy zaakcentujesz, wychodzi coś głupiego, strach mówić. Pytasz barbarzyńcę grzecznie: „- *Jak tam zdrowie twojej rodziny?*”, a ten cham słyszy: „- *Jak tam cyce twojej żony?*”, i łapie za nóż. Wydaje mi się, że ona śpiewa o zgonie kobiety, lecz pewności nie mam. Doprasza się tego zgonu u swych bóstw. To poganka, Kaiusie.

Coś mnie wtedy tknęło, no i miałem rację, jednak że mam tę rację przekonałem się dopiero wówczas, kiedy przyłapano Emilię na gorącym uczynku. Księżycową nocą zakopała swój sekret w samym środku leśnej polany. Nie wiedziała, iż pewien strażnik trzymał tam wartę. Ten odkopał figurkę glinianą i wezwał Rufusa. Figurka miała żeńskie wdzięki i szaty, tudzież długie włosy dolepione do głowy, a korpus przekłuty drewnianymi drzazgami na wylot. Rufus pokazał to służce, która trefiła Terencję i przycinała fryzurę swej pani; dziewczyna rozpoznała włosy bez trudu. Wówczas burknął:

- Koniec żartów! Nie płakałbym, gdyby żona Valerianusa zdechła, ale to mi się nie podoba, bo dziś rywalka, jutro może ja, a za pewien czas może i trybun!

- Żle! - przytaknął Marcipor.

- Sam wiem, że źle! - wściekł się Rega. - Żle dlatego, że trybun wróci do zalotów u tamtej. Złe duchy cię nadały, obmierzła ropucho!

Nie miałem pojęcia komu wygraża tą „ropuchą” - Emilii czy Terencji.

Fulwiusz, kiedy usłyszał, nic nie mówił, tylko zerknął ku Redze znacząco i wrócił do namiotu. Tak się oni często porozumiewali, jednym spojrzeniem; czasami i w bardzo ważnych sprawach nie trzeba im było słów. Rega zabrał Emilię do lasu konno, a wrócił sam. Znowu wzięła mnie groza, jak wtedy, kiedy mordowali zbójów.

- Kazał ją zabić? - spytałem, cały drżąc.

- Kazał wypędzić. Niech ją zeżrą dzikie zwierzęta!

- Zeżrą martwą, żywej nie tkną, wiesz o tym!

- I wiem co zrobiłem. Ja bym cholerę ubił, lecz nie dostałem takiego rozkazu.

- Nie dostałeś żadnego rozkazu! Słowa nie rzekł. Tylko spojrzał.

- Spojrzał, rozkazując wypędzić, wygnać, a nie zabijać. Gdyby chciał zabić, spojrzałby inaczej, i nie żyłaby już.

Emilia istotnie została wypędzona, Rega powiózł ją daleko. Wróciła dwa tygodnie później, i w dużym towarzystwie, łaknąc naszej krwi.

Przez te dwa tygodnie niewiele bulwersującego się działo. Ciekawe wydarzyło się jedno: ku zdumieniu Fulwiusza Valerianus dogadał się jakoś z... biskupem Honoriussem, wskutek czego kilku towarzyszących biskupowi vicetyjskich wojów zaczęło regularnie penetrować tereny na flankach Via Postumia, wypytyując ludność tudzież kler o grupę Seranusa Cimbera i o dawną drogę papieskiego marszu. Co prawda Valerianus miał informację, że papiescy ukryli „*Flagellum*” dopiero za Aquileą (między Tergeste i Aquileą), lecz takie informacje, które przychodziły do Rzymu z dalekich terenów gockich, mogły być równie błędne jak plotki na temat „*ostatniego legionu*”. Pewne było tylko, że papieski orszak wędrował ku wschodowi wzdłuż Via Postumia. Przepytywanie ludności ziem flankujących ów trakt służyło sprawdzaniu czy Seranus Cimber nie odbił gdzieś w bok.

Gdy minęliśmy półmetek szlaku między Vicetią i Aquileą, Fulwiusz, wedle umowy, zwolnił biskupa. Równocześnie wysłał do Aquilei dwójkę naszych Gotów (Liutperda, tudzież drugiego, którego imienia nie poznałem). Mieli zawiadomić szefa tamtejszego garnizonu, Hildirika, iż wieziemy mu syna, Alboina, i mieli prosić, żeby wstrzymał grupę Cimbera, gdyż tak życzy sobie ostrogocki król. Dla Fulwiusza pierścień Teudebertowy był na tych ziemiach różdżką magiczną; trybun zamierzał wykorzystywać jej nimb i lojalność Adaloalda póki będzie to możliwe. Bez tego kawałka metalu - miał wędrować wygodnie szlakiem Via Postumia - musielibyśmy tłuc się po bezdrożach dalekich od szlaku bitego.

Bratanek Adaloalda, Liutperd, wiózł komesowi Hildirikowi bajkę, czy raczej bujdę na temat uwolnienia Alboina, którą wymyślił za zgodą młodzieńca Rufus. Rufus wszczął rozmowę z Alboinem mówiąc:

- Chłopcze, widzę jak pożerasz wzrokiem córkę konsula, mniemam tedy, iż masz skłonność do płci pięknej, chyba że masz skłonność do płci obu...

- Nie mam skłonności do mężczyzn, panie - odparł Alboin.

- Cóż więc robiłeś w łóżu biskupa?

- Nie byłem tam dla własnej chęci, panie.

- Gwałtem cię tam przywiódł ów świątobliwy mąż?

- Perswazją, panie... Prawił, iż miłości wobec bliźniego swego, i szacunku wobec hierarchy swego, niczym innym lepiej okazać nie można. Żądał, ja zaś bałem się sprzeciwić. Czulem doń wstręt, jednak tłumaczyłem sobie, że ten wstręt to właśnie grzech pychy i grzech nieposłuszeństwa, hardość. Zresztą...

- Co?

- Choćbym i chciał się buntować, jak mógłbym to czynić, panie? Ojciec dał mój żywot, ani

pytając, na łaskę biskupa, byłem tam samotny, ni się poskarżyć komuś.

- Cóż rzeknie twój ojciec, kiedy się dowie?... - spytał Rega.

- Zabije biskupa, i mnie zabije także, bo nie ścierpi tej hańby.

- Więc trzeba mu jej oszczędzić, Alboinie. Biskupa może zabijać, lecz synobójstwo to zbyt ciężki rodzaj grzechu, przynajmniej wedle ziemskich praw, bogów to nie tyczy. Powiemy twojemu papie, iż biskup chciał, wszelako nie zdążył cię tknąć. Więził cię i głodził, byś uległ, jednak my wyzwoliliśmy cię spod klucza lubieżnika. Co ty na to?

- Panie, przywracasz mi życie... - szepnął Alboin.

- Już drugi raz, Hildirikowy synu.

- Tak, wiem.

- Pragnę ci przywrócić nie tylko życie, lecz i szczęście, dzieciaku. Recepta na szczęście jest w zasadzie prosta: trzeba mieć dobre zdrowie, garść pieniędzy oraz kiepską pamięć, to wszystko.

- Nie wiem czy zaznam takiego szczęścia... - wydusił przez łzy Alboin.

- Zaznasz, kiedyś zaznasz.

- Kiedy?

- Kiedy zapomnisz. Obecnie jednak winienesz pamiętać co ja ułożyłem. Musisz trzymać się tego kłamstwa równie mocno, jak męczennicy trzymali się ewangelicznej prawdy, musisz, bo od tej pory moja wersja stanowi prawdę bezdyskusyjną. Nie turbuj tym swojego sumienia. Życie mnie nauczyło, że większość prawd miała takich samych rodziców: ojcem był spryt, zaś wyobraźnia była matką, Alboinie. I że ci, którzy wymyślają ratunkowy fałsz, szybko traktują go zupełnie serio jako fakt. Ze szczerym oburzeniem nazwiesz wkrótce kłamcą każdego kto powie, że służyłeś biskupowi w łóżnicy. Ta zdolność oczyszczania mózgu wzorem sita, które przepuszcza wodę akweduktową, zatrzymując brudy, pozwala sumieniu nie cierpieć długo wskutek ludzkich, ergo nieomijalnych grzesznych błędów. Bez tego ich ciężar, coraz mocniej gniotący duszę, nie dawałby żyć.

Tu się wtrąciłem:

- Jest lepszy sposób niż udający prawdę fałsz! To spowiedź, która czyści duszę z grzechu, i która daje sumieniu wolność.

- Tak, Kaiusie... - zgodził się Rega. - To inne sito do odcedzania grzechów, wymyślone przez Kościół jako smycz. Cedzi stare grzechy, by dać czyste pole zasiewaniu nowych, które znowu przywiodą penitenta do kapłana. Lecz nie mów mi, że w tym chrześcijańskim sicie jest moralna wyższość nad samooszukiwaniem się prawdą zmyśloną. Mój sposób boli, gdyż boli trud przemagania

prawdy zmyśleniem, a spowiedź trzodzi tylko nogi bieganiem do kapłana po rytuał rozgrzeszenia. Vulgo: instytucja spowiedzi ułatwia grzech pewnością wybaczenia grzechów, tam z góry wiadomo, że grzechy można obmywać bez trudu. Mój sposób wlepi Alboinowi duzo trudu, i też da mu wolność, lecz wolność nie wyzbyta hamulca. Hamulcem będzie świadomość, iż samemu trzeba zgwałcić swoją pamięć, co jest trudniejsze niż wizyta u spowiednika, regularna jak oddawanie kału, aby kiszki zrobiły się czyste i gotowe przyjąć nowe gówno!

Jestem człowiekiem raczej spokojnym. Do choleryków nie należą, gdyż z tym się trzeba urodzić, więc albo się ma taką skłonność, albo się jej nie ma. Włosy można odmienić czarną barwiczką z rozgniecionych mrówek, lecz nie można odmienić temperamentu. Zwąc mnie „*bellicosa anima*”, ksiądz Damian pochwalił mój sprzeciw wobec retoryki antychrześcijańskiej, czyli wojowniczość rycerza Chrystusowego, który broni swej wiary podczas dialogu, nie zaś przypadłość charakteru typową dla awanturnika ciągle gotowego robić burdy. Ile razy wybuchnąłem dziką wściekłością w moim życiu? Nie pamiętam. Trzy, cztery razy, albo i mniej. Wtedy, słuchając Rufusa, dostałem szału. Ekspłodowałem rykiem, słysząc co gada o spowiedzi świętej, i wybiegłem z namiotu chory na wściekłość.

Rufus bredził. Brednie bywają dwojakiego rodzaju - brednie głupca i brednie demagoga, mistrza szermierki słownej. Ten drugi potrafi dowieść ozorem, że dzień jest nocą. Słaby umysł to kupi. Mój widocznie nie był słaby, lecz skąd wzięłem tyle siły, aby trysnąć furią i obrazić się na Regę jak na wroga? Kiedy dzisiaj wspominał tamto zdarzenie, wydaje mi się ono młodzieńczym głupstwem, lecz wtedy rozsadzała mnie pasja, gdyż nie miał racji, nie miał wstydu i nie miał prawa szargać sakramentu spowiedzi wulgarną kpina. Może cynicznie kłamał, a może zwyczajnie nie wiedział (choć wątpię w to drugie), iż rozgrzeszenie nie jest obowiązkiem spowiedników. Chrystus przecież rzekł apostołom: „- *Którym odpuscicie grzechy, są im odpuszczone, a którym zatrzymacie - są im zatrzymane*”. Rufus tumał Hildirikowego syna, bawiać się swym kunsztem diabelskiej perswazji niczym żongler gałkami na jarmarku. Tak nie wolno.

A więc skąd wzięłem wówczas tyle gniewu? Może stąd, iż sam byłem świeżo po spowiedzi u ojca Damiana. Wypowiadałem się z moich myśli nieczystych wobec Kornelii, tudzież z częstych masturbacji, i ku mojemu zdumieniu dostałem łagodną reprimendę oraz lekką pokutę, na co, jak dzisiaj przypuszczam, musiały wpłynąć wcześniejsze spowiedzi legionistów Fulwiusza, wobec których moje myśli i czyny były błahostką. Ciekawiło mnie kiedy trybun i konsul zapragną spowiedzi, lecz się tego nie doczekałem lub (co bardziej prawdopodobne) przeoczyłem, w każdym razie nic mi o tym nie wiadomo. Wiem, iż wypowiadały się Kornelia i jej macocha. Dużo bym wówczas dał za treść spowiedzi Kornelii. Cóż powiedziała o swoich grzesznych myślach? A zwłaszcza: czy mówiąc o nich, mówiła też o mnie? Gdybym wiedział, że nie wspomniała o mnie - wiedziałbym, że raczej nie mam u córki konsula szans. Natomiast, że Terencja spowiadała się z myśli o Fulwiuszu, byłem prawie pewny.

Fulwiusz, kiedy wypędził Emilię, wznowił umizgi do władczyni swego serca, i odżyła gra między tą parą. Z takim samym jak wcześniej skutkiem: bez miłosnego rezultatu. Trybunem kierowały sentymenty i żądza; Terencją kierowała duma, pycha, urażona ambicja i osobliwa zawziętość. Mniemałem, iż cicha, lecz przecież ewidentna zgoda Valerianusa na ów flirt była dla niej obelgą tak

piekącą, iż powstrzymującą, jednak zaczynałem również przypuszczać, że starania Fulwiusza są dla tej kobiety ważniejsze aniżeli Fulwiusz. Są rodzajem hołdu, którego trwanie daje Terencji radość większą niż dałaby jej rozkosz czerpana z Fulwiuszowych uścisków. Kolejne jego podchody utwardzały jej opór, sycąc ją triumfem niespełnienia, i czyniąc niewrażliwą na własną samotność, jakby mur graniczny był celem piękniejszym od pałacu. Ale wszystko to miało swój dziwaczny (iście kobiecy) sens tylko za dnia, kiedy publiczna poza góruje. Jednak nocami takie hamulce nikną, ambicje usypiają, i budzą się żądze cielesne, które trudno tresować. Okrucieństwo letnich nocy... Nie rozumiałem skąd dojrzała kobieta bierze siłę, aby przedłużać swój upór wbrew własnemu ciału.

Że dziwaczne decyzje kobiet mogą służyć jeszcze gorszym breweriom, wiedziałem już - zrozumiałem to, gdy Emilia zakopała figurkę z gliny. Któż mógłby wówczas sądzić, że Emilia posunie się jeszcze dalej na drodze nienawiści i odwetu? Kilkadziesiąt mil przed Aquileą, gdzie gościniec flankowały bliskie ściany lasów, pomiędzy drzew wytrysnął ku nam grad strzał. Spory dystans (trakt dzieliły od tych drzew szerokie pasma zarośli i łąk) sprawił, że szkody były mizerne (kilku rannych i raniony koń), jednak musieliśmy wędrować dalej pod osłoną wielkich tarcz piechurów. „*Soter*”, nie znając siły napastników, nie ryzykował penetrowania lasu żołnierzem, tylko gnał do przodu, szukając otwartej przestrzeni. Mieliśmy szczęście, albowiem las zaczął rzednąć nim przyszedł zmierzch. Wtedy zobaczyliśmy dużą grupę konnych tarasującą trakt. Nie było to regularne wojsko, lecz jakaś brodata dzicz. Hełmy, tarcze i kopie różnego rodzaju, fizjonomie bestialskie, torsy gęsto owłosione, bardziej zwierzęta niż ludzkie istoty.

- Jak myślisz, czego chcą? - zapytał Fulwiusza Valerianus.

- Pewnie wszystkiego - mruknął „*Soter*”.

- Miast wszystkiego, trzeba im dać trochę tego, czego są godni, żelazem po ryju, oto co ja myślę! - wychrypiał Rega.

- Może lepiej spytać... - zaproponował konsul.

- Tak jest, idź do nich i grzecznie pytaj - parsknął Rufus drwiącym tonem.

Ku jego zdumieniu Valerianus tak zrobił! Wyjechał kilka kroków przed szereg, i uniesioną dłonią dał znać, że chce rozmów. Wówczas od tamtych wyjechał młody drab i przygalopował do nas bez strachu, jak też bez broni, nosił tylko pusty kołczan. Miał wąsaty pysk, czarny, szczeciniasty zarost, i mówił romańskim językiem biegle:

- Bądź pozdrowiony, szlachetny trybunie Fulwiuszu!

- Nie jestem trybunem, jestem konsulem, zwę się Valerianus.

- A więc jesteś tym bogaczem, o którym nam mówiono!

- Kto wam mówił?

- Nie wszystko ci jedno, człowieku?... - roześmiał się tamten.

- Nie jest mi to wszystko jedno, przyjacielu. Pewnie Seranus Cimber, on was napuścił, prawda?

- Nie znam takiego, szanowny konsulu, nie wiem o kim mówisz.

- O grupie Rzymian, która jechała przed nami tą drogą!

- Może jechała, a może nie jechała, wokół biegnie dużo dróg. Jeżdżą tędy różni ludzie. Wszyscy muszą płacić nam myto.

- Ludzie biskupa Honoriusa i komesa Hildirika również?

- Tutejsi nie muszą, i dlatego się nas nie czepiają. Obcy muszą.

- Więc zapłacimy myto, ile to wynosi?

- Od was nie weźmiemy jeno myta, konsulu, nie od takiego bogacza.

- Czegóż tedy chcecie? - spytał Valerianus.

- Żebyś przestał być bogaczem! Ty i twój trybun!... Ty masz swoje bogactwa, a trybun drugie, które zabrał zbójom. Teraz my zabierzemy je wam wedle prawa rzymskiego.

- Prawa rzymskiego?!

- Tak, prawa Chrystusowego. Wasz bóg, Jezus Chrystus, nakazywał, aby bogacze oddawali wszystko biednym.

- Chrystus nie to mówił!

- Mówił!... Uczyłem się przez rok wśród waszych mnichów żebraczego zakonu i znam wasze święte pisma. Wy jesteście bogaci, my jesteśmy biedni, więc wszystko co wasze winno stać się nasze. Lecz nie chcemy wszystkiego, chcemy tylko waszego złota i klejnotów. Słyszeliśmy, że jest owych kosztowności dużo.

- Jest trochę, starczy i dla nas, i dla was...

- Powiedziałem: weźmiemy wszystkie.

- Wtedy sami zmienicie się w bogaczy...

- Tego właśnie chcemy.

- Ale kiedy zmienicie się w bogaczy, będziecie musieli oddać wszystko biednym, czyli nam - zauważył Valerianus.

- Musielibyśmy, gdyby Jezus Chrystus był i naszym bogiem. Mamy własne bóstwa, a one czego innego uczą.

- Uczą rabować wędrowców?

- Uczą brać siłą od wyznawców wrażeń religii.

- Policzyliście dobrze swą siłę?

- Starczy jej. Nie będziemy w polu wojować, nie trzeba nam bitwy. Będziemy was nękać dniem i nocą z lasu, zaś te lasy ciągną się do samej Aquilei, gdzie żywi nie przejdziecie, bo choćbyśmy tylko kilku ustrzelili każdego dnia, to do Aquilei ustrzelimy was wszystkich. Jeszcze tej nocy podpalimy wam wozy smolnymi strzałami, i jak temu przeszkodzicie? Lepiej zdajcie się na łaskę Cynegilsa. Weźmie całe złoto, ale was wolno puści.

- Cynegils to wasz herszt?

- Cynegils syn Alfwolda to nasz wódz! Wódz kazał mi z wami gadać. Okoliczne lasy są jego. Bez jego zgody nikt tą drogą nie przejdzie!

- My mamy zgodę króla Teudeberta i komesa Hildirika. Wszystkie tutejsze lasy są ich, a nie Cynegilsa czy kogoś innego. Możemy wam pokazać pierścień króla Ostrogotów.

- Możecie go tylko zdać Cynegilsowi wraz z resztą pierścieni, kamieni i złota. My, leśni ludzie, nie uznajemy żadnej władzy, żadnych królów, komesów ni biskupów. Honoriusowych i Hildirikowych, także kupców mających glejty vicetyjskie i aquilejskie, nie raptujemy, żeby mieć święty spokój z Vicetią i z Aquileą, wszelako od przybłędów bierzemy myto, a was złupimy do cna, taka jest nasza wola. Biskup się ucieszy, boście go więzili i mocno zależliście mu za skórę, wdzięczny nam będzie bardzo. Decydujcie, nie chcę się dłużej handryczyć.

Valerianus otworzył usta, by coś jeszcze powiedzieć, lecz zrezygnował i milczał; może główkował których użyć argumentów. Wtedy wyjechał z szeregu Rufus. Spojrzał na Fulwiusza, temu powieki drgnęły, dając zgodę, i Rufus pchnął konia ku dzikusowi. Kiedy się zatrzymał obok Valerianusa, rzekł:

- Jaką mamy gwarancję, że wódz Cynegils dotrzyma słowa i będziemy mogli ujechać bez szwanku?

Barbarzyńca wzruszył ramionami:

- Cynegils zawsze dotrzymuje słowa! Nawet kobiecie... Dlatego prócz waszego złota i klejnotów weźmie również głowę konsulowej żony, bo obiecał to innej kobiecie, a obietnica jest u nas rzeczą świętą.

- Głowę żony pana konsula!... - pokiwał ze zrozumieniem Rufus. - No cóż, widzę, iż wdowa



Emilia ma u was przemożne wpływy. Zyskała je w szalacie Cynegilsa nocą?

- Nie będziemy o tym gadać!

- Dobra, gadajmy więc o Alboinie.

Tamten wytrzeszczył wzrok:

- O kim?!

- O kimś, o kim pojętna Emilia nie szepnęła wam ani słówka! - cedził Rufus. - Plotła wam mnóstwo kuszących rzeczy, o bogactwie, o złocie, o biskupie, o dręczeniu biskupa, i napuściła was przeciwko nam, żądając głowy innej kobiety - tylko nie wspomniała choćby słówkiem o Alboinie, pamięć biedaczkę zawiodła! Mówmy serio: Emilia to sprytna kłamczucha, więc słowo dane przez Cynegilsa kłamczusze nie może być ważne.

- Kim jest ten Alboin?! - zapytał zdenerwowany dzikus.

- Alboinie!... - krzyknął Rega. - Alboinie, podejdź tu i ukłoń się gościowi, tak każe grzeczność.

Alboin zeskoczył z wozu i stanął przy trzech jeźdźcach.

- Oto Alboin! - przedstawił Rufus.

- Ktoś jest?! - wybuchnął szczeciniasty.

- Jestem synem komesa Hildirika - odparł blondas.

- Nie może być! - szepnął tamten.

- Nie musisz wierzyć, ale nie radzę wam sprawdzać tego przy użyciu łuków - roześmiał się Rega. - Któraś strzała mogłaby trafić komesową pociechę, a wówczas Hildirik nie darowałby, wyłowiłby was wszystkich co do jednego i zamęczyłby bezlitośnie. Coś mi mówi, że nie o taki święty spokój wam chodziło...

Szczeciniasty zbladł, rozejrzał się nerwowo i szarpnął konia, chcąc wracać ku swoim, lecz Rega powstrzymał go, mówiąc łagodnie:

- Czeka! A myto?

- Niech decyduje wódz. Zdam mu sprawę o tym gnojku.

- Zdam mu sprawę o synu Hildirika i o czymś jeszcze.

- O czym?

- O naszej dobrej woli zapłacenia myta. Nie pragniemy ani swojej, ani waszej krzywdy. Żadnych gniewów, strzałów, trupów, komu służy wojenne piekło? Mamy trochę zbędnego złota, możemy wam dać jako myto pełen kuferek, i wszyscy będą zadowoleni. Jeśli Cynegils się zgodzi, wróć tu i odbierz myto. A jeśli się nie zgodzi, cóż... będziemy się bić, i niech wasi bogowie uchronią was przed gniewem komesa Hildirika, lecz ja bym nie radził zbyt wroć ufać protekcji bogów.

Gdy wysłannik Cynegilsa odjechał, Valerianus czepił się Regi:

- Łatwo szafujesz złotem! Eskortujących syna Hildirikowego puściliby bez haraczu!

- Wiem - przytaknął Rega.

- Czemu tedy dajesz im złoto?!

- Widziałeś, bym dał jakieś złoto, choć jedną sztukę?

- Obiecałeś dać... - stropił się Valerianus. - Jeśli teraz nie dasz, rozsierzysz horde dzikich...

Dlaczego to robisz?

- Bo ja i mój pan, szlachetny trybun Fulwiusz Corvinus „*Soter*”, wyznajemy nie tylko legionową dewizę „*Sila i honor!*”, ale również własną, „*Sila i humor!*”, Valerianusie, czyżbyś już nie lubił teatralnej farsy? - spytał Rega.

- Chcesz ich zabić śmiechem?! - zezłościł się konsul.

- Coś w tym rodzaju. Będzie to gromki śmiech, chóralny wybuch śmiechu, Valerianusie, drugi raz zmuszę cię, abyś bił mi brawa.

Widzieliśmy jak barbarzyńcy zażarcie debatują. Znajdowali się dosyć daleko, więc trudno było rozróżnić słowa, lecz słyszeliśmy gwar sporu. Nie trwało to długo, wkrótce szczeciniasty wrócił. Tym razem z dwoma innymi, starszymi trochę. Krzyknął:

- Jest zgoda Cynegilsa! Dawajcie złoto!

- I nie padnie już żaden strzał? - spytał Rufus.

- Nie padnie, dawaj złoto!

- Nie padnie od was, lecz czy ci tam też wiedzą, że się godzimy wreszcie?

Mówiąc to Rufus wskazał palcem ściany boru.

- Bez rozkazu wodza nikt nie strzeli! - zapewnił barbarzyńca.

- Bez rozkazu wodza nikt nie przestanie strzelać, a wasi ludzie w gęstwinie wciąż mają rozkaz wcześniejszy, rozkaz strzelania, którego nie odwołano. Póki nie odwołacie tamtego rozkazu, nie dam

złota. Powiadomcie ich, że eskortujemy Hildirikowego syna, więc każdy strzał może wam ściągnąć na głowę zemstę komesa, zbiorowy wyrok śmierci.

Barbarzyńca, którego rozsadzała złość, znowu zawrócił do swoich, i ujrzeliśmy jak stamtąd gnają w las jeźdźcy niosący wieść o Alboinie i o układzie. Gdy trzeci raz stanął przed Regą, był już pewien, że teraz weźmie myto bez żadnych problemów, lecz Rega rozłożył dłonie zmartwiony:

- Mamy kłopot, przyjacielu...

- Jaki jeszcze kłopot?

- Nie wszyscy moi towarzysze wierzą wam, są tacy, którzy twierdzą, że nie wolno naiwnie ufać słowu Cynegilsa, i ci żądają gwarancji pewniejszej.

- Jakiej pewniejszej?... Chcą zakładników?

- Nie, bo skąd by wiedzieli, że wezmą ważnych zakładników, a nie jakichś ciurów, których śmierć nic dla Cynegilsa nie znaczy?

- Czegóż więc chcą?

- Chcą przysięgi, uroczystej przysięgi, bez tego nie zezwolą mi wręczyć mu złota. Pragną, by twój wódz przysiągł, że kiedy złoto zostanie wręczone, wy odczepicie się na dobre i będziemy mieli przejazd spokojny.

- Będziecie mieli, on daje wam słowo, a zawsze dotrzymuje słowa!

- Słowo jest ptakiem, przysięga jest klątwą. Bez uroczystej przysięgi nici z układu! - rzekł twardo Rufus.

- Jak ma wyglądać ta przysięga?

- Niech ją złoży tu, przed nami, kładąc prawą dłoń na sercu i mówiąc trzy razy: Qho!

- Ma tu podjechać, abyście mogli go zastrzelić jednym kuszowym bełtem?!

- Daję słowo, że tego nie zrobimy.

- Pieprzę wasze słowo! - wrzasnął dzikus.

- A widzisz?... Sami również uważacie, że zwykłe słowo to luźny ptak. Nie miej tedy pretensji, że chcemy, by wasz wódz przysiągł. Jeśli boi się tu podjechać, niech przysięga tam gdzie stoi, ale wtedy będzie musiał przysiąc na święty płomień.

- Jaki święty płomień?

- Płomień Qho, płomień świętego znicza, relikwiarz rzymskiego cmentarza. Wasz wódz zapali ów znicz, trzy razy uniesie, i to starczy. Miast usłyszeć, będziemy widzieć. Rzeknij mu, iż złamanie takiej przysięgi grozi krzywoprzysięzcy zemstą cmentarnych duchów. Weźmiesz ten znicz, a później go oddacie. Lecz wpierw jedź zapytać czy Cynegils się zgadza.

- Przedtem chcę zobaczyć złoto!

Rufus otworzył średniej wielkości kuferek, pełen monet tudzież klejnotów.

- Spójrz i opowiedz swoim!

Dzikusowi rozbłysły ślepią. Trzeci raz wrócił do swego szeregu, i znowu krótko trwało, a nadjechał przywożąc Cynegilsową zgodę:

- Dawaj znicz!

Rufus wręczył mu gliniany dzbanuszek zaklejony od góry woskiem, i wskazał wystający kawałek sznura:

- Niech Cynegils sam podpali ten knot, i niech trzy razy uniesie płonący znicz nad głowę, wtedy uznamy, że przysięga została dana. Jeśli ją złamie, czeka go kara ze strony duchów!

„Soter” przez cały czas milczał, więc milczeli również inni, chociaż dla prawie wszystkich ten dziwny spektakl był bezsensowną i groźną hecą. Nie wytrzymał tylko Frontinus Sijan, centurion pretorski. Zbliżył się do Fulwiusza i próbował perswadować:

- Wodzu... myślę, że lepiej...

- Zostaw myślenie koniom, żołnierzu, one mają większe łby! - huknął Rega, wyręczając trybuna.

Staliśmy bez ruchu i patrzyliśmy jak szczeciniasty kłusuje ze zniczem do swoich pobratymców. Kiedy została mu jedna trzecia dystansu, Fulwiusz rzucił krótkie rozkazy kusznikom, łucznikom, piechocie i kawalerii. Przegrupowanie było niewielkie, a sens tych ruchów niezrozumiały dla profana, lecz nawet ja, ksiądz Damian, Atenajos, kobiety, i może mały Justus również - czuliśmy, że szykuje się krwawe piekło. Ta krew zdawała się wisieć w powietrzu, niby wonie leśne bądź żar słoneczny. Zobaczyłem daleko brodatego herszta, który zapala knot i unosi płonący znicz, byśmy widzieli, iż składa przysięgę wedle żądania rzymskich głupców. Nie zdążył unieść drugi raz. Rozległ się tam straszliwy grzmot i rozbłysła potężna białozłota plama, którą zwiędziła chmura czarnego dymu, a całą stojącą wokół Cynegilsa grupę barbarzyńców zmiotło - jakby ich zdmuchnął ognisty cios wulkanu. Kiedy dym się przeredził, ujrzeliśmy hekatombę. Nie było tam jednego stojącego konia i człowieka, bo pierwsze szeregi leżały, tylne zaś rozbiegły się panicznie we wszystkie strony. Słyszeć było kwik poranionych rumaków i wycie ludzi broczących krwią. Wtedy Fulwiusz dał znak. Jazda ruszyła gwałtownie ku miejscu eksplozji, piechota ku ścianom lasu, zaś strzelcy zrobili łańcuch wokół furgonów, na wypadek, gdyby barbarzyńcy chcieli jeszcze próbować czegoś. Lecz im już nie to kołatało we łbach, tylko strach co uskrzydla czmychających. Wulkan, który

zmasakrował ich dowódczą elitę, zdał się im chyba ingerencją demonów lub efektem czarów, więc ziemia parzyła im stopy, a wszelka wola walki kompletnie ich opuściła.

- Cóż to było? - spytał Regę Valerianus.

- Wybuch chóralnego śmiechu, nie słyszałeś? - prychnął zapytany.

- To był chyba „grecki ogień”, panie - odpowiedział konsulowi Mustio. - Jednak sędzę, że czymś wzmocniony, bo z takiego mizernego dzbanka „grecki ogień” nie dałby tyle błysku i dymu. Ani tyle huk.

- „Grecki ogień” dobrze pali, lecz nie wybucha niczym lawa - wtrącił się setnik Caeliusz. - Rufusie, cóżeś posłał tym mytobiorcom?

- Posłałem im, Caeliuszu, śmierć.

- To widzieliśmy wszyscy, zdradź wszakże jak! - nalegał konsul.

- Za pomocą czarów, Valerianusie. Czyż nie mówiono ci w Rzymie, iż „pies «Sotera»„ jest czarnoksiężcą? Zobaczyłeś trik magiczny dużej klasy, a ja wciąż nie słyszę twoich braw!

- Dam brawa, kiedy prawdę powiesz.

- Mogę ci rzec tylko, iż w dzbanku była siarka, były siekance, no i był proszek azjatycki przywieziony z Persji przez Hunów, a do Persji od skośnookich żółtków, których perscy i egipscy kupcy czasami wizytują. Płomień daje mu straszną siłę, można tym burzyć mury. Daje, gdy dzbanek jest szczelnie zamknięty. Samego proszku płomień nie wysadza, bo tylko by go spalił bez wybuchu. Musi podpalić coś innego.

- Co?

- Nie możesz wszystkiego wiedzieć, konsulu. Rzekłem ci prawie wszystko, reszta to czary. Klaszcz!

Valerianus uniósł dłonie, chcąc klaskać, gdy wtem rozległ się krzyk:

- Jacyś konni pędzą wzdłuż lasu!... Gotuj się, łucznicy i procarze deszcz, kusznicy gradem wprost!

Lecz nie trzeba było strzelać. Rufusowy grzmot zwabił Hildirikowych wojów, którzy patrolowali okolicę, a ci zawiedli nas do grodu aquilejskiego. Tak się skończył pierwszy etap marszu „Sotera” postumijskim gościńcem. Zwłok Emilii nie widziano wśród trupów, więc coś mi mówiło, iż szalona wdowa dalej będzie próbowała nękać zemstą rywalkę i kochasia, przez którego została odtrącona bez litości, i wypędzona jak pies, wyklęta jak zarazienny trąd, wyrzucona jak śmieci ze sprzątanego budynku. Ale nigdy i nigdzie nikt nam nie przyrzekał łatwej drogi - widzieliśmy, iż cały czas będzie ciężko. Bez kobiet byłoby lżej, jednak bez kobiet byłoby nudniej, młodość to nie pustelnia klasztoru.

Co pisząc, skłaniam się do spania. Jutro zaś będę pisał o naszym dramatycznym pobycie w Aquilei.

### XIII.

Liutperd zastał w Aquilei komesa Hildirika i powiedział mu co trzeba, lecz gdy myśmy tam dotarli - gospodarza już nie było. Fulwiusz, miast okazać zdumienie, konsternację lub złość, spytał sucho Hildirikowego majordoma, Caewlina:

- Kiedy będę mógł zobaczyć się z twoim wodzem?
- Nie wiem, panie.
- Nie wiesz na jak długo wyjechał?
- Nie wiem.
- A gdzie wyjechał i po co? Czy konieczność wojenna go zmusiła?
- Nic o tym nie wiem, panie... Wyjechał ku góróm, do naszego castellum.
- Na inspekcję?
- Może na inspekcję, panie.
- To daleko stąd?
- Tyle, co pół drogi między Vicetią i Aquileą. Może trochę mniej.
- Gdzie jest owo castellum?
- Za Nauportus, przed Emoną.
- I nie mówił kiedy wróci?
- Nie mówił, panie.
- Widać nie tęskni do swego syna. Ani do spotkania ze mną.

- Jest wam wdzięczny za uchronienie Alboina od hańby. Kazał dać wam gościnę i opiekę póki zechcecie gościć u nas. Niczego nie będziemy wam żałować, ni jadła, ni napoju, ni obroku. Rozgośćcie się, przygotowałem komnaty dla znaczniejszych spośród was, i wygodne legowiska dla waszych żołnierzy.

Wieczorem Fulwiusz, Valerianus i Rega zastanowili się co czynić.

- Wyjechał, gdyż chce nas tu przytrzymać, chce, byśmy czekali aż powróci - rzekł konsul. - Chce dać Cimberowi czas!
- Niekoniecznie... - mruknął Rega. - Być może chce dać czas sobie.

- Na co?

- Na wysłanie człowieka pod Rzym, żeby sprawdzić czy istotnie Adaloald dostał od króla Teudeberta ów pierścień... Siedząc tu ryzykujemy zbyt dużo. Mogą nas unicestwić nie dotykając broni, rękami bab, podając jadło zatrute.

- To nie w ich stylu - odparł Fulwiusz. - Ściągnęliby na siebie hańbę skrytobójstwa, gdy przecież starają się być rycerzami godnymi chwały rycerzy dawnego Rzymu. Trucizny się u nich nie boję, Rufusie, a czy chcą nas tu siłą zatrzymać, sprawdzimy rano.

I rano oznajmił Caewlinowi:

- Nie będziemy czekać, gdy nie wiadomo jak długo trzeba byłoby czekać. W południe ruszamy dalej.

- Wasza wola, panie... - ukłonił się majordom. - Powiedzcie jakich sprawunków wam trzeba, a zaraz będą wam dane na drogę. Wozy, konie, czy choćby i broń, mój pan jest szczodry kiedy jest wdzięczny.

- Dziwne tedy, że nie chce swojej wdzięczności wyrazić osobiście, ale cóż, trudno... Wiesz co, przyjacielu...

- Słucham was, panie.

- Zmieniłem zamiar.

- Jaki zamiar, panie?

- Zamiar wyjazdu. Zostaniemy jednak, moi ludzie muszą solidnie odpocząć. Tymczasem chętnie posłałbym paru moich do tego górskiego castellum, aby wysondowali stosunek komesa względem kilku spraw, gdybyś tylko dał im przewodnika, co ty na to?

- Mogę dać samego przewodnika, lub dla większego bezpieczeństwa całą eskortę zbrojną, jak sobie życzysz, panie. Komes kazał mi być do twych usług.

Pojechaliśmy we trzech: Rufus, ja i Atenajos, którego znajomość tutejszych dialektów mogła się przydać. Nasza eskorta liczyła dziesięciu wojów. Dziesiętnik patrzył ku nam wilkiem. W powietrzu wisiał straszliwy gorąc. Kopyta wzniecały obłoki pyłu, który łączył się z potem, dając kleistą, burą maź, pełną przyklepionych drobnych owadów. Gdzie tylko był jakiś strumień, stawaliśmy, żeby obmyć to świństwo i schłodzić twarze. Milczeliśmy, by pył nie brudził języków; pędziliśmy niczym bezustne zjawy. Dopiero przed noclegiem usłyszałem głosy Rufusa i mnicha. Kłócili się o czas, o dystans, wreszcie też o same cyfry i liczby. Nie słyszałem początku, gdyż rozbiliśmy nocny biwak u brzegu jeziora, więc wolałem pływać niż słuchać tych gład, a kiedy wróciłem, już kończyli, lecz to był smaczny finał, wart zapamiętania i przywołania teraz z otchłani pamięci, bowiem nauczył mnie czegoś o względności czasu i o dziwnym reagowaniu zmysłów na słowa, którymi określamy jego



upływ. „*Avis*” mówił:

- Wydobyta perła jest czymś innym dla nurka, dla handlarza i dla kurtyzany. Podobnie cyfra. Te same cyfry nie zawsze znaczą to samo. Liczby też.

- Jak to?!... - zdziwił się Rufus. - Dwójka to zawsze dwójka.

- Nie, nie zawsze.

- Ty umiesz sprawić, ażeby nie zawsze znaczyły to samo?

- Ja nie. Natomiast słowa o czasie umieją. Czas to dziwoląg Qho, kiedy różnie go zwiesz.

- Kiedy różnie zwię ten sam czas?

- Uhm - przytaknął mnich.

- Tydzień to zawsze tydzień, choćbym miał tego słowa powiedzieć: siedem dób. Jak go zwał, tak go zwał, zawsze siedem dni i siedem nocy. Pewnie chodzi ci o to, że miesiąc to nie zawsze trzydzieści dób...

- Chodzi mi o coś całkiem innego. Kiedy ktoś ma pięćdziesiąt lat, albo już sześćdziesiąt, i zastanawia się ile jeszcze pożyje, i pomyśli, że przeżyje jeszcze dziesięć lat, to mu się wydaje, że sporo.

- Owszem, to dla starca dość dużo.

- A teraz pomyśl, że przeżyjesz jeszcze dziesięć kwietniów. Lub dziesięć grudniów. No i co?...

Zasypiałem wtedy, słysząc pełne podziwu milczenie Rufusa. A później gdzieś z głębi mej nieświadomości nadpłynął Philomusus:

- On chciał powiedzieć coś innego - coś, co kwitnie w nim jako marzenie lub żądza, ale nie umiał tego właściwie wyrazić, gdyż jest zbyt młody, Kaiusie. Chodziło mu o to, że każdy mężczyzna, który biegnie zadyszany, wygląda tak samo, lecz czymś innym jest mężczyzna biegnący do chorego dziecka, czymś innym mężczyzna biegnący do swej ukochanej, i czymś innym mężczyzna zmykający przed burzą. Atenajos biegnie po widnokręgu, próbując oderwać się od Ziemi. To człowiek liczb, które przewyższają każdą liczbę. Człowiek bezmiernej otchłani kroków - idzie, idzie i idzie, a wciąż mu mało, dusi go zamkniętość świata. Nienawidzi takiego ludzkiego rozumu, który jest tylko rozumem rachmistrzów. Nienawidzi bilansu rzeczy zamkniętych. Każda marszruta staje się dlań tylko deptaniem gleby, odmierzaniem padołu, a on pragnąłby wędrować wśród gwiazd. Jemu chodziło o wieczność, Kaiusie. Dlatego cierpi niczym człowiek, któremu kazano szukać miłości w dzielnicach tanich uciech, gdzie każda kobieta przelicza swoje ciało miarą bilonu. Skazany bowiem na klęskę jest każdy kto szuka cywilizacji miłości bezwarunkowej - przecież jej nie ma. Stąd spazmy cichej rozpacz przykutego łańcuchem do ziemskich dróg. Dlatego zazdrości ptakom, nie pojmując, że i one

nie dolecą do gwiazd. Ileż lat zabrało mi zrozumienie tego, które przyszło wraz ze śmiercią, Kaiusie!...

Spoza jego pleców rozległ się szyderczy chichot Sulpicjusza:

- Nasz drogi Grek, chłopcze, umarł mądrzejszy o świadomość niemożności spełnienia wielkich filozoficznych marzeń. Nawet teraz, kiedy się tak mądrzy, jest głupi, pocziwina, nie rozumie bowiem, iż zasadniczą jego klęską życiową było coś innego zupełnie. Myśli, że było nią niedefinitywne poznanie istoty bytu czy sedna prawdy, gdy tymczasem było nią zwykłe @niezaznanie. Niezaznanie szczęścia miłości, choćby krótkiej i złudnej niczym podmuch wiatru. Wmawiał sobie i każdemu, że przed nadejściem starości trzeba się wyuczyć przynajmniej jednego: odróżniania ziarna od plew. I dążąc ku temu zlekceważył rozkosz, gdyż wyznawał programowo antyepikureizm, biedaczyna... Nie uważasz, Kaiusie, że to smutne?

Philomusus słuchał go milcząc i pobłażliwie się uśmiechając. Miał smutny wzrok, a tym gorzkim uśmiechem starał się sugerować, że trawi go smutek ludzi, którzy dalej niż inni widzą. Wpatrywałem się w te dwie zjawy, czekając pojedynkowego dialogu - lecz oni już tylko wpatrywali się we mnie, jakby szukając sędziego, który rozstrzygnie ich spór. Robili się coraz bledsi, coraz bardziej przezroczyści, aż rozwiali się niby dym dwóch zgaszonych świec.

Od kolejnego dnia droga pięła się ku górom. Za Nauportus zjechaliśmy z gościńca i wędrowaliśmy stromymi ścieżkami, by wreszcie ujrzeć małe castellum, co było niegdyś strażnicą legionową, a teraz własnością barbarzyńców. Zdawało się leżeć blisko, ale nim stanęliśmy u murów, ciemność pochłonęła świat. Przywitał nas fagas Hildirikowy, mówiąc, że komes śpi już, tedy zobaczymy go rano. Zeżarłszy co dał, odurzeni górską aurą, legliśmy w ciężki sen.

Przebudziłem się pierwszy i wyszedłem z izby sypialnej. Stałem między wysokimi blankami muru. Ranek już dawno przeminął, dzień zbliżał się do zenitowania. Na błękitnym sklepieniu wisiało słońce niczym mosiężny gong. Widziałem świat z góry, jakby ptakiem będąc. Pod sobą miałem zielone kotliny i osady górskie wyglądające niby zabawki-klocuszki. Ciszę kaleczyło beczenie baranów i echa skalne od głosów nawołujących się pasterzy. Do dalekich błękitnych szczytów wielkich gór przylepiały się małe obłoczki, chcąc okryć lśniąca nagość tych skał. Niezbyt jednak długo mogłem kontemplować dzieło Boże. Ramię ucapiała mi ciężka dłoń i szarpnięciem ściągnęła mnie ku posadzce ganku straży, a tubalny głos zabrzmiał mi w ucho:

- Gdzie, kurwa, leziesz, szczeniaku?!... Po co się wpieprzasz między te blanki?! Gira ci się przypadkiem obsunie, spadniesz na zbite dupsko, i będę miał przez ciebie kłopot, rzymski gnoju!

Tak poznałem komesa Hildirika. Był to człowiek ogromny, brzuchaty i gruboskórny, wplatający grube wyrazy w co drugie zdanie. Cytując jego słowa, unikał będę tych wyrazów ile zdołam, ale wszędzie nie będę mógł wytrzebić ich czy złagodzić, bo mowę jego odarłbym z właściwego jej charakteru. Co, mam nadzieję, Bóg mi wybaczy, wiedząc, iż plugawość języka wstrętna mi była stale (Philomususowi to zawdzięczam równie jak wychowaniu religijnemu), i tylko kronikarska skrupulatność każe mi być czasami ścisłym, wbrew zniesmaczeniu taką mową.

Hildirik warowała blisko Rzymu, przy boku swego króla współoblegającego miasto, gdyby mu wcześniej, podczas bitewnego kotłowiska, nie zgniótł nogi padający wierzchowiec. Utykał ciężko, czasami czując boleść ze świeżych ran i krzywiąc napuchłe wargi, co pewnie sprawiało, że tym chętniej bluzgał słowami prostaków i pijaków. Widome barbarzyńskie prostactwo sąsiadowało w nim ze sprytem i swoistą trzeźwością głowy (a zatem i z klarownością argumentacji), bez czego pewnie dochrapałby się ledwo stopnia setnika, nigdy namiestnika. Nie wiem czyli wskutek ran, czy już z urodzenia miał głowę trochę przechyloną ku prawemu ramieniu, dzięki czemu wyglądał jak psy przekrzywiające łeb kiedy się dziwią lub nie pojmują, a to sprawiało, że każdy, kto wobec niego stawał, wznagał swą czujność, bojąc się reakcji zaskakującej.

Nim zdołałem coś odrzec, gdy mnie szarpnął i ściągnął, pojawił się Rufus:

- Witam waszą dostojność uniżenie!

- Kimżeś jest?! - burknął komes bez przywitania.

- Prawą ręką trybuna Fulwiusza Corvinusa. Wysłali mnie on i konsul Valerianus Secundus Maxim.

- Tacy z nich trybun i konsul, pierwszy bez legionu, drugi bez Rzymu, jak ze mnie biegacz, odkąd stałem się jednonogi, psiakrew!

- Dziwne, komesie Hildiriku, bom nie pijany, a widok mi się rozdwaja - widzę, żeś dwunożny jak wtedy, gdyś zyskiwał na polach bitew sławę wielkiego wojownika i wspaniałego wodza! - odparł dwornie Rufus.

- Wielkiego, wspaniałego! - zgrzytnął Hildirik. - Im bardziej pierniczeję, Rzymianinie, tym lepiej, kurwa, rozumiem, że być wielkim to to samo co być samotnym, a być wspaniałym, znaczy budzić w ludziach nienawiść ku sobie! Czego chcą ci, którzy was tu przysłali?

- Chcą się widzieć z tobą, panie. Wzajemna wrogość to coś, czego na pewno nie chcą, komesie Hildiriku.

- Słyszałem, że chcą odtworzyć legiony i ocalić Rzym, taka krąży gędźba. Czy to prawda?

- Są zbyt rozsądni, by karmić się chimerami; to złośliwa plotka, szerzona przez naszych wrogów, panie.

Wtedy wylazł z izby sypialnej Atenajos, trąc oczy rażone blaskiem słońca.

- Ci dwaj to twoi słudzy? - spytał komes.

- Nie, panie. Ten tu, to przybrany syn Fulwiusza, Kaius Aelius Pollion, a ten, to Atenajos, mnich z Qho, z klasztoru, który się spalił.

- Ciebie zaś jak zwa?

- Rega.

- Słyszałem o tobie. Mówią, że praktykujesz czary.

- Praktykuję różne rzeczy, komesie Hildiriku. Teraz praktykuję posłannictwo do ciebie.

- Mało brakowało, a byłbyś je przespał... Słyszałem, iż Rzymianie budzą się nie wcześniej niż w południe, bo piją do rana. Tak przechlaliście swoje Imperium.

- Nie my, panie, tylko głupcy, którzy sprawowali rządy. Tutaj uspiło nas to górskie powietrze i zmęczenie drogą, bo pędziliśmy ku tobie jak wiatr.

- Musicie tedy być bardzo głodni - zreflektował się komes i klasnął w dłonie dwakroć.

Nadbiegł sługa, by usłyszeć rozkaz:

- Jadło dla gości! I woda do obmycia rąk! Zjemy tam, na platformie baszty, przy świeżym powietrzu.

Powietrze, choć już rozslonecznione, istotnie było rześkie, chłodził je zefir górski. Jadło zaś było proste, lecz smaczne. Hildirik, widać najedzony wcześniej, wziął tylko owoc. Gdyśmy się posilali, stanął przy krenelażu i zatoczył ręką szeroki ark:

- Teraz już tutaj nasze władztwo, Rzymianinie! Tu wszędzie wokół mieszka nasz lud. A z nim mieszka jego tradycja. I jego hardość. Przywieźliśmy je ze sobą. To wszystko co posiadamy. Ziemia się nie liczy - dziś posiadasz tę, jutro możesz osiąść inną, utracić dawną, szukać nowej, od ilu już wieków ludy przepychają się niczym dzieci igrające po łąkach. Liczy się, kurwa, duch! Wy naszym gardzicie. Marzyliście, by go złamać tak, jak łamaliście drewniane figury naszych bóstw. A teraz sami jesteście niczym! Cóż z tego, że wygrywa wasz Bóg, jeśli wygrała nasza duma i zgnetliśmy wasze Imperium!

- Zali miasto Rzym już zdobyte? - spytał Rega.

- Może już, a jeśli nie, to czyż utrzyma się do końca tego roku? Winno rychło paść. No i winien być spisany przez naszych królów, których wasz cesarz kundlami mienił, uroczysty akt rozwiązania Imperium Rzymskiego. Krew cesarza winna posłużyć jako inkaust, jego czaszka jako kałamarz, jego skóra jako pergamin!

Mówiąc to, rwał zębami gruszkę, a słodki sok spływał po wargach na brodę, niby krew z przegryzanego gardła.

- Upierdoliliśmy Romę, i już nic nie może odwrócić tego! - zakończył, rzucając ogryzkiem w przestrzeń nad krenelażem muru.

- To czemu się tak bardzo nas boisz? - spytał Rega.

Wzrok komesa przewiercił go pełen gniewu:

- Coś śmiał wyrzec?!

- Mówię ci o tym, o czym się w Aquilei szepcze po kątach. Żeś uciekł przed naszą legionową centurią, miast osobiście dziękować „Soterowi”, iż wybawił twego syna z łap lubieżnego biskupa, hegemonia Vicetii. I o tym, czego zaznaliśmy wczoraj, gdy tylko minęliśmy bramę. Twoi ludzie przeszukali nas i zabrali nam wszelki metal, całą broń, nawet mały szpikulczyk do mięsa, którym można raczej ukłuć niż ugodzić... Nie przybyliśmy tutaj, ażeby cię dźgnąć, komesie Hildiriku. Jesteśmy ludźmi honoru. Oferujemy ci samą przyjaźń, a nie wrogość. Ubliża nam taki brak zaufania z twojej strony.

- Chromolę wasze słowa!! - ryknął poczerwieniały na gębie komes. - Ze strony Rzymian nigdy nie spotkało mnie nic dobrego! Nie ufam wam, bo chociaż macie pierścień króla Teudeberta, jesteście, kurwa, wrogami Gotów!... Pchnąć zniecka mieczem lub nożem może wróg każdy! Starczy, że udaje przyjaciela!

- Mądrze mówisz - zgodził się Rufus. - Zło istotnie jest najgroźniejsze wtedy, gdy zakłada maskę dobra, to wiadomo. Ale my nie jesteśmy wrogami wszystkich Gotów. Zaufał nam król Teudebert. Są z nami Goci Liutperd i Adaloald. Gdybyśmy zaś chcieli pchnąć cię zdradziecko nożem, to już byłbyś pchnięty, Hildiriku, a nic takiego się nie stało, wciąż żyjesz...

- Nożem?... Którym nożem? Wyłuskano wam przecież wszystką broń!

- I weź pod rozwagę coś jeszcze... - kontynuował zimno Rega. - Jaką mielibyśmy wskutek tego korzyść? Żadną, zaś w efekcie twoi ludzie ubiliby nas od razu. Nie widzisz, że robisz głupstwo obawiając się zdrady z naszej strony, szanowny komesie?

- Może i tak... - przyznał Hildirik. - Darujcie staremu tę nieufność.

- Z miłą chęcią - uśmiechnął się Rega. - Kaiusie, popraw nam nastrój, który tą rozmową zepsuliśmy. Weź swój flet i zagraj nam jakąś słodką melodię.

Przyniosłem flet, a Rufus wyjął mi go z dłoni i wystrzelił klingę sztyletu przed nosem Hildirika.

- Mówiłem ci, komesie, że gdybyśmy chcieli pchnąć cię zdradziecko, byłbyś już martwy. Lecz my jesteśmy twoimi przyjaciółmi. Doceń to!

Zawstydzony Hildirik siadł ciężko na ławie, aż się ugięła, i przeklął szpetnie swój wstyd.

- Nie klnij siebie - rzekł Rega. - Klnij swojego szefa straży, który zlekceważył muzykę, Hildiriku.

- Zagram ja temu skurwielowi taką muzykę, że popamięta, sucza jego mać!

- Klnij go, ale nie karz go. Bogiem a prawdą... cóż on winien? Zgodzisz się chyba, że głuchy nie

jest w stanie docenić muzyki...

- Pewnie, lecz ten śmierdzący fiut...

- To dlaczego głupi miałby docenić mądrość? Zresztą nawet gdyby zarekwirował nam instrument, moglibyśmy pchnąć cię twoim własnym sztyletem, Hildiriku.

- Mojego pugiinału nikt mi nie wyjmie z za pasa!

- Nikt?

- Nikt! Żaden Rzymianin nie dałby rady!

- Nawet czarownik, komesie?

Komes zerknął do swego boku i zobaczył, że pochewka jest pusta. Zbladł, a Rufus wskazał mu mniemi habit:

- Tkwi tutaj, w rękawie Atenajosa, przyjacielu... Atenajosie, zwróć komesowi jego własność.

Tak oto Rega spacyfikował komesa Hildirika, aquilejskiego wielkorządcę. I kiedy jeszcze rzekł mu, iż konsul Valerianus szczerze złotem opłaci pomoc przy ściganiu Seranusa Cimbera - udało się nakłonić barbarzyńcę, by razem z nami wrócił do Aquilei. Tam zaś niespodziewany bieg spraw potrzęsnał moim życiem jak wichur miotający zerwaną płachetką.

Hildirik był to kłoc wielkiej postury, lecz małego ducha, pedant, symulant i złośliwiec. Mógłby służyć za żywy przykład starej prawdy, iż charakter człowieka wyrodnije wskutek nagłego kalectwa czy ciężkiej odmiany losu, bo pono wcześniej był wesołkiem „kochającym barwy i kurwy” (jak szeptano), a kiedy został kuternogą - przestał lubić tęczowe stroje i przestał „meblować swój dom kobietami”, co czyniło wiarygodną plotkę, iż rumak zmiążdżył mu „nie tylko kulasa, lecz i kutasa”. Owdowiał nim okulał, ale dopiero kiedy okulał, zaczął gwałtownie tępić wszelkie porubstwo, wygnał prostytutki z Aquilei, a przy miejskim cmentarzu założył osobny „cmentarz cudzołożników”, gdzie wkrótce zbrakło miejsca. Córkę i syna pragnął wychować w surowości ariańskiej - Alboina zrobić duchownym, zaś Gwelindę kimś na kształt westalki wystrzegającej się samców. Tyle wiem. Rega, Fulwiusz i Valerianus byli pewni, że Hildirik wcześniej zwąchał się z Cimberem, niezręcznie mu więc było gościć osobiście Cimberowego wroga, mającego pierścień (vulgo: przychylność) króla Teudeberta. Myślał, że tabor Fulwiusza szybko opuści Aquileę. Gdy jednak Fulwiusz został w mieście, i kiedy Rega błysnął komesowi obietnicą złota - stary lis wrócił do swojego grodu. Rozpoczęły się między nim a naszą trójcą zaciekle targi, których świadkiem nie byłem, a wszystko to przestało mnie zupełnie interesować od chwili, kiedy podczas wieczornej biesiady komes spuścił maczugę swego sprytu na mój młodzieńczy łeb.

Uczętę wyprawiono w centralnej izbie rezydencji Hildirika. Przyszedłem trochę późno, bo Lizyp dostał dziwnej gorączki i trzeba mu było zrobić okład z koca nasączonego wywarem. Zobaczyłem wielką salę, sklepioną po rzymsku. Wycięciem sufitowym padały tam promienie księżyca, który się

przedzierał spomiędzy chmur, a przy wejściu para płonących kandelabrow bliższe oświetlała gęby. Inne kandelabry stały wzdłuż ścian, zaś wyżej tkwiące łuczywa dopełniały światło. Wokół czterech stołów ustawionych w kwadrat siedzieli nasi i goccy oficerowie, tudzież znaczniejsi dworacy Hildirika, a komes miał po bokach Valerianusa i Fulwiusza jako dygnitarzy jemu równych. Nie było tam żadnej kobiety, prócz śpiewaczki olbrzymki (nigdy nie widziałem baby równie potężnie zbudowanej), która zawodziła jakąś pieśń przy wtórze strun trącanych przez grajka. Siadłem na ławie między mnichem a Rufusem, który parsknął:

- Gdzie on znalazł syrenę o własnej posturze? Lud mitycznych gigantów! Normalny chłop musi brać drabinę, aby się wspiąć na takie babsko, rety!... Żebym jeszcze rozumiał co ten babus śpiewa?

- Atenajos rozumie - mruknąłem.

- O czym śpiewa ta gocka kupa łoju? - zapytał mnicha Rufus.

- O drewnianych bogach, o nieśmiertelnych kochankach, o pradawnych duchach lasu i kapłanach deszczu, o napoju z krwi...

- To wino, które pijemy, tłoczono chyba z winogron, nie z krwi - rzekł Rega.

Powiedział to akurat wtedy, gdy kobieta skończyła pieśń, więc Hildirik dosłyszał frazę i ryknął:

- Pijecie to wino jak mali chłopcy lub dziewczęta! Trybun i konsul cały czas udają, że piją równo z nami. Boicie się schlać gockim winem?

- Tak, boimy się schlać, aby przez schłanie, które odbiera przytomność, nie okazać ci braku szacunku, komesie Hildiriku - wytłumaczył Rega. - Teraz zaś boimy się dubeltowo, gdyż ta pieśń była o pogańskich gusłach i bałwanach, trochę to dziwne na dworze ariańskiego hierarchy...

- A co, kurwa, mieliśmy wam zaśpiewać przy chlaniu pieśń kościelną?! Podczas biesiad śpiewamy dawne gockie pieśni, jak i wy, Rzymianie, czynicie, śpiewając podczas waszych orgii nie o Jezusie Chrystusie, tylko o Amorze i Wenerze, prawda, konsulu?

- Musiałbyś spytać Rzymianina, który lubi orgie, wasza dostojność... - rzekł Valerianus. - Ja nie uczestniczyłem w nich.

- Uczestniczyłeś w całym tym pierdzielonym olimpijskim świecie dworu cesarskiego, i to jako „wielki kalkulator”, słyszałem co nieco... ouuupp!... - czknął komes. - Polityka, ta stara ladacznica szafująca dupą, była twą główną boginią, cwaniaku, wysługiwałeś się jej solidnie! Mam zgadywać czy kierowałeś się przy tym cnotą, czy raczej brakiem skrupułów?...

- Kierowałem się koniecznością, w polityce inny wybór nie istnieje.

- Jak nie istnieje wybór, to czemu służy kalkulacja?

- Strategii i wszelakim jej niuansom.

- Tedy cnotliwość i prostolinijność wykluczone z góry?

- Cnotliwość nie sypia z polityką, komesie, a uporczywa prostolinijność piewców moralności to zazwyczaj pusta demonstracja... - rzekł chłodno Valerianus. - W ich gestach nieodmiennie kryje się ziarno błazenady, ich twarda doskonałość jest kruchą maską. Wszystko, co zbyt sztywne, pęka od ciosu. Praktykującego politykę musi cechować giętkość.

- Giętkość zmiji, mniemam, konsulu!

- Giętkość myśli... giętkość mowy... giętkość marzeń... wszechstronna giętkość. Czasem i giętkość zasad. Inaczej polityk legnie, wzorem naszego cesarza, i nikt nie okaże mu litości. Tak, Hildiriku, to jest bezlitosna gra, ciągła wojna, nie tylko przeciw wrogom, rywalom czy kaprysom fortuny, lecz i przeciw naturalnym ludzkim skłonnościom. Bez trafnej kalkulacji giniesz - zetrą cię kamienie przyrodzonych ludzkich popędów, od żądz i wściekłych afektów, do złowrogich pragnień i szalonych ambicji. Ta gra byłaby niewątpliwie prostsza, gdyby ludźmi stale kierował rozsądek, lecz życie mnie nauczyło, że ilekroć rozsądek zawadza instynktom grzesznym, ludziom łatwo przychodzi zmuszanie go do kapitulacji, Hildiriku.

- Wy, Rzymianie, uwielbiacie zmuszać do kapitulacji, robiliście to od setek lat, „*wielki manipulatorze*”! - zagrzmiał pijany Got. - I nawet teraz, kiedy kapituluje wasze Imperium, szukacie sposobności gdzie się da! Również ja przed waszymi żądaniem skapitulowałem niczym łatwa dziewczka, konsulu!

- Łatwej dziewczce nie płaci się tyle złota, ile trybun Fulwiusz dał ci za wozy, za zimową odzież, za wszystkie te futra oraz ciepłe buty dla gromady ludzi. Wskaż mi, Hildiriku, łatwą dziewczkę, która nazbiera tyle klejnotów, ile ja chcę ci dać za pomoc w odszukaniu bandy Seranusa.

Słuchałem tego jednym ledwie uchem. Panował tam rozgardiasz quasi-karczemny. Część spośród biesiadników gaworzyła w małych grupach, przypijając. Część bełkotała i waliła się pod stół. Fulwiusz, choć siedział obok perorującego wielkorządcy, miał kamienną twarz i spojrzenie zawieszony nigdzie, grając nieobecność. Lecz i on drgnął niczym ukłuty, podobnie jak Rufus i Atenajos, gdy Got rozwinął wątek słowami, które przyprawiły mnie o drżenie członków:

- Chcesz Cimbera? Dam ci Cimbera, kalkulatorze.

- Oby rychło - rzekł Valerianus.

- Tuż po ślubie, konsulu. Jeśli ślub będzie jutro, i jeśli wesele będzie jutro, Cimber też będzie twój jutro.

- Dopadliście drania?! - podniecił się konsul.

- Wiemy gdzie jest.



- Co ma wszelako do tego ślub twojej córki?

- Mojej córki?! Gwelindy nie wydam za mąż tak łatwo, zbyt ją kocham, to światło moich oczu! Pewnie kiedyś będę musiał, trudno, wola Boża, lecz poczekam z tym długo. Sama myśl, że mógłby mi ją odebrać jakiś chłop, strasznie mnie wnerwia. Jeszcze mego zięcia nie znam, a już go, kurwa, nie lubię!

- Więc żenisz Alboina, Hildiriku...

- Zadurzył się głupol. Mówi, że go nie kocham, że nigdy go nie kochałem, że serce miałem tylko dla jego siostry, że wypędziłem go precz, w łapy klechy sodomickiego, że przysporzyłem mu cierpienie i wstydu, i że mogę to wszystko zmazać dając mu żonę, bo inaczej on popełni samobójstwo, czym ściągnie hańbę na mnie i na cały klan rodu! Skamle mi, a ja mam miękkie serce, Rzymianinie, godne wnuki mi się marzą...

- Więc daj mu żonę, a mnie daj Seranusa Cimbera, jedno nie przeszkadza drugiemu.

- Więc ty daj Alboinowi swą córkę, bo on gada, że bez niej nie chce żyć. Dasz mu Kornelię, ja dam tobie Cimbera, łaskawco. Po wzięciu Rzymu młodzi zdobywcy, chcąc uświetnić swą krew, wezmą sobie gwałtem za żony córki waszych patrycjuszów, jak to już bywało po każdym wzięciu Romy. Mnie tam nie ma, i Alboina tam nie ma, lecz mój syn nie musi być gorszy od towarzyszących Teudebertowi wojów!

Zapadła straszliwa cisza. Rufus i Fulwiusz wpatrywali się we mnie, a ja w gębę Valerianusową. Przypomniałem sobie te spojrzenia, którymi Alboin pieścił Kornelię podczas całej drogi z Vicetii. Lekceważyłem to, ściągała wzrok niejednego napaleńca. Teraz ślina przetoczyła mi się przez gardło niczym bela ostu, a wokół karku uczulem mrowienie. Valerianus odrzekł głosem chwiejnym:

- Cóż... ta propozycja to... to wielki zaszczyt, wasza dostojność. Lecz bez porozumienia z małżonką i z Kornelią nie mogę...

- Nie pierdol mi tu, Rzymianinie, iż rzymskie matrony decydują o zamążpójściu swoich córek, albo że wasze córki same wybierają dla siebie mężów! - przerwał mu grzmiąco Hildirik. - I u was, i u nas, ślub to interes, pakt dwóch rodów, transakcja, i nic innego! Chcesz dostać Cimbera, czy chcesz żeby Cimber dostał ode mnie ciebie?! Kalkuluj giętko, by nie starły cię kamienie przyrodzonych ludzkich skłonności!

- Nigdy nie kalkuluję po winie, Hildiriku - rzekł wolno konsul. - Omówimy rzecz jutro z rana.

Komes rąbnął pięścią blat stołu aż zabrzęczały dzbanki:

- Jutro rano staruchy sprawdzą czy twoja córka jest dziewicą, w południe może się odbyć ślub, później uczta weselna, a wieczorem krwawa ofiara. Pogańskim kozłem będzie Cimber, co ty na to?

- Zezwól, wasza dostojność, iż teraz oddalę się spać. Jutro wznowimy tę rozmowę.

- Zasuwasj! - zgodził się Got. - A śpij kalkulując giętko, bom synowi obiecał, że ją weźmie, i nie chcę świecić czołem przed moimi ludźmi!

Cały kolejny dzień zszedł na handryczeniu się Hildirika z Valerianusem i Valerianusa z Terencją, nie wiem czy przy udziale Fulwiusza, bom nie asystowałem temu jarmarkowi. Leżałem w izdebce, gdzie były cztery wyrka: Atenajosa, Rufusa, Marcipora i moje. Czasami wpadał tam Marcipor, mruczając: „- *Żle!*” po swojemu, raz zajrzał Rega, a mnich siedział cały czas na stołku, jakby chorego pilnując. Gdy Marcipor przyniósł jedzenie, Atenajos próbował mnie zmusić do przełknięcia choć kęsa, lecz odmówiłem.

Zwlokłem się z wyra kiedy przyszła szarość. Stąpnałem za próg. Korytarz prowadził do tarasu. Widziałem z tego tarasu gaśnięcie słońca nad horyzontem. Niebo pobladło, zaróżowiło się i skrwawiło. Atmosfera brunatniała. Dał lekki wiatr gdzieś od ciemnej smugi lasu. Wreszcie mizerne już światło dnia zgasło zupełnie i mrok począł gęstnieć niby kłęb czerniejącego dymu. Zobaczyłem konstelacje gwiazd.

Nie wiem jak długo tam stałem. Pamiętam, iż chciałem się modlić, szukając ratunku u Boga Wszechmogącego. Lecz paraliżował mnie wstyd, że modliłbym się gwoli nasycenia chuci cielesnej. Nawet dziś łamię prawa mego zakonu, modląc się rzadziej niżli każe mnisie ordo, razi mnie bowiem przykazana regularność modlitwy. Zawsze uważałem, iż ci, którzy nieustannie się modlą, obniżają rangę modłów, czyniąc poryw serca, jakim winna być rozmowa z Bogiem, rytualną czkawką, bliższą bezdusznej rutynie aniżeli głębokiej wierze, niczym te staruszki, co mechanicznie haftują pod lampą aż do utraty wzroku, i niczym obumieranie współczucia, wytwarzane przez zwyczajowy rytm filantropijnej hojności. Kiedy się względem tego spowiadam - mój poczciwy przeor mówi, że grzeszy dając mi rozgrzeszenie.

Wyrwało mnie z odrętwienia muśnięcie powietrza bitego skrzydłem nietoperza lub ptaka, którym - tak sobie dzisiaj myślę - mógł być Custos. Wróciłem do izby. W jednym kącie dymił kaganek, a w drugim ujrzałem skuloną postać na wyrku. Panował tam głęboki półmrok, więc przez moment sądziłem, że to siedzący mnich. Jednak to nie był Atenajos. Gdy zjawą wstała i zrobiła dwa kroki ku światłu - zobaczyłem Kornelię!

Trwało chwilę nim zdołałem dobyć głos:

- Co tu robisz?

Nie pytałem: co tu robisz o tej porze?! - lecz było jasne, iż o tej porze winna już dawno spać gdzieś w izbach kobiecych.

- Przyszłam do ciebie, Kaiusie... - odparła. - Chcę, żebyś...

- Żebyś co zrobił?

- ... żebyś mnie wziął.

- Teraz? Tutaj?!

- Przecież pragnęłaś tego odkąd mnie zobaczyłaś...

- Tak, ale... ale myślałem, że...

Chciałem powiedzieć, że wyobrażałem to sobie zupełnie inaczej, jednak urwałem w pół słowa i powiedziałem coś innego:

- Rufus, lub Marcipor, lub Atenajos mogą tu lada chwila przyjść!

- Śpią gdzie indziej. Pan Rega wskazał mi waszą komnatę, bez niego nie wiedziałabym gdzie cię szukać.

- Przysłał cię Rufus?! - wykrztusiłem.

- Nie przysłał. Sama zdecydowałam, on mi tylko powiedział, Kaiusie, gdzie ciebie znajdę, i że będziesz tu sam aż do świtu.

Teraz już całkiem odechciało mi się jej pieszczot. Zamilkłem, licząc, że ona wyjdzie, zrażona moim brakiem entuzjazmu, lecz ona, po przekroczeniu tego progu, była już prawie pełną kobietą, a gdy dziewczyna chce zostać pełną kobietą w danym akurat momencie - łatwiej ją zabić niż zniechęcić. Twarz miała spokojną, być może pulsującą wstydliwym rumieńcem, jednak nie mogłem tego widzieć, bo stałem między nią a płomieniem kaganka, co zagęszczało półmrok cieniący jej rysy. Musiała czuć strach, ale jej determinacja była silniejsza od tego strachu. Spytała głupio:

- Wiesz jak się to robi?

Szepnąłem równie głupio:

- Wiem, robiłem to już.

Przywołuję tu z głębin minionego czasu tyle erotyczny co komiczny dialog nastoletnich istot pretendujących zuchwale do dorosłości, rozumiejąc całą jego śmieszność, lecz zarazem wiedząc dzięki mądrości starca, iż ludzie prawdziwie dorośli często bywają równie (lub też bardziej) komiczni w łóżku i przy łóżku, kiedy płęć gra z drugą płcią dialogi improwizowane dla tej nieśmiertelnej sztuki, którą natura każe odgrywać wszystkim pokoleniom. Wtedy nie czułem śmieszności owego dialogu - raczej bałem się śmieszności zaniechania, choć i to fakt, że skutek miejsca oraz planów Hildirika bałem się też czynu eliminującego śmieszność. Gdy bowiem rzekłem, iż „*robiłem to już*”, Kornelia wygłosiła:

- Więc teraz zrób to ze mną!

Po tych słowach nie miałem innego wyjścia, nie mogłem dłużej używać jakichkolwiek obronnych słów, bo każde następne takie słowo robiłoby ze mnie gnojka wartego li tylko śmieszności. Gdybym

jej wtedy nie przytulił, nie pocałował, nie rozebrał i nie wziął, stałbym się dla niej kimś dużo gorszym niż zaprzeczeniem mężczyzny: najbardziej znieawidzonym wrogiem, sprawcą tej jedynej hańby, której kobieta nie wybacza nigdy i nikomu. Choć byłem młodzieniaszkiem, rozumiałem to równie dobrze jak każdy żrały mąż, bo nasza płeć też ma swoją zwierzęcą intuicję, która się budzi gdzieś około mutacji głosu.

Przed świtem powiedziałem, że winna już wracać do kobiecej izby, a ona pokręciła głową, mówiąc;

- Nie wrócę tam! Chcę być u twego boku, Kaiusie.

- Jak to odkryją z rana, wybuchnie piekło!

- Właśnie po to przyszłam tu!

- Myślałem, że przyszłaś, bo mnie kochasz...

- Kocham cię, ale nie przyszłabym tutaj jak ladacznica, gdyby nie strach, że każą mi poślubić tego barbarzyńcę. Prędzej się zabiję niż zostanę małżonką pajaca, który dogadzał biskupowi!... Niechaj wybuchnie piekło, tego właśnie pragnę, Kaiusie, żeby wybuchło piekło!

I piekło wybuchło - Hildirik dostał szau, mnóstwo dłoni spoczywało wściekle na rękojeściach mieczów, mnóstwo zębów szczyrzyło się ku innym wyszczerzonym kłom, mnóstwo ohydnych słów wirowało między dwiema zgrajami drapieżnych zwierząt, groty mierzyły w groty - mogła nastąpić rzeź. Nie nastąpiła, za sprawą czarów.

- Komesie, zlej zimną wodą swój łeb, wygaś swą złość, albo ja jeden, bez broni i walki, unicestwię was! - krzyknął Rufus.

- Sztuką czarnoksięską? - prychnął Hildirik. - Sram na nią, sztukmistrzu! Mój medyk wytłumaczył mi już, że gdybyś był prawdziwym czarownikiem, to nie potrzebowalibyście płacić za Seranusa Cimbera, bo sam byś go zlokalizował dzięki jasnowidzeniu!

- Żeby jasnowidzieć, trzeba być jasnowidzem, a ten dar jest mi obcy, wasza dostojność - odparł Rega. - Nie potrafię też przepowiadać i wróżyć. Nie umiem przemienić żołędzi w klejnoty, garbusa w cherubina, a żaby w gładkolicą pannę. Nie umiem zakłąć deszczu i zwiększyć zbiorów. Mówiąc krótko: nie praktykuję niczego co należy do białej magii, gdyż jestem adeptem czarnej magii. Dlatego nie potrafię czarnoksięsko wytwarzać dóbr, vulgo: dawać. Umieję tylko niszczyć, burzyć i zabierać.

- Więc co, kurwa, odbierzesz mi znowu nożyk?

- Odbiorę ci absolutnie wszystko, zmiotę całą twą posiadłość z powierzchni ziemi - rzekł Rega. - Jak tamtą szopę, widzisz?

Dziesiątki par oczu spojrzały ku szopie magazynowej między stajnią a wędzarnią, tymczasem on

przemamrotał kilka zakleć, klasnął dwa razy, i nim minęła chwila - gruchnął straszliwy huk, wystrzelił gejzer ognia, buchnął kłęb dymu, a drewniana konstrukcja rozleciała się tak szeroko, iż wszyscy osłaniali głowy przed gradem resztek sypiących się wokół. Hildirik zbladł, jego ludzie trzęśli się i cofali od Rufusa jak od zadżumionego.

- Wolisz może fragment swojego pałacu? - spytał Rega. - Wybierz sobie, który?

Hildirik nie mógł dobyć głosu ze ściśniętego gardła, więc Rufus wybrał za niego:

- Piwniczki są najbliżej, zdecydujemy. Jeśli podpalę tamtą, w której trzymasz oliwę, spłonie od razu cały pałac, a to jeszcze nie ten etap, wciąż przecież negocjujemy, prawda, Hildiriku? Może więc ruszmy piwniczkę, w której trzymasz wino. Pijaństwo źle służy twemu rozumowi, jak to widzieliśmy, zatem kiedy gąsiorzy i wazy się rozleczą, zyskasz trochę rozumu.

Znowu pomamrotał i klasnął, a u dna kamiennych schodków prowadzących do loszku trysnął gejzer zniszczenia tak silny, że podmuch gwałcił ludzi niczym wicher młode gałęzie. Marcipor i Mustio pięknie się spisali.

- Będzie ci już dosyć, czy bawimy się dalej?... - spytał Rega. - Ta brama mi się nie podoba, przyznasz, że jest licha, Hildiriku, ubliża swą lichotą okazałości twej rezydencji. Wykopmy ją w powietrze.

Zaczął znowu mamrotać, ale komes nie czekając krzyknął:

- Przestań, skurwysynu! Dosyć! Możecie odejść swobodnie, wolna droga!

Wtedy włączył się Valerianus:

- Za tę wolną drogę dziękujemy ci sercem, wasza dostojność, a za Seranusa dalibyśmy klejnoty. Nie cofam obietnicy. Pełny kuferek będzie twój, jeśli wskażesz gdzie szukać psa cesarskiego.

- Choroba na was, przeklęte rzymskie wilki! - syknął komes. - Wytluczcie się, kurwa, wzajemnie, a ja wtedy pozbię łupy z placu waszego boju. Mój setnik doprowadzi was.

- No to... no to, kurwa, bywaj! - rzekł kłaniając się Rufus. - Każ, kurwa, otwierać bramę. Chyba że chcesz, kurwa, abym ją sam otworzył. Wszystkiego kurwiego, zdrowia szczęścia, łaskawco!

Taki oto koniec miał nasz przystanek w Aquilei, który dla mnie był początkiem związku cielesnego z Kornelią. Związku całkiem innego niż obiecywały mi marzenia. Zawsze kochałem marzenia, gdyż prawie zawsze są lepsze od spełnień. Mówisz realnemu światu: dobranoc, kochanie!... - i zanurzasz się w świat marzeń, w świat wyobraźni karmiony przez pragnienia. Atenajosowi raz przyśnił się Chrystus (mnie nigdy; często śnili mi się tylko Sulpicjusz i Philomusus). Dowiedziałem się wtedy od mnicha, iż Chrystus wyjaśnił mu jak postępuje z grzesznikami. Miał rzec: „- *Wpierw upominam ich głosem sumienia. Jeśli to nie skutkuje, zsyłam na nich przygody, które winny skłonić człowieka, aby się opamiętał. Kiedy i to nie pomaga - spełniam jego główne*

*pragnienie*”. Między Rzymem i Aquileą moim najgorętszym pragnieniem było zdobyć córkę Valerianusa. Co się spełniło. Lecz nie zaznałem dzięki temu długotrwałej radości. Dzisiaj wiem, iż trzeba marzyć bez pragnienia, by każde marzenie przybrało realną postać, i że tylko głupiec szuka wszystkich spełnień jako żeru. Żerujący głupcy podobni są bowiem wtedy do małych drapieżnych ptaków, które tak mocno ogarnia żądza łupu, iż nie zauważają wielkiego drapieżnego ptaka, co się unosi nad nimi chcąc je zgładzić. Ów wielki ptak to złośliwy, karzący los - fatum. Wbrew sennej wizji Atenajosa, nie sądzę, że przykłada do tego rękę Bóg. Philomusus twierdził, iż to sprawka Nemesis, bogini greckiej.

Zabrało mi trochę czasu, by zyskać tę dyscyplinującą żądze świadomość. Staje się ona cennym atrybutem dopiero trzeciego etapu. Zważając bowiem po sobie - znam trzy dorosłe fazy życia myślącego człowieka. Pierwsza jest dalej młodzieńcza, gdy myślenie lędźwiami wciąż góruje nad myśleniem rozsądną głową. Druga to dojrzałość, gdy zaczynają targać człowiekiem niepokoje - budzi się lęk jednostki uświadamiającej sobie z wolna własną znikomość i bezcelowość. Trzecia to wiek starczy, gdy malejącą sprawność ciała lepiej łagodzą refleksje duchowe niżli medykamenty znachorów. Teraz, kiedy już od tak dawna nie jestem w okresie godowym - moja refleksja nad moim związkiem z Kornelią sprowadza się do chłodnej myśli, iż mogło być jeszcze gorzej. Ergo: nie żałuję, iż los oszczędził nam długiego regularnego małżeństwa. Kultuwując długo wzajemną codzienną obecność, tudzież bieżącą współintymność, ludzie zbyt dokładnie się poznają, a nie mogąc całkowicie ukryć swych sekretów - nie mogą się szanować jak ci, którzy stykają się tylko okazjonalnie i czynią ze swoich zetknięć misterny teatr. Bez doraźnego (nawet jeśli częstego) spektaklu min, póż i gestów, bez towarzyskiego ceremoniału chwilowych pozorów - współżycie staje się oborą, więzieniem lub pantomimą wariatów, i nuda codzienności nieubłaganie przeradza się w gorycz obrzydzenia lub skrywanego politowania. Kobiętę zresztą dotyka to szybciej i boleśniej, gdyż kobiety są jak dzikie gazy, które schwyte - powoli umierają.

Tylko dziwaczny „*Ptak*” zdołał nazwać cały ów puls przeznaczenia jednym diagnozującym słowem: Qho.

## XIV.

Coraz mi trudniej spisywać wspomnienia o tamtej wędrowce donikąd, która formalnie była wędrownką w poszukiwaniu „ostatniego legionu”. Trochę to sprawa oczu, które zmęczyłem ślęcząc miesiącami nad pergaminem przy bladym promieniu dnia i żółtym kaganka, ale też jest to zniechęcenie wobec sumiennego rejestrowania zdarzeń. Nęka mnie myśl, że im więcej przywołuję faktów, tym bardziej umyka mi duch tamtej drogi, a moja pisanina staje się kroniką. Wcale nie planowałem kroniki - zamierzyłem kadzidło dla Fulviusza; mój tekst nie miał być li tylko rejestrem - miał być dramatem wzruszeń. Więcej daje tu wskrzeszanie dialogów niżli wskrzeszanie wypadków. Zdarzenia bowiem są jak paliki, na których można rozpiąć płótno do haftowania mapy owej trasy, podczas gdy dialogi są niby wonne świece, które paląc się rozsiewają zapach, vulgo: przywołują zmysłowy klimat marszu. Jedne i drugie odtwarzają czas, lecz nie kreują takiej samej fizjonomii minionego - szkielet zdarzeń to struktura reliktowa, statyczna jak posąg, gdy wibracja słów, gestów, dźwięków, milczeń i spojrzeń tętni jak żywe serce bijące pod skórą. Czas przeszły, i nieprzemijający czas.

Sam choćby dźwięk słowa „czas” rozbudza we mnie echo dwóch dialogów: opisanego już dialogu między Atenajosem i Rufusem, tudzież dialogu trochę późniejszego, między Rufusem a Fulviuszem. Ten drugi dialog tyczył Atenajosa, konkretnie zaś stosunku Regi do mnicha, i wówczas „pies Fulviusza” właśnie czasowi poświęcił kilka słów, mówiąc:

- Atenajos jest dziwadłem natury, którego chciałem się wystrzegać zrazu, lecz mi to przeszło, bo spostrzegłem, że mogę się od niego uczyć, choć sądziłem, że już żaden człowiek nie może mnie nauczyć niczego nowego na tym świecie.

- Rufio, tylko mi nie wstąp do klasztoru!... - parsknął „Soter”.

- Do żeńskiego wstąpiłbym po drodze ile razy bym taki napotkał - odciął się Rufus. - Szkoda, że nie ma klasztorów babskich...

- Kobieta w habicie! - westchnął Fulviusz.

- Młoda i ładna kobieta w habicie, wodzu! - sprecyzował Rega.

- To byłoby prawdziwe dziwadło, kąsek dla każdego satyra pokroju Rufusa Regi!... Ojciec Damian umrze ze zgrozy kiedy mu wspomnę. Ale czemu zwiesz „Avisa” dziwadłem natury, Rufio? I czego się uczysz od tego rudzielca? Miłości do ptactwa, szybkiego mnożenia, lub może kuglarskich sztuczek?...

- Różnych rzeczy. Między innymi lepszego pojmowania czasu.

- Pojmowania czasu?

- Definiowania czasu. Nieraz zadawałem sobie pytanie: czym tak naprawdę jest czas? Jak go zdefiniować? Że „płynie”? Albo że „mija”? To bełkot. O ile wiem, żaden uczonec, żaden mędrzec nie umiał się wznieść nad paplanie poetów, kiedy rozpatrywał istotę czasu. Jedna gadka z

Atenajosem o słowach, jakimi wyrażamy bieg czasu, uświadomiła mi, że czas to język, za pomocą którego rejestrujemy zdarzenia i klasyfikujemy zmiany dokonujące się wokół nas, we świecie i w życiu.

Przywołując zdarzenia sprzed pół wieku, chciałem pisać głównie o Fulwiuszu „Wybawcy”, tymczasem spostrzegam, że poświęcam mu coraz mniej słów, a moimi bohaterami stają się mnich, konsul, trzy niewiasty, tudzież barbarzyńcy, i zwłaszcza Rufus Rega - cienie półboga. Jakby tło obrazu mogło służyć malarzowi do celnego wypromowania figury portretowanej; lub jakby wielkość opisywanego herosa zależała od opisu gromady jego świadków - jego miłośników i wrogów. Nie wiem czy tak być powinno, ale wiem, że tak mi samo wychodzi - może to któryś wyższy duch spośród cherubinów prowadzi moją rękę? Częstokroć już miałem takie wrażenie, gdym zaczytywał dawniej napisane fragmenty tekstu, że to nie moje własne słowa, lecz jeno przeze mnie spisane wedle dyktanda cudzego.

Muszę wszakże tu przyznać, że wtedy stale bywałem koło Rufusa i blisko Atenajosa, rzadko spędzając czas u boku Fulwiusza - tylko w trakcie niektórych posiłków. Częściej nawet rozmawiałem z księdzem Damianem, z setnikiem Caeliuszem, z Marciporem, z Mustiem i z podrzędną służbą niżli z moim ojcem. Zazdrościłem małemu Justusowi, którego brał na ręce kiedy żonę konsula wizytował. Mnie czasami pytał o zdrowie, lub zlecał mi jakieś drobne czynności, i to wszystko. Mogło się zdawać, że Redze pozostawił całą dbałość względem mego wychowania i sprawowania, mianując go preceptorem. Tak też chyba rozumiał rzecz ową i ksiądz Damian, bo w sprawie dotyczącej mnie i Kornelii zwrócił się nie do Fulwiusza, lecz do Rufusa:

- Panie Rego!

- Słucham, wielebny.

- Trzeba uporządkować zażyłość między dziećmi trybuna i konsula.

- Słucham, wielebny.

- Trwa między nimi porubstwo, które jest grzechem przeciwko obyczajności, tak dłużej być nie może, zgodzisz się ze mną, mniemam?

- Mniemasz błędnie, wielebny, bo nie zgadzam się z tobą. Porubstwo ma to do siebie, że może trwać długo, równie długo co każdy bunt przeciw obyczajności zwany grzechem. Ale nie każdy taki bunt urąga zaraz świętości Dekalogu. Jeżeli dobrze to pamiętam - Dekalog wzbrania pożądać małżonki bliźniego swego, lecz względem córki bliźniego swego nie mówi ani słowa.

- Córka konsula naśladuje jawnogrzesznicę, pokładając się z Kaiusem bez ślubu!

- Więc ty naśladuj Chrystusa Pana, który zakazał obrzucać jawnogrzesznicę kamieniami.

- Umiesz pytlować niczym wąż z Pisma Świętego! Alem ja na to odporny! Winni wziąć ślub! - wrzasnął ksiądz Damian.



- Ślub często staje się dla amatorów wędzidłem, przemienia bowiem spontaniczność w kierat obowiązku. Mężczyźnie nie jest potrzebna żona, tylko kobieta, a jako kobieta lepiej się sprawdza służąca, niewolnica, prostytutka lub przygodna miłośnica, wielebny.

Ksiądz podszedł bliżej i wbił płonące spojrzenie w oczy Rufusa:

- Mówisz to serio, człowieku?!... Co cię skłania do takich twierdzeń?!

- Znajomość życia i bliźnich, wielebny.

- Dla spełnienia swego życia po chrześcijańsku kobieta winna być żoną i matką!

- Kaius sam jest wciąż dzieckiem, księżulu, więc chwilowo nie łaknie własnego bachora. Zrobi jej brzuch, będziemy myśleć o ślubie, ale teraz nie ma na to czasu, bo myślimy o Seranusie Cimberze. Wskutek braku praktyki ksiądz nie pojmuje wyższości miłośnicy nad żoną...

- Chcesz mi klarować o wyższości prostytutki, służki lub niewolnicy nad małżonką?! - przerwał mu Damian. - Jakaż to jest wyższość, według ciebie?!

- Zasadnicza, święty mężu. Z żoną trzeba stale rozmawiać.

- Panie Rego, nie bez bólu dostrzegam, iż coraz bardziej gnije ci dusza!

- Masz zły wzrok, księżulu, bo to mi nie grozi.

- Grozi to każdemu kto traci dyscyplinę moralną!

- Mnie nie grozi. Po tylu latach nic już we mnie nie zostało do zepsucia, wielebny.

- Starasz się wywinąć dowcipem, panie Rego, ale mnie to nie rozbawia, albowiem miast humoru widzę w tym przejaw skrajnego cynizmu, który jest trucizną duszy!

- Tu się zgadzamy, księżulu, nie ma lepszej trucizny na głupotę.

Oczy księdza Damiana przestały płonąć. Spojrzał ku niebu, gdzie białe obłoczki tuliły się do siebie niczym baranki wystraszone zewem wilków, kiwnął łepetyną, musnął dłonią siwą brodę, wreszcie mruknął głosem pełnym politowania dla bezbożnika:

- I w tym widzisz swą siłę, biedaku?

- Czy powiedziałem coś takiego, wielebny?

- Powiedziałeś. Powiedziałeś, gdyśmy razem wączali loch biskupa. Mówiłeś tam, iż Chrystianizm „to niemęska rzecz, religia bab, niewolników i płaczków”. A ty chcesz być silny...

- Może dlatego chcę taki być, ponieważ pragnę, by kochał mnie Bóg! - warknął wojowniczo Rega,

czując, iż traci grunt wskutek ściszenia przez księdza głosu.

- Chrystus ukochał słabych - szepnął ksiądz.

- Czyżby, księżulu? Rozejrzyj się dookoła. Bóg kocha silnych. Gdzie nie spojrzysz, tam zobaczysz jak chłoszcze słabych rękami silnych! Zali kiedykolwiek bywało inaczej?...

Ksiądz położył mu rękę na ramieniu i wymruczał:

- Synu, spróbuj przynajmniej lubić siebie samego... Od czegoś trzeba zacząć, i w ogóle trzeba kiedyś zacząć, inaczej aż do śmierci będziesz martwy.

Chwilę później Rufus zobaczył jego łagodny uśmiech, a dwie chwile później plecy księdza Damiana. Wtedy przeklął w jakimś obcym mi języku, lecz nie musiałem znać wyrazu, żeby wiedzieć, iż „*pies Fulwiusza*” klnie siebie samego. Rozumiałem też coś, czego ksiądz nie rozumiał jeszcze. Rufus nie tyle nienawidził wszystkich, ile surowo oceniał wszystko i wszystkich, może prócz trybuna. Był człowiekiem, który wbrew naturalnym u ludzi skłonnościom wystrzega się idealizowania rzeczywistości - jego bezlitosny charakter zabraniał mu tego. Nigdy niczego nie upiększał. Przeszłość widział taką, jaką była; teraźniejszość brał za taką, jaka jest; przyszłość traktował sceptycznie, co oszczędzało mu rozczarowań. Rezerwa wobec ludzi (wobec ich deklaracji, życzeń, planów, czynów) tudzież wobec bogów - oszczędzała mu zbędnych cierpień. Dzięki temu doznawał mniej bólu niż większość bliźnich, vulgo: niż ludzie karmiący się marzeniami i grzeszący naiwnością.

Awangardą takich ludzi są zakochani. Takim byłem wtedy ja. Noc w Hildirikowym pałacu przyprawiła mnie o gorączkę zdobywcy - euforię. Marzył mi się ślub z Kornelią. Wszakże prócz księdza Damiana nikt nie chciał rozpatrywać kwestii ślubu, gdyż prowadzeni przez kilku Hildirikowych wojaków pędziliśmy na spotkanie z Seranusem Cimberem. Valerianusa również opanowała gorączka - gorączka drapieżnika, który polując czuje już bliskość swej ofiary. Co gorsza - Kornelia, ku mojemu zdumieniu, wykazywała wobec mnie chłód. Pierwszy nocleg po opuszczeniu Aquilei pragnąłem spędzić erotycznie, lecz zostałem zbyty jakąś wymówką, której dziś już nie pamiętam. Drugiego wieczoru przydybałem Kornelię u strumienia, gdzie płukała chusty, i wreszcie ją wziąłem, lecz prawie gwałtem, bo wcale nie paliła się do tego. Myślałem, że oboje będziemy płonęli, sami pod gwiazdami, kapłan i kapłanka miłości, gorąca nimfa i zdyszany faun, lecz owady w trawie gniecionej przez ciało Kornelii słyszały tylko moje sapanie, a czułość, której tak bardzo pragnąłem, nie została mi dana. Z trudem wstrzymywałem krzyk: „- Łatwiej ci przychodzi rozchyłać uda, niżli dotknąć palcami mego policzka, dziewczyno?!...”. Padło zamiast tego inne moje warknięcie, gdy już zerwała się na równe nogi:

- Sądziłem, że mnie kochasz!

- Mówiłam ci przecież, Kaiusie, że cię kocham.

- To czemu...

Pojmując o co chcę spytać, weszła mi w zdanie:

- Zrozum, to wszystko stało się tak szybko, że nie mogę jeszcze pozbierać myśli...

- Kiedy weźmiemy ślub?

- Ślub?... Nie wiem, ojciec ma teraz głowę zaprzątniętą szukaniem tego Cimbera. Macocha jest wściekła jak osa. Bądź cierpliwy, Kaiusie.

Nie byłem cierpliwy - byłem rozgoryczony. Wokół interesowano się wyłącznie Cimberem, a mnie przenikał ból i strach, że moje szczęście rozłazi mi się w dłoniach niczym parciejące płótno. Poznałem wówczas - jak gdyby puls mego histeryzującego serca akompaniował dywagacjom mnicha i Rufusa o czasie - zupełnie nową miarę upływających godzin. To dziwny stan. Mijające chwile tracą swą zwykłą niezauważalność i rozbrzmiewają dojmująco, jakby chciały przypomnieć, że są - że są silniejsze od człowieka. Dłużąca się i paraliżująca bezsilność... Rufus, widząc mnie wracającego znad strumienia do namiotu, czytał wszystko z mojej chmurnej twarzy niby z tabliczki zapisanej rylcem. Dał mi czarkę wina i suchym tonem powiedział tylko parę słów. O marzeniach. Pisałem tu już wczoraj bądź przedwczoraj o marzeniach i o spełnianiu się marzeń ludzkich. Nie chcę teraz liczyć ilu zdań użyłem do tego. Sporo. Rega wyłożył mi to samo jednym zdaniem:

- Marzenia umierają stając się rzeczywistością, Kaiusie, nawet wtedy, kiedy nie spotyka cię bolesny zawód - umierają tak, jak sen umiera gdy się budzisz.

Tymczasem spełniało się wówczas głośne (deklarowane) marzenie Valerianusa i ciche (skrywane) mego ojca - Seranus Cimber nie mógł się już wymknąć. Hildirikowy setnik podprowadził nas do kotliny, w której biwakowali pretorianie Cimbera. Fulwiusz wydał rozkazy, chcąc otoczyć ten biwak pierścieniem naszego żelaza, lecz konsul nie zezwolił mu uderzyć, tłumacząc, iż woli rozmówić się wcześniej z Cimberem.

- Po kiego diabła?! - spytał trybun. - Chcesz go nakłonić do...

- Do rozmowy.

- Ze mną?

- Nie, ze mną.

- Żeby złożył broń u twoich stóp?

- Tak byłoby dużo lepiej, bo ci pretorianie umieją walczyć. Jest ich mniej, ale nim ich wytniemy, zginie wielu naszych wojaków, będzie rzeź.

- Cimber się nie podda!

- Też tak sędzę... - odparł Valerianus. - Ale może uda mi się spacyfikować go inną metodą, co uratuje życie naszych legionistów, którzy polegną jeśli stoczymy krwawy bój.

- Owszem, zginie sporo naszych, gdy tamci będą mogli przygotować obronę, a będą mogli, bo twoja wizyta powie im, że gotujemy się do ataku. Jeśli wszakże uderzymy z zaskoczenia, nocą, nie damy im szans.

- Nocą łatwiej się skryć, wymknąć, przedrzeć. Nie chcę utracić „*Flagellum*”!

- Skąd wiesz czy Seranus Cimber już odnalazł „*Flagellum*”?... Ale dobrze, mogę uderzyć za dnia.

- I rozpęta się bój, w którym Cimber może zginąć! Jeśli wciąż szuka „*Flagellum*”, to weźmie do grobu informacje o tym gdzie relikwia została schowana.

- Gdyby je miał, już byłaby przezeń znaleziona i dawno by go tu nie było! - wtrącił się Rufus.

- No to informacje bardziej precyzyjne niż moje o schowku relikwii, trochę pewniejszą wiadomość gdzie mniej więcej trzeba szukać... - bronił się tamten. - Ja wiem ledwie, że schowano skarb między Tergeste i Aquileą, zaś Cimber może znać dużo szczegółów, konkretnych tropów...

- A ty sądzisz, że w przypiływie chrześcijańskiej dobroci wyzna ci wszystko, lub w przypiływie pogańskiej chciwości sprzeda za skrzynkę klejnotów bądź monet? - spytał Rega.

- Nakłonię go, by rozmawiał ze mną.

- Tylko jak go nakłonisz, by przedtem cię nie ubił, spryciarzu?... Lub nie uwięził i nie zrobił z ciebie żywej tarczy przeciw naszym grotom?

- Po prostu - zdradzę was.

- Tak też myślałem - kiwnął głową Rega. - Odegrasz zdrajcę, licząc, że Cimber jest małą dziewczynką, którą łatwo podejść za pomocą słodkich słów.

- Użyję słów dotyczących spraw papieża, o których nie masz wyobrażenia, człowieku! - prychnął tamten.

- Więc oświeć nas - rzekł Fulwiusz.

- Sprawy między mną a papieżem, i pomiędzy papieżem a Cimberem, i w konsekwencji pomiędzy mną a Cimberem, nie są waszymi sprawami, i nie musicie ich znać. Wynająłem was jako eskortę, nie jako doradców. Gra, którą prowadzę, nie zagraża waszemu bezpieczeństwu, zresztą jadąc tam zostawię tu żonę i córkę, ryzykując tylko własną głową. Nie możecie mi tego wzbronić. Wezmę ze sobą Mustia i dwóch ludzi Hildirika, to mi starczy zupełnie.

- A w jaki sposób nas zdradzisz?

- A nie jest wam wszystko jedno?

- Nie! - zgrzytnęli chórem Rega i Fulwiusz.

- Rozumiem... Wszelako cóż to ma do rzeczy jaki fałsz zagram? Jedyne efekty się liczą. Wy chcecie Cimberowego truchła, i będziecie je mieli, słowo konsula Rzymu! Dajcie mi dobę, lub może dwie, a ja tę bitwę wygram bez bitwy, niczym na teatrum. W tej tragikomedii będziecie tylko statystami.

- W całej tej drodze mieliśmy być współnikami - przypomniał mu Fulwiusz.

- Wspólnikami garnka, współnikami miecza, i zwłaszcza współnikami celu, trybunie, lecz nie współnikami politycznych metod. Każdy winien znać hierarchię ról. Wy pracujecie dla mnie, ja pracuję dla papieża, papież pracuje dla...

- Nie piernicz! - przerwał mu Rufus. - Ty pracujesz wyłącznie dla jednego cwaniaka: dla konsula Romy!

- Masz rację, słuگو, ale pracując dla Valerianusa, realizuję to, czego Ojciec Święty sobie życzy, bo chcę być jego faworytem.

- Taki on święty, jak i ty!... - palnął Rega. - Chrzest, bierzmowanie i komunię dostał od przebiegłości, a tiarę od intrygi losu! Nigdy nie kierowały nim sumienie i religijność, zawsze ambicja, egoizm i cnota sprytu!

Konsul roześmiał się:

- Tedy winieneś mu zazdrościć tylko chrztu, komunii, bierzmowania i tiary, panie sędzio, bo całą resztę, wszystkie mniemane występki, które papieżowi wlepiasz, posiadłeś tak już solidnie, że każdy, kto chce być przecherà, mógłby brać z ciebie wzór! Rufus Rega, chodząca cnota, żywy Sąd Ostateczny dla grzeszników! Osądź samego siebie sprawiedliwie, a inni cwaniacy, mnie nie wyłączając, staną się na tle twego realnego wizerunku etykami, weteranie szachrajstwa! Rozumiem, że ja cię irytuję, to branżowa zazdrość, doradca trybuna kontra doradca papieża, lecz czym cię tak zezłościł Jego Świętobliwość, że niczym wredny psiak obsikujesz cokol namiestniczego tronu? Więcej umiaru, panie Rego! Za wysokie progi!

Fulwiusz twardo przerwał tę ich kłótnię tyczącą papieża. Mnichem zostałem i dlatego wzdragam się sądzić hierarchę mojego Kościoła niczym grzesznika pierwszego lepszego, przyznać jednak muszę, że brakowało tamtemu Ojcu Świętemu co nieco do ideału. Ów namiestnik Boży nie stał się chlubą Kościoła, wszelako nie był też zakałą plamiącą dzieje apostolskie. Człowiecze (vulgo: grzeszne) cechy charakteru górowały u niego nim został patriarchą Chrystusowym, lecz kiedy już przywdział papieską tiarę, sprawował się godniej, widać stolec ten uszlachetnia pomazańców. Rozgłos zdobył szybko. Jako prałat otrzymał zadanie spisania historii Kościoła. Mówiono, że dawne dzieje kościelne przepisywał, a nie pisał, zaś współczesne mu wydarzenia opisywał dwoma piórami, złotym i żelaznym - złotym hagiografował działania tych teologów i kardynałów, którzy płacili, by zyskać sobie przychylność dziejopisa; żelaznym karciał postępki sknerów. Wypocił dzieło zbyt rozwlekłe i detaliczne, urągające potrzebie klarownej syntezy, nie umiał bowiem spojrzeć na Kościół z lotu ptaka, tylko rozgrzebywał sprawy z pozycji żabiej, widząc mnóstwo szczegółów zamiast

widzieć bieg i sens wydarzeń o decydującym znaczeniu (broniąc go, rzekłbym, iż takiego kalectwa nie może uniknąć żaden badacz epoki sobie współczesnej, wszystko bowiem, co potomni widzą od razu w całości, świadkowie tych wydarzeń zauważają ułamkowo). Jako wódz Kościoła również nie potrafił destylować kluczowych spraw kosztem drugorzędnych. Największą trudnością sprawiało mu samodzielne budowanie osądu, zawsze skłaniał się do słuchania rad. Wrodzone jego niezdecydowanie stale szukało myśli innych ludzi. Ta wieczna chwiejność zyskiwała, dzięki przewlekaniu decyzji metodą długich dialogów, pozór głębokiego zastanowienia i wzbudzała należyne rozsądkowi szacunek. Valerianus, widząc ile znaczą wpływowi doradcy u boku tak chwiejnego arcykapłana, marzył o stanowisku papieskiego faworyta, ku której to pozycji miało go wynieść przywiezienie do Konstantynopola „*Flagellum*”.

Kiedy Valerianus odjechał, Rega i trybun ruszyli galopem skroś łąk i chaszczów, by sprawdzić szczelność pierścienia naszych straży zamykających Cimberowi ucieczkę. Chciałem wykorzystać ów czas dla rozmowy z Kornelią, lecz ona i mnich bawili się akurat z małym Justusem, tuż przy wozie Terencji, więc zrezygnowałem i dosiadłem Lizypa. Szukałem jakiejś wody, gdzie mógłbym się samotnie zanurzyć i być znowu „*Wydrą*”, bo pływanie łagodziło moje rozterki. Nie było to trudne w tej okolicy - wszędzie tam rozlewały się stawy i jeziora, dzięki którym Fulwiusz, otaczając Cimbera, mógł postawić mniej placówek, gdyż te rozlewiska stanowiły naturalne ogniwa łańcucha straży. Wybrałem pozbawiony szuwarów fragment brzegu jeziora i nurkowałem aż się zmęczyłem. Chwyciłem nawet ręką rybę (dość dużą), jednak zaraz wypuściłem ją, w nagrodę, że tak łatwo dała się złapać. Później usiadłem na pomoście, który służył pewnie okolicznym wieśniaczkom do prania łąchów. Pod leniwie skrzypiącymi deskami rytmicznie chlupotała woda, i ten jej monotony bełkot owijał mi głowę znieczulającym szumem. Nie pamiętam konkretnych fragmentów płochliwego chaosu tamtych moich myśli; pamiętam tylko, że były dosyć trwożliwe, wynikające ze stanu dziwnego zawieszenia-niezrozumienia, który mroczył mi świat. Dzisiaj również siadam czasami samotnie u brzegu wody i oddaję się rozmyśleniom, lecz karmiąc je już prawie wyłącznie bogactwem mniej lub bardziej chaotycznych wspominków, gdyż człowiek w moim wieku, kończący swą drogę (i to kończący pośród mnisiej pustelni), ma do dyspozycji głównie przeszłość, nie zaś przyszłość. Wszystkie te blaknące echa, jak ślady stóp na topniejącym śniegu. Wszystkie te emocje, wstrząsy, wątpliwości, które niegdyś ryły głębokie sztolnie w duszy człowieka, a dzisiaj wywołują tylko smętny, cierpki lub pobłażliwy uśmiech, maskowany przed światem nieruchomością warg i quasi-sennym zmęczeniem oczu. Kiedy piszę, pamięć przywołuje mnóstwo zdarzeń, widoków i dialogów, lecz kiedy odpoczywam bądź zasypiam, minione ucieleśnia się inaczej, dzięki funkcjonowaniu innych zmysłów - zapachem, temperaturą lub melodią. Choćby przez zmysł bezimiennego dotyku, trwalszy aniżeli zmysł kronikarskiej pamięci przywołującej widma zdarzeń i wzruszeń - wilgotne uda rozkoszy, chropawa czułość rękojęści, klująca sierść, parząca szczapa w biwakowym ognisku. Gdzie to było?...

Rozmyślenia przerwał mi widok ptaka lecącego nisko nad lustrem wody. Rażony słońcem - nie od razu spostrzegłem, iż to Custos. Zatoczył krąg wokół mnie i smyrgnął ku drugiemu brzegowi jeziora. Tam, jakby mnie przyzywał, usiadł na konarze dębu. Kiedy objechałem jezioro - frunął dalej, wzdłuż leśnej drożyny, i zniknął. Las był gęsty, lecz niezbyt rozległy. Kiedy się z niego wynurzyłem, ujrzałem zwaliska. Trudno było identyfikować tę ruinę - szczątki rezydencji, castellum czy monasteru? - bo

niewiele fragmentów ostało się płomieniom, pewnie wojennym. Tylko resztki leżącego trochę dalej kościoła miały solidniejszy wygląd. Zostawiłem Lizypa przy kikucie zewnętrznych (ogrodzeniowych) wrót i stąpnąłem do środka. Mury przetrwały, nadpalone były jeno ich szczyty. Posadzkę zawałał stos drewnianych belek i gruzu. Gdzieś walały się elementy zdewastowanego ołtarza. Mimo iż brak było dużej części dachu, panował nieomal półmrok. Rzeźbione figury w niszach ścian wyglądały jak czające się zjawy, które zaraz zejda, aby zebrać natrętnie. Woń spalenizny i dziwaczny smród niewiadomego pochodzenia drażniły mi nozdrza oraz gardło. Spojrzałem ku górze. Custos siedział na jedynej belce stropu, co nie runęła, czekając. Gdy ujrzał mój wzrok, zerwał się i począł krążyć przy ścianie zaołtarzowej, jakby chcąc mnie zwabić tam. Przebrnąłem gruz i zobaczyłem wylot schodów do krypty. Były zawałone nie nazbyt gęsto, jednak nie chciało mi się dalej myszkować. I tak wyszedłem brudny niczym człowiek, którego przywalił własny dom. Drugiej kąpieli musiało towarzyszyć płukanie odzienia i sandałów. Jak tylko wróciłem, podbiegł do mnie Atenajos:

- Widziałeś może Custosa?

- Widziałem. Był ze mną, ale nie chciał ze mną wracać, został w spalonym kościółku.

- Gdzie to?

- Milę stąd, tam! Za jeziorkiem, które ma kładkę. Po drugiej stronie rośnie wielki dąb, od którego biegnie droga przez las. Za lasem są ruiny.

- Pójdę do niego.

- Po co? Sam wróci kiedy zechce.

- Pójdę.

- Mogę cię zawieźć, stracisz mniej czasu.

- Mam dużo czasu. I lubię wędrować pieszo. Przed wieczorem wrócę.

- Przed dzisiejszym wieczorem?

- Przed którymś! - zawołał, szczerząc swe krzywe zęby. - Bywaj!

Wrócił nocą. A Valerianus nie wrócił tego dnia. Rega palił się do walki, lecz Fulwiusz ostudził go:

- Rzekł, by dać mu dzień lub dwa, więc damy mu drugi dzień.

Minął kolejny dzień i minęła kolejna noc. Rankiem trzeciego dnia padł rozkaz szykowania się do boju. Gdy klepsydrę później trybun wyszedł z namiotu, pancierz jego, świeżo polerowany przez fagasa, rozbłysnął w słońcu niby płomień. Wszakże nie ujechali daleko. Tylko co minęli zagajnik, przy którym leżał nasz obóz, a spotkali wracającego Valerianusa. Gębę miał pogodną, jakby wracał z

przejażdżki wypoczynkowej, zaś wzrok miał dumny, jakby wracał z udanych łowów. Trybun, dostrzegłszy to, mruknął:

- Skradłeś, lub zlokalizowałeś, lub wyszantażowałeś, lub kupiłeś „*Flagellum*”, mówią to twoje ślepie.

- Niestety nie! - odparł Valerianus. - Jednak nie tracę nadziei, w Bogu pokładam ufność.

- Więc cóż cię tak raduje, królu lisów?

- Pogoda, zobacz jakie piękne słońce, królu żołnierzy.

- Chcę atakować.

- Myślę, że nie musisz. Daj mi jeszcze dzień.

- Na co?

- Na to, abyś się przekonał, iż moje słowo coś jednak znaczy - rzekł Valerianus. - Obiecałem tę bitwę rozstrzygnąć bez bitwy, dotrzymam... Wykaż jeszcze krótką cierpliwość, Cimber ci się nie wymknie, masz go w saku.

Fulwiusz spojrzał ku Redze pytająco, a Rufus wzruszył ramionami:

- Nie ja tu decyduję, wodzu.

- Jeden dzień i jedna noc nie zbawią nas... - zastanowił się „*Soter*”.

- Lecz mogą zbawić tamtych, bo to już łącznie trzy doby, wodzu! - krzyknął Rega. - Atakując którąś z naszych placówek całą swą siłą, dadzą radę się przebić, lub obwarują się solidnie, dzięki czemu dadzą radę długo się bronić! Tracimy czas!

- Ufając mi nie straciecie żadnego człowieka, a bitwa będzie wygrana! - powtórzył Valerianus.

- Jakim sposobem?

- Moim, trybunie. Zaufaj mi.

- W Rzymie mówiono, że aby tobie zaufać, trzeba być pijaną kobietą, nieletnim wyrostkiem lub obłąkanym starcem, bo intrygujesz tak przebiegle, iż mógłbyś samego diabła wystawić do wiatru! - parsknął Rega.

- Skąd wiesz, że nie zrobiłem tego właśnie z Cimberem, potwarco?... - zdenerwował się konsul.

- Nic nie wiem, gdyż jakoś nie bardzo chcesz nam zdradzić szczegóły swej intrygi, i to nas martwi, to mi śmierdzi, tego się boję!



- Nie mnie winienesz się bać. Tworzymy zespół, bój się wrogów, a nie sojuszników.

- W Rzymie gadano też, iż traktowałeś swoich sojuszników...

- Skończ już powtarzać rzymskie plotki! - przerwał mu konsul gwałtownie. - Tam się toczyła codzienna walka polityczna, frakcyjna, senacka i dworska - to było kłębowisko skorpionów i żmij, a ci, którzy wygrywają takie gry, zawsze stają się celem mściwych obmów!... Grałem tam zresztą nie tylko dla siebie, lecz i dla Rzymu, bo cesarz był idiotą. Dobry polityk jest jak ten krawiec, który nitkami przebiegłości i płachetkami wybiegów, czy nawet oszustw, łąta głupotę i niezręczność władz. Byłem w tym dobry, gdyż póki nie oblężono Rzymu byłem skuteczny, i nie wstydzę się tego. Za dziesięć lub dwa, może jeszcze dzisiaj, przekonacie się, że wciąż jestem w tym dobry!

Przekonaliśmy się nazajutrz. Centurion Frontinus obudził Fulwiusza, mówiąc:

- Wodzu, przybył Cimberowy setnik!

- Dawaj!

Gdy „Soter” się odział i wyszedł z namiotu, pretorianin uklęknął.

- Wstań - rzekł mój ojciec. - Mów.

- Szlachetny trybunie, chcemy się poddać.

- Twój dowódca cię przysłał, żołnierzu?

- Nie, panie, my sami pragniemy tobie służyć. Żołnierze pragną twej łaski i błagają, byś nas wszystkich uczynił twoimi legionistami, wodzu. Seranus Cimber nie żyje. Nie żyje też jego siostra.

Fulwiusz przeszył tamtego morderczym wzrokiem i wycodził tonem pełnym gniewnej odrazy:

- Zabiliście swego dowódcę?!

- Nie, panie! Już wczoraj konwulsje go wzięły i szybko skończył, mając pianę wokół ust. A nocą zmarła Julia Starsza, z taką samą pianą koło warg i na brodzie.

- Kto ich otrul?

- Nie wiemy, wodzu, ale chyba żaden spośród służków, co szykują i roznoszą strawę, bośmy im kazali zeżreć resztki wieczerzy i pić to samo wino, jakie pił Seranus, a żadnemu nic się nie stało, tylko służąca Julii Starszej dostała konwulsji identycznych, kiedy wyjeżdżał ku wam, tedy pewnie już nie dycha, wodzu.

Fulwiusz spojrział na Valerianusa, pytając:

- Takie praktykujesz metody wygrywania bitew? Nie po rycersku, tylko po swojemu, bez walki?

Konsul zaprzeczył, uśmiechając się krzywo:

- Nie maczałem w tym palców, to nie moja sprawka!
- Słowo konsula Rzymu, co?
- Słowo konsula Rzymu.

Trybun przypatrywał mu się dłuższą chwilę, i ponownie zwrócił się do delegata Cimberowej eskorty:

- Kto wami teraz kieruje, żołnierzu?
- Nikt. Gwiazdarz chciał kierować, ale my go nie chcemy, to czarny pies!
- Jaki znowu gwiazdarz? Hafor?

- Tak, Hafor, Egipcjanin Seranusa Cimbera, wodzu. To wróż i czarownik, powiedz słowo, a sam przetnę mu gardło! Chcemy służyć tobie, bo nie mamy gdzie wracać, zaś jedynym Rzymem tutaj jesteś ty.

- Czemu Seranus wziął Hafora ze sobą?
- Hafor, przy pomocy czarów, miał mu odszukać jakiś skarb. Tyle wiem. Nie znam szczegółów.
- No to my się dowiemy trochę szczegółów od egipskiego wróżbity. Prowadź.

W koczowisku Seranusa Cimbera zastaliśmy kilkudziesięciu pretorianów, a większość była podchmielona winem zmarłego. Truchła Seranusa, Julii i jej służki leżały między krzakami. Wewnątrz namiotu Seranusa rezydował Hafor. Gdy wylazł, ujrzałem ciemnobrązowego (nieomal murzyńskiego) łysielca (choć nie był stary), okrytego płaszczem tak bogato zdobnym, iż szaty cesarskie czy papieskie rumieniłyby się ze wstydu. W uszach miał złote kolczyki wielkie jak bransolety, wargami ssał dziwny, dymiący pręt, przy paznokciach stóp lśniły szlachetne kamienie różnych barw. Wyjął z zębów ten wciąż dymiący pręt, by rzec do Fulwiusza i do Regi:

- Spóźniliście się, szlachetny Seranus Cimber uleciał ku Elizjum. Lecz mogę wam go ożywić na chwilę, jeśli chcecie z nim rozmawiać.
- Więc zrób to - rzekł Rufus.
- To wymaga zmierzchu, zaklęć i ziół, przyjaciele.
- Czyli mroku i dymu! - zadrwił Atenajos.
- Tak, przywoływanie zmarłych to trudna sprawa, trzeba właściwej pory i właściwych modłów.

- Modłów do którego boga, Haforze?
- Jestem kapłanem Setha, wielkiego boga ciemności, pustyni i burz.
- I on na twoją prośbę wskrzesi zmarłego?
- Ja na waszą prośbę przywołam ducha Seranusa Cimbera dzięki pomocy Setha, niedowiarku!
- I ukażesz nam go w oparach dymu, nocą?
- Tak będzie.

- No to pięknie, pod warunkiem, że zezwolisz mi strzelić do tego ducha z kuszy! - roześmiał się Atenajos. - Byłoby o jednego Greka mniej, tylko nie wiem o którego, no bo nie znałem Cimbera, tedy nie wiem który z dwóch twoich służących przypomina go bardziej i który jest burzchomówcą, ale wiem, że w szczelnym hełmie, i w długim płaszczu, i w gęstym dymie odurzającym publiczność byłby Cimberem jak się patrzy. Widziałem już takie sztuczki przywoływaczy duchów, kapłanie Setha...

- Więc nic wam nie pokażę, nie jesteście godni, wy, plemię bluźnierców! - wrzasnął egipski mag.

- Znaczy, że kiepski z ciebie czarodziej, my mamy lepszego! - rzekł wesołym głosem mnich, wskazując Rufusa.

Hafor zawiesił wzrok na Redze, wciągnął trochę wonnego dymu z żarzącego się pręta i spytał kpiąco:

- W czym ów żołdak jest lepszy?
- We wszystkim.
- W magii wszelakiej?
- W absolutnie każdej, w białej i w czarnej, we wschodniej i w północnej, do wyboru.
- Cóż on potrafi takiego?

- Potrafi zmierzyć się z tobą, Haforze. Urządzimy konkurs czarnoksiężników. Ty dasz mu swoją truciznę, a on da ci swoją. Połkniecie równocześnie, i zobaczymy który truciciel przeżyje, co ty na to?

- To głupi konkurs, odmawiam! - zachnął się Egipcjanin.

- Tak myślałem. Haforze, powiedz mi czy wolisz magię białą, czy królika z rożna?

- Co takiego?!... - zdumiał się zapytany, tracąc dużą część rezonu. - O co ci idzie, przewrotny rudzielcze?

Tym razem ripostował mu Rega (bo Atenajos, dotknięty deprecjacją swych włosów, umilkł):

- O gorący rożen w twojej dupie, czarna małpo!

- Zawiniłem wam czymś?! - jęknął łysielec.

- Chcemy znaleźć „*Flagellum*”.

- Cimber też chciał. Chciał bardzo...

- My chcemy jeszcze bardziej!... Powiesz bez bólu gdzie trzeba szukać, czy mamy cię smażyć?

- Męczenie nic nie da, bo ja naprawdę nie wiem gdzie to schowano!

- Może i nie wiesz, a może kłamiesz... Pewien zbój zapierał się nam tak samo, lecz ogień zwrócił mu rozum. Będziemy cię męczyć aż do skutku, podobnie jak owego zbója. Mamy rutynę w tej smaźalni.

- Do skutku?!...

- Ummm.

- Czyli do śmierci, bo ja nie znam schowka!

- Jeżeli nie znasz, to do śmierci, twój pech. Isidorusie, rozbierzcie wyznawcę Setha, ma być goły! I szukajcie ognisko!

Kilku legionistów chwyciło maga, by go rozebrać, a ten krzyknął ku Fulwiuszowi:

- Powiem!

- Słucham - rzekł trybun.

- Powiem blisko zmierzchu. Nie męczcie, tylko dajcie mi sięść na tej kłodzie i czekać zachodu słońca. Gdy słońce się skrwawi, wyznam wszystko co mi wiadomo. Wszystko, wierzcie mi!

- Czemu nie teraz? - spytał Fulwiusz.

- Muszę... wejść w głąb siebie, rozmówić się z Sethem i oczyścić mą duszę, wyzbyć się nawyku kłamstw. Później opowiem wszystko. Wszystko!

- Niech będzie. Przywiążemy ci nogi do tej kłody. Gdy słońce się skrwawi, zaczniesz mówić, albo zaczniesz krwawić sam.

Poczułem czyjąś dłoń na ramieniu i usłyszałem mni si szept:

- Bywaj, synu „*Wybawiciela*”.
- Znowu chcesz się gdzieś włóczyć, „*Ptaku*”?
- Odchodzę, mam już dosyć tego.

- Ale wrócisz?

- Nie wiem... Nie chcę towarzystwa przypalaczy, zbyt często się bawicie smażeniem bliźnich, bratku.

- Obejdzie się bez smażenia... Rufus tylko go nastraszył, słyszałeś, że poskutkowało.

- Odsunęło jedynie kaźń, bo Hafor nic nie wie. Gdyby wiedział, rzekłby już. Chce zyskać czas, wymodlić cudowny ratunek, wyżebrać go u swych bogów, lub wymyślić jakąś sztuczkę, która odmieni zły los. Nie będzie cudu, będzie męka i smród palonego ciała. Brzydzą mnie wasze zabawy.

Próbowałem perswadować:

- Nie krzywdzimy ludzi cnotliwych, Atenajosie...

- Wolisz krzywdzenie niecnoty, czy cnotę niekrzywdzenia, którą propagował Jezus Chrystus?... Czuję się winien, bo mówiąc o króliku z różną, nie sugerowałem tego, co Rega wymyślił, kiedy podchwycił mój żart. Zrobił mnie suflerem oprawców. Z tym się nie godzę, Kaiusie, wołę Chrystusowe Qho. Bywaj!

I ruszył ku furgonowi magazynowemu, gdzie trzymał swoje zawiniątka, a później ku ścianie lasu, gdzie zniknął. Widząc jego plecy, miałem wrażenie, iż dokonana się raptowna zamiana ról. Jakbyśmy w najnowszym akcie sztuki wygłaszali cudze kwestie, wzajemnie je sobie kradnąc. To przecież ja dawniej kłałem kaźń zbójów, rozdarty wewnątrz sumienia, a on mi cytował słowa Pisma grożące biczem płomieni piekielnych i mąk dla zatwardziały ch grzeszników, tymczasem teraz to on się brzydził szykowaną kaźnią, gdy ja broniłem jej sensu, a sumienie miałem tak zimne, jakby było martwe. Czy dlatego, że bardzo pragnąłem zobaczyć „*Flagellum*”, lub dlatego, że Hafor budził we mnie wstręt fizyczny?... Karalucha bez litości rozdeptujemy, lecz widok rozgniatanego motyla sprawiłby nam ból - to ludzkie. Czyż jednak tamci zbójcy bliżsi byli motylom niż karaluchom? Skąd się u mnie wziął ten brak konsekwencji we współczuciu?

Przywiązano Hafora do leżącej obok namiotu kłody. Siedząc, Egipcjanin wyjął spod płaszcza woreczek. W woreczku był złoty pleciony pierścień, mający wielki szmaragd. Łysielec założył pierścień na paluch i ucałował kamień. Później schylił głowę i wcisnął ją między kolana, mrużąc coś gorączkowo. Modlił się tak, lub zaklinał fatum, póki nie przyszedł schyłek dnia. Wtedy uniósł głowę i ryknął gromkim śmiechem, aż ściana lasu odbiła echo. Wszyscy się zbiegli. Hafor wlepił wzrok w Fulwiusza i krzyknął dziwnie wesoło, jakby doznał ulgi wyzwalającej:

- Miałem trans, Fulwiuszu, zobaczyłem twój zgon!

- Haforze, nie mówisz mi nic nowego! - sarknął trybun. - Śmierć jest tylko portem na drugim brzegu morza, wszyscy dotrzemy do celu. Mów o relikwii.

- Nim dotrzesz do tego celu, przeżyjesz wielką gorycz, albowiem nie dotrzesz do celu, dla którego wyruszyłeś z Rzymu! Cha, cha, cha, cha, cha, cha, cha, cha, cha, cha!

- Nie wyruszyłem po „*Flagellum*”, egipski idioto - odparł mój ojciec.

- Wiem, to chęć konsula. Ty wyruszyłeś po wskrzeszenie legionowej chwały, rzymski idioto! Tych kilkudziesięciu pretorianów Cimbera tak bardzo cię wzmocni, że ją odwojujesz? Cha, cha, cha, cha, cha, cha, cha, cha, cha, cha!

- Mów o relikwii!

- Mówię o batogu na głupca, którym jesteś, a ten bicz zwie się rzeczywistość. Chłoszcze on marzenia, czujesz jak to boli? Być może zbierzesz jeszcze garstkę, gdyż błąka się po świecie trochę żołdaków z rozbitych legionów. Ale nic już nie znaczą. Są jak tępe trzebione woły, które nie będą już niczego bronić, budować, reaktywować. Ci zaś, co rozpatrują możliwość zmartwychwstania Rzymu cesarów, które się dokona dzięki interwencji „*ostatniego legionu*”, bądź dzięki wskrzeszeniu takiego arcylegionu metodą łączenia legionowych niedobitków - wszyscy ci marzyciele dywagujący mową imperialną - są jak robactwo żywiące się trupem i niczego nie pojmujące z życia! Kapujesz tedy kim jesteś?

- Cały czas. A ty mylisz się, kuku, kracząc śmierć Romy. Rzym jeszcze nie umarł - ja jestem Rzymem!

- Więc jesteś nikim, eunuchem, którego czeka już tylko świetlana przeszłość!

- Mów na temat relikwii, Haforze, lub...

- Lub dasz oprawcom rozkaz. Za późno, krwiopijco!

Jego ciałem wstrząsnęły delikatne drgania, jak człowiekiem, któremu zrobiło się chłodno od mrozu. Kolejny raz, ale wcześniej sądziliśmy, że to od gromkiego śmiechu, co targał jego piersią. Hafor wyprężył mięśnie, zapanował nad drżeniem i roześmiał się, choć teraz nie gromko, lecz cicho:

- Ukradłem wam przyjemność, głupcy, będziecie bezrobotni na moim szlaku.

- Wybierasz się gdzieś? - spytał „*Soter*”.

- Już się wybrałem, jestem blisko raj.

- Blisko jakiego raj?

- Zmierzam ku doskonałości, bo tylko śmierć jest doskonała i nieomylna, tylko ona bez reszty się spełnia, prócz niej wszystko co ludzkie jest ułomne.

Rufus skinął na Marcipora:

- Bierzcie go!

Ciałem Egipcjanina szarpnął dreszcz dużo silniejszy, konwulsyjny.

- Źle!... - wymruczał Marcipor. - On zdycha, musiał się truć!

- Jak?!... - wrzasnął Rega. - Był pilnowany, niczego nie łykał, czym się otrul?! Udaje, lub strach nim trzęsie!

- Strach wami trzęsie, biała małpo... - szepnął Egipcjanin. - Utraciliście cudowną rozkosz mordy... Seth dał mi dzisiaj w ręce moją własną śmierć, jak harfę, na której mogę sam grać!

Konwulsje gwałtowniej nim szarpnęły. Wstał z kłody, lecz drżące nogi ugięły się pod ciężarem ciała, więc przyklęknął. Chwilę później runął na wznak, a twarz zrobiła mu się mokra od potu. Gadał dysząc spazmatycznie:

- Cimbera za... zadrasnął... ten pierścień, który z palca zdjęła mu Ju... Julia... Julię znalazła... jej służąca, Kalida... Podniosła pierścień i ją... ją też drasnął...

- Czyj to pierścień? - spytał Fulwiusz.

- Cimber... dostał go... dostał go pewnie od kon... konsula... kiedy razem ukła... układali się wewnątrz na... namiotu...

- Łże! - krzyknął Valerianus. - Nigdy nie widziałem tego pierścienia, sam pewnie dał go Cimberowi!

- Po co? - spytał mój ojciec.

- Jak to po co? Żeby zabić Cimbera!

- Po co?

- Nie wiem po co!

- Któryś kłamie, ale który? - rzekł Rega. - Obstawiam Valerianusa, wodzu.

- Zastanów się z kim trzymasz, nędzny sługo! - ryknął konsul. - Pomyśl dwa razy, zuchwalcze, gdy chcesz pluć kalumniami...

- Myślę o tobie mnóstwo razy! - warknął Rega. - Ilekroć siedzę w wychodku, „*wielki kalkulatorze*”!

Kłótnię przerwał zgon. Wargi Hafora pokryła piana, konwulsje się wzmogły, aż raptem ustały i

zobaczyłem wywrócone białka oczu. Tak właśnie ten Egipcjanin stąpnął ze strefy światła do strefy cienia. Cień jest opozycją wobec światła, lecz przecież wywołuje go światło. I podobnie śmierć, która jest opozycją wobec życia, nie mogłaby zaistnieć bez niego, a śmiałość nie mogłaby zaistnieć bez strachu. Szukam słów, którymi mógłbym opisać mój ówczesny strach. Słowa czasami wydają się stosem plew przedrzeźniających rzeczywistość. Widząc zimne ciało Hafora, zwątpiłem wtedy pierwszy raz w sens naszej wędrówki, tłukły mi się bowiem po głowie jego szyderstwa o bezsensowności Fulwiuszowych rojeń, wtórujące tezie Regi o ludzkich marzeniach, które zawsze kasuje rzeczywistość. Brak mi właściwych słów, gdyż nie potrafię wskrzesić tamtego migotania strachu wewnątrz mojej duszy. Liczne dialogi wskrzeszają mi klimat tamtych zdarzeń, lecz kiedy wówczas zmarł Egipcjanin, wokół było cicho, nie było Atenajosa, panowało milczenie, i czułem tylko strach, którego dzisiaj nie umiem przywołać. Nie znam już strachu. Bolesne pytania dawno umarły, zwykłe wątplenia utraciły ważność; pełen starczej melancholii zmierzam ku Twojej ciszy, Panie.



Wracam do pisania mych wspominków. Wracam po rozległej niemożności, która trwała prawie pół roku, a więc długo. Zlecił mi bowiem nasz przeor zorganizowanie dysputy teologicznej. Zjechało do nas wielu uczonych mężów z licznych klasztorów i miast - ze wschodu, zachodu, południa tudzież północy - a nie brakło i delegata papieskiego. Trzeba było to wszystko przygotować, wysłać listy oferujące gościnę, wyrzuchować cele dla dyskutantów, gromadzić prowiant i szykować mnóstwo innych rzeczy. Umęczyłem się bardzo (przez co trochę chorowałem, gorączkując, smarkając i plując flegmą z gardła), lecz sama trwająca trzy tygodnie dysputa umęczyła mnie jeszcze bardziej, chociaż nie angażowałem w nią warg, tylko słuch. Teologia bowiem - co skrywam przed klasztornymi braćmi i przed zwierchnikiem - nigdy nie karmiła moich emocji, zdając mi się dzieleniem włosa na czworo, biciem piany z tekstów Pisma Świętego, spekulatywnym wymądrzaniem się retorów, wbrew Chrystusowi, który zalecał: „*jest, jest - nie, nie*” i prostotę wyrażania. Teologowie bywają gorsi niż filozofowie w swym misternym a bezsensownym zamienianiu spraw prostych na supły - na kłębowiska splotów myślowych nierozwikłalnych przy pomocy ich krętej logiki wyzbytej zdrowego rozsądku - i dławią się sofistyczną dogmatyką nie mniej niż ciemne ludy duszące się zabobonami swych równie ciemnych pradziadów.

Nasi goście rozpatrywali warianty: współistotność, współzależność, rozdzielność, bądź wreszcie opozycyjność materii i ducha, wyznaczyszy sobie jako wiodące tematy dwa powiedzenia Chrystusowe: „- *Królestwo moje nie jest z tego świata*” i „- *Boże mój, Boże, czemuś mnie opuścił?!*”. W pierwszym przypadku chodziło dyskutującym o równoprawność Kościoła instytucjonalnego, ziemskiego, oraz Kościoła spirytualnego, mistycznego, lub o wyższość któregoś; w drugim zaś przypadku - o boskość i o człowieczeństwo Chrystusa, ergo o tezę, że na Golgocie rozerwana być musiała jedność między Chrystusem-Bogiem a Chrystusem-człowiekiem: ponieważ Bóg nie umiera, więc by Chrystus umarł, Jego boskość musiała chwilowo zaniknąć - wycofać się - zostawiając krzyżowanemu tylko ludzki człon owej świętej jedni, która powróciła dzięki zmartwychwstaniu Syna Bożego. Czyli: Bóg na chwilę opuścił swoją ludzką anatomię, żeby mogła zgasnąć niczym każda ludzka cielesność tego padołu. Jak bowiem inaczej tłumaczyć rozpaczliwy krzyk Syna do Ojca!? Wysunięto dużo mniemanych przyczyn. Dwa tygodnie kłócili się tylko o to, i nie znaleźli zgody - nie rozwiązyali dylematu.

Teraz już mogę wznowić opisywanie mej wędrówki u boku Fulwiusza. Po śmierci Hafora skręciliśmy z Via Postumia w dół i szliśmy ku Tergeste mniej więcej wzdłuż linii brzegowej Mare Adriaticum sive Superum, choć nie widzieliśmy morza, bo nie zbaczaliśmy doń bliżej jak na kilka mil. Cały czas rozsyłaliśmy podjazdy, które we wsiach i osadach wypytywały o trasę papieskiego orszaku. Pretorianów Seranusa Fulwiusz przyjął warunkowo, dając im nowych dowódców. Atenajos nie wracał. Moje zabiegi wokół ślubu z Kornelią ciągle były bezowocne, lecz ja dalej karmiłem się nadzieją, że dewiza „*Amor vincit omnia*” \* [\* - Miłość przewycięża wszystko (łac.)] udowodni swoją rację bytu. Codziennie wtedy myślałem: „- *Jezu, zrób coś!...*”. Aż przysłyły większe kłopoty.

Gdzieś tak w połowie drogi między Aquileą i Tergeste zobaczyliśmy pierwszych uciekinierów. Później ich liczba rosła. Gnali na złamanie karku, biegnąc i jadąc, końmi, mułami i osłami, wozami i wózkami, czym kto mógł. Krzyczeli przerażeni o „*ludziach morza*”. Słyszałem o tych tajemniczych rabusiach już jako małe dziecko. Ich horda zjawiała się co kilka lub kilkanaście lat, łupiła wybrzeża

Mare Internum i mórz bocznych (Adriaticum, Aegaeum, Tyrrheneum, Ionium), po czym znikła bez śladu, zostawiając trupy, łzy i zgliszcza. Nikt nie wiedział kim są i skąd się biorą - mówiono, że przyplływają od oceanu, spoza Słupów Herkulesa, i że wywodzą się z dalekiej Północy. Grozę budziły same ich statki, jednożaglowce mające kształt wielkich łodzi z krągłymi tarczami u burt i z rozwartymi pyskami smoków przy wysokich dziobach. Ci jasnowłosi i rudzi barbarzyńcy praktykowali takie okrucieństwo, że krzyk: „- *Ludzie morza!*” (vel: „- *Lud morza!*”) wszędzie budził panikę, mroząc nie tylko społeczność romańską czy Gotów, lecz nawet Wandalów, którzy z morzem byli za pan brat.

Bezwłocznie odskoczyliśmy od brzegu morza, ku północy, w stronę Via Postumia, ale kiedy dotarliśmy do rzeki Frigidus, byliśmy już tak tą gonitwą umęczeni, że musieliśmy rozbić obóz, zwłaszcza że zbliżał się mrok. Przeszliśmy kamiennym mostem na drugi brzeg, gdzie Fulwiusz wybrał doskonałe miejsce: styk rzeki Frigidus i rzeki Sontius (Frigidus wpadała tam do Sontius). Trójkąt biwakowy miał więc dwa boki wodne, dające ochronę naturalną, a trzeci bok trzeba było stworzyć, budując prowizoryczną fortyfikację ze ściętych pni drzew. Tylko ją ukończyliśmy (około połowy dnia następnego), gdy fala „*ludzi morza*” zbliżyła się do wideł rzecznych. Wkrótce byliśmy już całkowicie okrążeni i czekaliśmy ataku.

- Żle! - mruknął Marcipor.

- Nie aż tak źle jak ci się wydaje - odparł setnik Caeliusz. - Nie zechce im się tracić czasu na obleganie nas. Ci zbóje uderzają szybko i wycofują się, to ich metoda walki. Być może raz uderzą, lecz jeśli ich odeprzemy, pójdą dalej. Długie oblężenia nie są w ich stylu.

- Brodu tu nie ma, musieliby budować tratwy - rzekł Got Adaloald. - Uderzyć mogą od naszego wału, choć tam grząski grunt, tylko dwa twardsze przejścia, lecz wąskie, byłiby łatwo rażeni bełtami naszych kuszników. Noce teraz jasne, więc cichaczem też nie podejda. Chyba że przyjdzie ich chmara ogromna, wtedy zaleją nas liczbą, której nie przemożemy.

„*Ludzie morza*” istotnie uderzyli raz. Na samym podejściu padło ich mniej niż pragnęliśmy, bo choć nasze bełty szły gęsto, lecz grube krągłe tarcze chroniły atakujących solidnie. Część miała długie miecze północnych barbarzyńców, jednak większość miała duże topory, budzące duży strach. Nie zdążyli wszakże użyć toporów, gdyż kilka kroków przed wałem, dzięki proskowi Rufusa, wybuchła drażona kłoda, i ten wulkan zmasakrował pierwszą falę szturmową, a druga, trzecia i czwarta cofnęły się w przerażeniu. Bali się ponowić atak. Wszelako, wbrew tezie Caeliusza, nie zaniechali oblężenia, co było dziwne.

Nocą usunęliśmy z przedpola trupy, cisnąwszy je do rzeki, by gnijąc nie smrodziły wokół. Kolejne dzionki potęgowały nasze zdziwienie, albowiem wciąż sądziliśmy, że tamci odejda lada chwila. Lepszy spośród naszych łuczników, mający duże metalowe łuki, celnie trafiali każdego „*człowieka morza*”, który niebacznie zbliżył się ku brzegom lub ku barykadzie z pni na odległość dalekiego strzału, a to dyscyplinowało zapędy wrogów. Tymczasem ci barbarzyńcy nie mogli nas łatwo trafić, gdyż widły rzeczne pełne były gęstych drzew i wysokich krzewów kryjących nasz obóz. Same tylko ryby, łowione bez trudu, gwarantowały nam wyżywienie nieskończone - głodem nie dałoby się nas wziąć. Lecz tamci mieli inny plan.

Czwartego dnia rano przy drugim brzegu rzeki Frigidus zjawily się cztery postacie - trzech barbarzyńców i... Atenajos. Wymachiwali białą płachtą parlamentariuszy. Rzeka była tu wąska, krzyk słyszeliśmy dobrze. Krzyczał Atenajos:

- Chcą rozmawiać!
- Niech mówią! - odkrzyknął Fulwiusz.
- Ja mam mówić! Kazań mi tłumaczyć to, co chcą wam rzec, panie!
- Słuchamy, mów!

Mnich uniósł ramiona i pokazał, że ma związane przeguby rąk. Od tych wiązań biegł sznur trzymany przez barbarzyńcę noszącego kopułkowy szpiczasty hełm.

- Służę im z musu! Zostałem schwytany, więc... Trzymający sznur barbarzyńca uderzył mnicha tępym końcem włóczni w plecy i warknął coś.

- Grożą, że mnie zabiją jeśli będziecie strzelać!
- Nie będziemy, mów!
- Ale ja chcę żebyście strzelali!
- Co takiego?!...
- Panie, za chwilę skoczę do wody, a wy odpędźcie ich przy pomocy łuków!
- Jak się uwolnisz?!
- Po mojemu! - ryknął Atenajos.

Padł na ziemię i błyskawicznie wstał, lecz ręce miał już wolne, a osłupiały barbarzyńca trzymał pusty sznur. Chwilkę potem Atenajos rzucił się jak szczupak do wody, zaś u stóp „ludzi morza” wbiło się w trawę kilka naszych strzał. Odskoczyli przerażeni i biegiem ruszyli ku swoim, tymczasem ja, wiedząc, iż mnich nie umie pływać, nurknąłem, przepłynąłem rzekę i doholowałem go na stronę naszą. Gdy już wypluł połkniętą wodę, gdy się wykaszlał i gdy sobie podjadł, zaczął mówić:

- Capnęli mnie tutaj, parę mil stąd, lecz nie ubili, bo im się spodobało, że mam włosy tak samo rude jak ich kudły, a i dlatego, że rozumiem ich mowę. Język mają podobny do języka Bretonów, który znam, więc jakoś to idzie, choć trochę koślawo.

- Dużo ich tu stoi? - spytał Fulwiusz.

- Czterystu dwudziestu siedmiu, panie, w tym rannych osiemnastu, lecz niegroźnie rannych, bo ciężko rannych bez zwłoki dobijają.

- Ile czasu chcą nas oblegać?

- Nie wiem.

- A czego w ogóle chcą?

- Na razie tego, że ichni wódz, Harald zwany Długim, chce się spotkać z tobą, panie, bo już słyszał, że „Soter” to największy wojownik Rzymu.

- Od ciebie się wywiedział?

- Nie ode mnie. Od Tryfona, sługi konsula Valerianusa.

- Od sługi konsula?! - zdziwił się Fulwiusz. - Co robi u nich sługa Valerianusa?

- Schwytali go na morzu, do Bizancjum płynął... Wzięli cały statek, a dlaczego jemu darowali żywot, tego nie wiem.

Fulwiusz zwrócił się ku Valerianusowi;

- Wysłałeś kogoś morzem do Bizancjum?

- Tak, wysłałem kilkunastu moich ludzi do papieża drogą morską, dwa dni przed opuszczeniem Rzymu, licząc, że im się uda, jeśli nie uda się mnie.

- Kto ich przepuścił, Guntamund Frank?

- Guntamund. Jego patrol zaprowadził moich do Ostii, gdzie wsiedli na jakiś statek.

- Lecz skąd twój sługa wiedział, że będziemy teraz w tym miejscu?

- Nie mam pojęcia. Wiedział tylko, że będę szukał „*Flagellum*” między Tergeste i Aquileą, ale skąd mógł wiedzieć kiedy tu dotrzemy?

- Ja to wiem, panie - rzekł Atenajos. - „*Ludzie morza*” capnęli też paru wojów komesa Hildirika, a kiedy ich przepytawali, tłumaczyłem co męczeni gadają. Gadali także o waszej drodze, i o waszym pobycie na tych ziemiach. Że idziecie do Tergeste z Aquilei...

Tu wtrącił się Rufus:

- Do Tergeste można iść z Aquilei różnymi drogami, kolego! A nas mogło już dawno nie być na tych ziemiach! Coś mi śmierdzi w twoim głosie...

Mnich spuścił płochliwy wzrok i zakasłał. Twarz zrobiła mu się czerwona jak od ciosu. Rega przypadł doń i syknął:

- „Ptaszku”, nie łyż, albo porachuję ci wszystkie piórka i wszystkie kosteczki dużo precyzyjniej niż ty rachujesz grochy tworzące stos i ludzi tworzących tłum! Śpiewaj!

- Ale ja... ja nie chciałem! - jęknął mnich przez łyż.

- Męczyli ciebie również, i wygadałeś o nas wszystko?!

- Nie męczyli, wygadałem sam... I nie wszystko! I nie im, jeno temu...

- Komu?

- Temu Tryfonowi! Przysiadł się, niby jako druh, bo też więzień, i zaczęliśmy gadać. Wyznałem mu tylko, iż wędrowałem z wami, i że jesteście gdzieś w pobliżu, a on wypaplał tym gównojadom...

- Naprawdę żrą gówna?! - zdumiał się Frontinus.

- Nie, ale surowiznę żrą jak wilki. Do misek plują, rzygają tam gdzie jedzą, to dzicz śmierdząca! Mnie też dawali, nie mogłem przełknąć ni trochę. Jak usłyszałem, że Długi zapragnął widzieć „*boga wojny*”, ucieszyłem się, że musi wziąć ze sobą tłumacza, i że wtedy od was dostanę czyste jadło.

- To czemu już im prysnąłeś, żywotem ryzykując, wariacie? - spytał Rufus. - I tak byś tu z nimi przybył jeszcze dzisiaj!

- Bo chciałem wcześniej napchać sobie pusty brzuch. Ale też chciałem pokazać łobuzom, że dla mnie zdjąć sobie więzy to tyle co nic!

- Przyprowadzić Długoego tutaj to również będzie dla ciebie drobiazg - zawyrokował mój ojciec. - Wróc do nich i powiedz, że daję słowo honoru, słowo „*Sotera*”, iż włos mu nie spadnie z głowy.

Tak się też stało. Harald przybył w towarzystwie dwóch wojów. Był istotnie długi, wysoki jak tyka, przewyższał trybuna prawie o głowę. Ciemnożółte brudne włosy spadały mu na plecy i ramiona. Cała jego sylwetka była smukła niczym pęd wierzbowy, a krogulcza twarz niezwykle wąska, że zdawała się mieć tylko profil z nadmiernie rozrośniętym nosem i z uchem o kształcie uszu gacków. Tę krostowatą gębę cięły dwie blizny. Kiedy się śmiał, widać było szpetne dziury w młodym uzębieniu. Chyba coś wychlał wcześniej, bo spojrzenie miał trochę mętne, przypominające oczy konającego cielaka. A głos zupełnie nie pasował do figury i zbroi; ów cukierkowy głos przyprawiał mnie o mdłości kiedy słuchałem. Każde zdanie tłumaczył Atenajos, lecz by nie komplikować opisu, przedstawię dialog jakby rozmawiali bez tłumaczenia. Początkowo stali twarzą w twarz, później usiedli na pniakach i pili wino. Harald zaczął pytaniem:

- Czy to ty jesteś ten wielki „*Soter*”, rzymski „*bóg wojny*”?

- Jam jest - skinął głową Fulwiusz.

- Tedy mnie winni bardzo wielkim zwać, bo mogę z góry oglądać czubek twojej głowy,

legionisto!... I masz tylko jedną bliźnę na pysku, a ja dwakroć byłem cięty przez gębę w boju, zatem moja waleczność dubeltowa przy twojej!

Fulwiusz nic mu nie odpowiedział, a tamten ciągnął niezrażony:

- Słyszałeś o mnie?

- Do tej pory nic.

- Teraz będziesz słyszał dnia każdego. Ja słyszałem o tobie kiedyś jeszcze nosił smarki miast wąsów, no i zawsze pragnąłem cię zobaczyć, a o spotkaniu nawet nie marzyłem. Tym bardziej nie roiłem, iż będę mógł upokorzyć takiego herosa! Bogowie sprawili cud! „*Soter*” w saku, Harald dyktuje warunki! Jak tu nie ufać bogom?

- Wina? - zaproponował trybun.

- Chętnie skosztuję dobrego legionowego wina.

- Dobre legionowe nie istnieje. To będzie wino konsulowe, więc rzeczywiście dobre, legionieści piją sikacza dla biedaków.

Wtedy usiedli. Kiedy przepili, trącając się kubkami, Fulwiusz zapytał obcesowo:

- Czego chcesz, „*człowieku morza*”?

- Waszego bogactwa. Całego waszego złota, i wszystkich klejnotów. Tych konsulowych i tych zbójceckich.

- O tych zbójceckich sługa konsula nie mógł wam powiedzieć... Czyżby Atenajos?

- Tryfon nie mógł, zaś Atenajos nie musiał. Powiedziała nam kobieta, która przyplątała się do nas, i którą rżnie setnik Sven, choć czasami wypożycza ją innym wojom.

- Emilia, Gotka?

- Zgadłeś. Prawi, że macie tego bez liku. Oddajcie, a puścimy was. Chcesz, to zaprzysięgnę, przywołując wszystkich moich bogów. Słowo Haralda Długiego, rycerskie słowo, możesz wierzyć!

Zbyt cicho cuchnął jak na słownego rycerza, i w ogóle niczym nie przypominał męża honoru, lecz Fulwiusz, miast roześmiać mu się w twarz, cały czas gadał poważnym tonem:

- Damy jedną czwartą, lub będziemy się bić.

- Daj połowę, a przez szacunek dla ciebie zadowolę się połówką!

- Kocham się bić, na tym się odrobinę znam, a na rozrzutności mniej. Z kilkoma setkami toporów

nie wydolisz, „człowieku morza”.

- Lada chwila będzie tu trzy razy więcej „ludzi morza”, lecz nie w tym rzecz, jeno w sztuce wojennej, którą przeciwko wam zastosujemy. Myślisz, że potrafimy używać wyłącznie toporów?

- Słyszałem o tej waszej sztuce wojennej, że lubicie również używać strzał mających poluzowane groty, tnąc ścięgna łączące drzewce i żelazo, tak by groty nie można było z rany wyszarpać. Nastraszyłeś już tym te drzewa, w które wbijają się wasze strzały. Ja nastraszyłem ciebie wybuchającą kłodą. Mamy dla was jeszcze trochę takich przykrości, nie boimy się waszego ataku, „człowieku morza”.

- Ja nie będę was atakował moimi ludźmi, legionisto, ja was tu żywcem usmażę! - roześmiał się dzikus, po czym charknął i plunął flegmą blisko sandałów trybuna. - Za dwa lub trzy dni mój stryj, Egrik Żeglarz, który właśnie zdobył Tergeste, przywiedzie stamtąd gockie katapulty. Tym razem wybraliśmy się do was chmarą łodzi, jak nigdy, i nie łupimy na szybko samych przybrzeżnych terenów, chcemy więcej. Wojsk tutaj mało, bo siedzą pod Rzymem, będzie słaby opór. Zabawimy tu nieco, Rzymianinie! Dzięki katapultom będę cię bombardował spoza dwóch rzek płonącymi bryłami pakul i „greckiego ognia” - nie do ugaszenia. Będę to robił tak długo, aż wszystko tutaj zgorzeje. Daj czego żądam, i wynoś się jeszcze dziś, pókim rycerski i łaskawy!

Ile razy użył słowa „rycerski” lub „rycerskość” - zalewała mnie krew. Fulwiusza pewnie też zalewała, lecz twarz miał kamienną, ni jeden nerw pod skórą nie drgnął mu wtedy. I nie widać było w jego oczach strachu, który czułem sam, a widziałem we wzroku wszystkich pozostałych - Valerianusa, Marcipora, Mustia, kilku setników, i Rufusa także. U Rufusa może nie był to strach, raczej niepokój, lecz jednak jakaś obawa była w lśnieniu tych zielonych kocich źrenic, bo rozumiał, jak każdy, iż Harald nie grozi pusto, nie łże tromtadracko - katapulty są już w drodze z Tergeste. Fulwiusz chciał się widocznie upewnić, gdy powiedział:

- Wrócimy do rozmowy jak zobaczą katapulty...

A tamten odparł wstając:

- Wtedy to już nie będzie czas rozmów, zobaczysz wokół siebie kłęby dymu i piekło ognia. Teraz jeszcze jam tu władny, ale kiedy przybędzie Egrik naczelny wódz, wtedy nie ja będę zarządzał i rozkazywał. Nic już nie będę mógł dla ciebie zrobić. Przybędą pojutrze lub dzień później, masz więc czas do jutra, Rzymianinie!

Ruszył ku łodzi czekającej na niego. Gdy mijał wóz konsula, zobaczył Terencję zeskakującą z furgonu. Jakby go piorun poraził. Wbił w nią wzrok i znieruchomiał. Ona przeszła mimo, a on wykręcił szyję i ścigał kobietę wzrokiem płonącym niby dwa rozżarzone węgielki. Potem zapatrzył się w ziemię, dumając ciężko. Wreszcie uniósł głowę, spojrzął na Fulwiusza, i wrócił do niego, idąc wolno, jakby starannie mierzył krokami dystans. Zatrzymał się przed trybunem i rzekł głosem lekko ochryłym, całkowicie innym niż ten, którego wcześniej używał podczas dialogu:

- Chcę dostać tę kobietę, legionisto! Nie chcę już waszego złota i waszych kamieni! Chcę tylko ją,

teraz, albo kończymy pertraktowanie! Dajcie mi ją, i możecie sobie czmychać. Nie dacie - spalę was na popiół!

- To spalisz i ją - rzekł mój ojciec.

- Będziecie skakać w wodę, chroniąc się przed żywiołem ognia. Jednych wystrzelamy, innych pojmiemy. Do niej nie będziemy strzelać, legionisto, więc może przeżyje... Daj mi ją i zwiewaj, knę się, że przeszkadzać wam i ścigać was nie będziemy! Wolna droga, ale bez niej!

Fulwiusz wzruszył ramionami:

- Nie mogę ci jej dać, nie jest moja.

- A czyja?

- To żona konsula, zwróć się do niego.

Harald nie musiał pytać gdzie jest konsul, gdyż wszyscy spojrzeli na Valerianusową gębę. Ten, kluty tyłoma spojrzeniami, zbladł i spuścił wzrok. Milczał, paląc się wstydem, ale milczał.

- On się zgadza, widzisz! - krzyknął dzikus.

Fulwiusz przykleił wzrok do twarzy konsula, i przeniósł spojrzenie dalej, poza konsulowe plecy, co kazało również innym spojrzeć tam, i Valerianus także to zrobił. Zobaczyli Terencję stojącą kilkanaście kroków od nich; czekała na finał spektaklu. Fulwiusz pozwolił Valerianusowi milczeć haniebnie jeszcze kilka chwil długich jak wieczność, i rzekł:

- On wcale nie wyraził zgody, „człowieku morza”, tylko twoja bezczelność zatamowała mu głos, gdyż nigdy się nie zetknął z czymś równie wstrętnym, to mąż wielkiej prawości, o duszy nabożnej, nie znającej takich ekscesów. Zostały ci katapulty, chyba że wolisz złoto i kamienie... Innej możliwości nie ma.

Barbarzyńca osłupiał - pewnikiem nie mógł pojąć dlaczego ci Rzymianie są aż tak głupi, iż rezygnują ze wspaniałomyślnej szansy, która została im dana, ergo: czemu los jednej baby znaczy dla nich więcej niż zbiorowe bezpieczeństwo. Rufus mu pomógł:

- Precz do swoich, bo mogę się okazać trochę mniej rycerski aniżeli trybun i gladiusem wyrównam różnicę wzrostu między nim a tobą!

Gdy wściekły barbarzyńca wsiadł już do swej łodzi, Frontinus rzucił:

- Spróbujmy się przebić przez tę hołotę!

- Z wozami i kobietami?! - fuknął Isidorus.

- Będzie czterech na jednego... - poparł Isidora Caeliusz. - Nie damy rady, wytną nas.



- Kawalerzystów nie wytną wszystkich, lecz piechurom ucieczka pójdzie gorzej... - westchnął Adaloald.

- Źle! - zajęczał Marcipor.

- Koniec tego biadolenia! - rozkazał trybun. - Wykopiemy kilka dużych dołów w tym podmokłym gruncie, jako przeciwogniowe schrony. Do roboty, wszyscy, i to zaraz!

Kopaliśmy aż przyszedł zmrok. Istotnie wszyscy, oprócz księdza Damiana, kobiet i strażników. Fulwiusz harował niczym szeregowy legionista, nie chcąc odpoczynku żadnego. Wieczorem byliśmy tak zmęczeni, że dłuższy czas leżeliśmy na trawie nie mając siły pławić się w rzece z brudu. Gdyby wtedy Harald zaatakował, starczyłoby mu kilkunastu wojów, bez toporów, dla wyłuczenia nas kijami i pięściami.

Znowu groziła nam wszystkim śmierć, o czym myślałem biorąc nocną kąpiel przy brzegu, lecz nie myślałem wówczas o własnej śmierci, nie dręczyła mnie bojaźń o własny żywot. Ledwie ułożyłem się na derce namiotowej, a już zasnąłem, i śnił mi się Sulpicjusz. Nic nie mówiąc położył się przy moim boku i wtulił, szukając ciepła mego ciała. Chciałem się odsunąć, gdyż wydał mi się zbyt natarczywy, lecz trzymał mnie kurczowo, a kiedy chwyciłem jego ramię, by je zerwać z mojej piersi, uśmiechnął się i zakpił bezwstydnie:

- Wolisz penis Philomususa, przyjacielu? Czy dlatego, że to mąż tak dobrotliwy, iż nawet w jeżu widzi zwierzę do głaskania?... Nie strosz się, we mnie też bije serce greckie i duszę mam grecką. Czyż Grecy nie głosili, że męczyzna może darzyć miłością wyłącznie chłopca lub innego mężczyznę, bo spółkowanie z kobietą służy tylko prokreacji i jest zwyczajnym dziecioróbstwem miast prawdziwą miłością?...

Słyszając to, szarpnąłem się gwałtownie i przebudziłem, ale ramię leżące na mojej piersi nie zniknęło, a przy skroni czyjeś wargi grzały mi skórę rytmem nerwowego oddechu. Rozpoznałem Kornelię, bardziej węchem niż po rysach, gdyż było ciemno. Widząc, że się przebudziłem, zaskomlała:

- Daj mi zostać tu! Boję się śmierci od „ognia greckiego”, lub choćby poparzenia i niewoli! Kaiusie, kobiety mówią, że wy wszyscy zginiecie, a my... my pójdziemy w niewolę u tych dzikusów!

- To się jeszcze zobaczy... Fulwiusz coś wymyśli, bądź spokojna.

Leżącego nieopodal Regę przebudził ten dialog. „Pies Fulwiusza” spojrział gniewnie, wstał i ruszył ku wyjściu z namiotu. Było mi głupio, więc próbowałem go zatrzymać:

- Rufusie, nie musisz...

- Pomagać ci nie muszę, ale muszę obejść strażę, koguciku. Nie będzie mnie do rana.

I zniknął. Bliskość Kornelii sprawiła, iż uczułem zwierzęcą chuć. Aby już nie paplać, zamknąłem

wargi dziewczyny swoimi jak wygłodzony drapieżnik, co szuka zębami pulsującego mięsa, i wepchnąłem się między jej uda z prostacką zapalczywością gwałtowników. Kiedy skończyłem, lepił się wzajem od mojego potu, a serce dudniło mi niby dzwon. Zsunąłem się z jej ciała i leżąc na plecach starałem się przepędzić myśl, iż w całym tym akcie była wyłącznie moja żądza, bez odzewu.

- Po licha tu wlaźłaś, dziewczyno, jeśli nic do mnie nie czujesz?! - zgrzytnąłem.

- Chciałam... chciałam się przytulić do kogoś... - szepnęła. - Wszyscy pozostawili mnie samą, Fortunata też, a ja boję się hańby u tych dzikusów! Gdyby Fortunata nie zostawiła mnie dla...

Brzmiało w jej głosie coś dziwnego, coś, co obudziło moją czujność i kazało zapytać:

- Jaka znowu Fortunata?! To któraś ze sług, czy któraś z Gotek?

- Córka Paxei.

- Córka tej starej służącej twojej macochy?

- Ta sama.

- Do niej chciałaś się przytulić?

- Tak, Kaiusie.

- Czemu akurat do niej?

- Bo ją kocham! - krzyknęła, i rozplakała się jak małe dziecko.

A mój wystudzony ejakulacją umysł poraziło zrozumienie, że od dawna gram głupka zaślepionego przez namiętność. Nie bez trudu wstrzymałem gorzki śmiech i mruknąłem:

- Więc wolisz kobiety...

- Ją wolę, Kaiusie, a ona mnie zdradza z legionistami, pędzi do nich co drugi wieczór, nędznica! Poszła sobie i zostawiła mnie samą!

- Dlatego jesteś tutaj...

- Chciałam się do kogoś przytulić, Kaiusie... Do Justusa nie starczy...

- Mogłaś się przytulić do macochy, lub do swego ojca, Kornelio.

- Ojciec jest ze swoją suką, a stara poszła do twojego, Kaiusie.

- Co mówisz?! - wykrztusiłem, nie wierząc zmysłowi słuchu.

- Mówię co widziałam. Poszła do jego namiotu zanim ja przybiegłam tutaj, a biegłam, żeby nie ryczeć samotnie myśląc o śmierci lub niewoli.

Kobiety przychodzą do namiotów. Jedne z miłością, inne bez. Do mojego namiotu nigdy nie przyszła kobieta, która mówi: „- *Pociągnij mnie za sobą... Połóż mnie jak pieczęć na sercu twoim, jak pieczęć na ramieniu twoim, bo miłość, siłą swą, śmierci nie ustępuje, a jej żar to żar ognia, płomień, którego nie zgaszą wielkie wody, rzeki nie zgaszą...*”\* [\* - Fragment miłosnej „**Pieśni nad pieśniami**” (Stary Testament)]. Widocznie tak chciał Bóg. Nie mam Mu tego za złe - „*bądź wola Twoja*”. Nie wykluczam, iż oszczędził mi tym prawdziwie złego losu - dużo głębszych niż przelotne mąk. Ci, którzy dzięki kobietom chcą zbudować sobie trwałą raj na Ziemi, godni są bowiem rozczarowań i cierpień. Żyję już długo, tedy tyle już widziałem, by rozumieć, iż wszystkie ziemskie raje znajdują swój mroczny kres i obnażają swoje złe strony nim jeszcze dobiegną kresu, nawet czuła miłość. Sulpicjusz zakpiłby pewnie, że ciągłość rajy to nuda. Żał mi jednak, iż nie dane mi było pokosztować choćby ulotnych chwil wzajemności. Czyż objawem takiego samego żalu, takiej samej tęsknoty, nie był ów wiersz Sulpicjusza, który moja pamięć przechowała do dziś:

*„W cichej burzy kryję się*

*Niczym w muszli*

*By nie pokazywać siebie.*

*Czekam na łzy z nieba*

*Bym wiedział o uczuciu.*

*Czekam na rzeczy niemożliwe*

*Bo zawsze oczekiwałem tylko takich.*

*Czekam na samotność*

*Której opłatkiem będę się dzielił*

*Z drugą osobą.*

*Czekam na dotyk wiatru*

*Który poniesie mnie w wiarę.*

*Czekam na boga*

*By okazał się Bogiem.*

*Czekam...*

*Już nie czekam”.*

Wypłakała się i usnęła skulona, a ja nie umiałem zasnąć. Wstałem, chcąc pozbyć się gniotącego moczu. Był jeszcze ciemny przedświt. Gęsta mgła sięgała szczytów drzew. Ciszę kaleczyły tylko strzelające iskierkami ogniska straży, czujnej bardzo, gdyż mgielny opar dawał wrogom możliwość bliskiego podejścia. Uniemożliwiłby wszakże walkę, widać bowiem było tylko na kilka kroków, więc wszyscy gubiliby się pośród tego mleka jak ślepcy. Omackiem trafiłem ku brzegowi rzeki Sontius, doszedłem do jej styku z Frigidus, mijając placówki, i ruszyłem brzegiem tej drugiej ku wałowi zamykającemu biwakowy trójkąt. Przestrzeń wokół mnie jeszcze żywiła się mrokiem, lecz niebo po drugiej stronie wału rozjaśniało się wolno zbliżaniem jutrzeńki. Wracając mijałem namiot Fulviusza, i nie oparłem się pokusie stąpienia bliżej. Przykucnąłem u zakrytego wejścia namiotu, znieruchomiałem, tłumilem dech, wytyczałem słuch, aż dobiegł szept rozmowy:

- O czym teraz myślisz, trybunie?

- Iż niewiasta potrafi wskrzesić zdechlaka, który dzień cały kopał bez wytchnienia kilka dołów. Wieczorem byłem pewien, że długo nie będę zdolny ruszać rękami i nogami.

- Nie musiałeś ruszać rękami i nogami.

- Jesteś bezwstydną, Terencjo!

- Czyż inaczej przyszedłbym tutaj, kusicielu?

- Czemu dopiero dziś?... Kochasz mnie odkąd pierwszy raz ujrzeliśmy siebie.

- Ty może odtąd mnie kochasz. Ja cię kocham od pierwszych dziewczęcych rojeń, iż znajdę wielką miłość. Od pierwszych modlitw, by Bóg kogoś takiego zesłał. Od pierwszych bezwstydnich snów, trybunie!

- Czemu nie mówisz, jak wczoraj i przedwczoraj: Fulwiuszu?

- Bo bezwstydne kobiety lubią żołnierzy. Kiedy jeszcze swój bezwstyd hamowałam, mówiłam do ciebie: Fulwiuszu. „Trybun” brzmi bardziej żołdacko, stąd bardziej rozpala nieskromność kobiety legionowej.

- Kobiety legionowej?!... Masz talent nazewniczy!...

- Wiem tylko, że mam ciebie, wbrew mojej zapiekłej dumie tamtych pustych nocy... i wbrew całemu światu! Umrę szczęśliwa!

- Nie spiesz się z tym, dam radę.

- Jak?

- Zawsze możliwy jest cud, to moja specjalność, dzięki niej zyskałem imię „Sotera”. Wciąż nie

wiem jak, ale jakoś dam radę, rozwalę tych dzikusów. Drobiazg wobec faktu, że dałem radę przetrzymać tę noc po całodniowym kopaniu mokrej gliny!

Usłyszałem jej wesoły chichot i pacnięcie dłonią w skórę (pewno wymierzyła mu silnego klapsa). Zaraz potem dobiegł mnie rozkoszny jęk, oraz szelest ciał turlających się na posłaniu, więc zerwałem się i cichutko stąpając zostawiłem tę intymność przynależnemu erotyce sekretowi.

Miał rację - zdarzył się cud. Mgła, jak już rzekłem, była wysoka i gęsta, ale kiedy słońce się ukazało, tak ją zaczęło czesać promieniami swymi, że się rozstrzepiła, rozpełzła i ledwo farfocle jej czepiały się traw oraz niskich krzewów. Wtedy dostrześliśmy, że „*ludzie morza*” zniknęli całkowicie. Nie było ich widać za brzegami obu rzek, ni po stronie wału fortecznego, jakby sami stanowili mgielny wytwór, który unicestwiły włócznie słońca. Fulwiusz rozesłał kilka patroli konnych dla zbadania sytuacji wokoło. Jeden z tych patroli przywiódł grupę Gotów. Wówczas poznaliśmy prawdę: banda Haralda czmychnęła wskutek naporu wojsk idących ze wschodu, od Emony, gdzie był duży ostrogocki garnizon. Garnizon aquilejski (woje komesa Hildirika) szedł ku emońskiemu dla połączenia sił, zaś trochę dalej maszerował ku punktowi koncentracji również garnizon grodu Nauportus. Goci chcieli stworzyć „*ad hoc*” małą, improwizowaną armię, i odeprzeć „*ludzi morza*”.

Dwa dni później komes Hildirik przybył do naszego taboru. Rzekł Fulwiuszowi:

- Co było między wami a mną, to było. Teraz trzeba razem wymieść plagę, trzeba wytłuc tych morskich zbójów!

- U mnie szukasz wojskowej pomocy?... - zdziwił się „*Soter*”. - Szukasz pomocy u Rzymu, barbarzyńco?!

- Tak, chcę pomocy Rzymu.

- Gdy wasze wojska oblegają Rzym?

- Właśnie dlatego, że go oblegają, tu brakuje nam luda!

- Ilu zebrałeś?

- Tysiąc stu, a zbójów jest półtora tysiąca. Ciągną spod Tergeste ku Aquilei, by ją wziąć.

- Z moimi ludźmi też będzie was trochę mało...

- Z tobą wystarczy. Nie o twoich ludzi idzie, lecz o twoje wybuchowe diabelstwa i o samego ciebie!

- O mnie!?!... Czego żądasz, człowieku?

- Abyś ty dowodził!... Weź główne dowództwo, wszyscy będziemy słuchać. Znasz sztukę wojenną jak nikt, pod twoją komendą mamy szansę przepędzić zbójów.

- Kiedy przepędzimy... Jeśli przepędzimy, co będzie?

- A co ma być?

- Zostanę z resztką moich ludzi wobec resztek waszej armii, barbarzyńco.

- Na których bogów winienem się kłąć, że nikt was wtedy nie tknie, że będziemy cię błogosławić jako wielkiego „*Sotera*”? - krzyknął Hildirik. - Goci szanują swoich dobroczyńców. Weź przywództwo!

- Co w zamian?

- Wolna droga aż do Virunum, albo do Celei, którąkolwiek z tras wybierzesz. I wszelka na tych gościńcach pomoc, jado, konie, wozy, czym chata bogata... Będziecie gośćmi, nie zaś gromadą uciekinierów.

- Podczas bitwy będę moich ludzi oszczędzał, komesie...

- Rób co uważasz, Rzymianinie, byłeś zwyciężył, ty dowodzisz. Zgoda?

- Zgoda, Hildiriku.

Mieli już siadać, dla przepicia tej ugody winem, gdy nagle wtrącił się Rufus, pytając:

- A „*kurwa*”?

Spojrzeli nań zdumieni. On zaś spytał ponownie, kierując złośliwość do komesa:

- A „*pierdołę*”, „*gówno*”, et cetera, Hildiriku?...

- Czego chcesz?! - warknął Got.

- Brak mi kwiecistości twojej mowy, której to kwiecistości, z niezrozumiałych dla mnie przyczyn, poniechałeś, panie. Kiedyśmy gaworzyli uprzednio, każdą frazę haftowałeś grubymi słowami, tymczasem dzisiaj takiś baczny i delikatny w języku, że panienki rzymskie mogłyby od ciebie tej galanterii nabywać...

- Sralis i mazgalis! - wrzasnął komes. - Jak się prowadzą rzymskie panienki, toście nam już pokazali, goszcząc u mnie, więc mi tu nie chrzań! Bacz, kurwa, diabelski sztukaerze, byś tamtym porobił takie same szkody, jakie mnie porobiłeś niszcząc mój skład wina, psi synu! A od mojego języka się odpierdol!

- Dzięki ci, szlachetny panie, za te słowa, bom już, kurwa, sądził, że to nie ty, jeno twój sobowtór, jakiś barbarzyński pierdolec, co się przebrał za gockiego komesa, a tylko nie umie po gocku mówić! - prychnął zuchwale Rufus.

- Dość, Rufio, przestań i milcz! - rozkazał trybun, unosząc głos. - Jednej teraz służymy sprawie. Wino dla gościa!

„*Ludzie morza*” mieli pecha podwójnego. Burza w zatoce koło Tergeste uszkodziła dużo ich łodzi, a resztę rozpędziła na morzu, nie mogli więc płynąć ku Aquilei, żeby dokonać tam desantu, musieli maszerować brzegiem. Drugi pech nosił imię „*Sotera*” - musieli stanąć przeciwko „*bogowi wojny*”. Nie umiem opisać strategii, jaką wykoncypował dla tego boju. Pamiętam tylko, że kiedy obie armie stanęły twarzą w twarz, zbóje ryczeli, wymachując toporami, a nasze wojsko milczało grobowo, czekając bez ruchu. Tak poradził Rega, co Gotów dziwiło (bo zawsze sami dodawali sobie przed bitwą animuszu chóralnym wrzaskiem), lecz karnie usłuchali. To śmiertelne milczenie naszych szeregów deprymowało wroga. Później, gdy rozpoczął się bój - wściekły ryk był już melodią powszechną. Moją również.

Miałem nie walczyć, tylko pilnować paru wozów. Jednak złamałem rozkaz i pobiegłem do krwawej kotłowniny. Ze wstydem dzisiaj przyznaję, iż dlatego, że chciałem oszukać Pana Boga. Pragnąłem bowiem samobójczą śmierć, która jest ciężkim grzechem, zamaskować śmiercią wojenną. A łaknąłem samobójstwa, gdyż przez nieudaną namiętność odechciało mi się żyć. Wiem, że to głupie, lecz wiem to dzisiaj.

Bóg nie dał się wywieść w pole moim szczeniackim sprytem, chociaż dłuższą chwilę znajdowałem się blisko epicentrum rzezi. To ja chciałem umrzeć - tymczasem umarł mój zamiar. Stało się coś, czego nie przewidziałem. Rój bitewny, chcesz tego czy nie chcesz, ma swój własny, nieposkramialny byt, jak huragan, lawina śnieżna albo powódź. Wtopiony w ludzką gęstwę, ulegasz jej prawom i żądom. Człowiek, wedle którego bitwa będzie szlachetnym sposobem samobójstwa, traci w bitwie skłonności samobójcze, chce tylko przeżyć, zadawać śmierć, aby nie została zadana jemu. Walczy o życie, które tak niefrasobliwie pragnął złożyć na wojennym ołtarzu Marsa. Reszta pokus wymyka się świadomości, którą kierują despotycznie dwie siły: zwierzęcy instynkt tudzież tanto prawo lejącego krew tłumu. Chore skłonności kapitulują, rządzi bezlitosna walka. Jednak zwykła walka, normalna rąbanina, rządzi do czasu. Przychodzi bowiem moment wyzwolenia ze strachu o życie - to faza ekstazy. Minęło mnóstwo lat, a pamięć łatwo niby wczorajszą rzecz wskrzesza dla mojego pióra ten szum mózgu, ten jałowy tuman nieobecności myśli racjonalnej, tę quasi-widmową nadrzeczywistość świata. Zaznałem wówczas gorączkowego upojenia, swoistej euforii, dziwnej rozkoszy, jaką sprawia bestialskie szaleństwo. Gdy wszyscy wokół biją się, i gdy w tym uczestniczysz, a kłęb ludzki wiruje tak wściekle, że wszelkie kolory zlewają się ze sobą - świat osiąga stan absolutnej jedności, niczym w zbiorowym tańcu tłumu upojonego winem, i masz błogie wrażenie, jakbyś wychodził poza własne ciało, przeżywając ekstazę raz od zewnątrz, a raz od środka, póki się nie zmęczysz lub nie dosięgnie cię metal, który gasi furię niby woda chluśnięta na ognisko.

Kresem erupcji tego szału była dla mnie ta chwila, kiedy wraży topór zawadził mój hełm. Straciłem przytomność, i ocknąłem się po bitwie, leżąc wśród stosu martwych ciał. Ciało „*ludzi morza*” leżało dużo więcej niż ciało Gotów. My utraciliśmy tylko dziewiętnastu żołnierzy, ale wśród nich był setnik Isidorus, pchnięty włócznią. Dwa dni później zmarł od ran także Carvillus, który był zastępcą Fulviusza na murach Romy. Niedobitki wrogów rozpierzchły się; rannych jeńców Goci

wyrznięli, całych spętali do niewolnictwa. Rega szukał truchła Emilii, bez skutku. Za to znalazł żywego Tryfona, sługę Valerianusa, którego „*ludzie morza*” użyli jako tragarza prowiantu. Znajdując owego człowieka nie miał pojęcia, że dla konsula stanowi to wyrok.

Głowa bolała mnie kilka dni. Cios, który w nią otrzymałem, dał mi więc krótką pamiątkę po bitwie, która wewnątrz mej głowy niczego radykalnie nie zmieniła. Myliłby się bowiem bardzo ktoś, kto by sądził, że męsko okrzepł dzięki temu doświadczeniu. Tak jak chłód kobiety, nieobecnej w moich ramionach podczas miłosego aktu, wcale nie zrobił mnie silnym (uodpornionym) mężczyzną - tak też i moja brawura podczas bitwy nie świadczyła wcale, że prawdziwie zmęźniał. Prawdziwym mężczyzną jest człowiek nieugięty. Ten, co nie zna śliskich kompromisów, nie układa się samolubnie z przeciwnikami i z przeciwnościami, nie traci żadnej części siebie, by zademonstrować pustą zęczość, napełnić kiesę lub nasycić głód, i nie zegnę się wskutek chwilowej męki, dla poklasku bądź u stóp tyrana, gdyż nosi serce twarde niczym diament, oraz kultywuje zasady twardsze niż żelazo, a wyłączną mapą jego słabości są chaotyczne linie nonszalanckich kaprysów. Dorosłość była mi pisana jak niejednemu dziecku pisana jest starość - przynosi ją upływający, krótszy lub dłuższy czas - lecz taka męskość nie była mi pisana, więc to, że wtedy miałem obok siebie jej żywy wzór, nic nie mogło zmienić. Daleki wszakże jestem od skargi, iż traf przydzielił mi naturę inną. Choć prawdą jest też, że czasami grzeję się bezskromnie wspomnieniem owej chwili, kiedy wieczorem po zakończonym boju stąpnąłem duchem w domenę Marsa, gdyż „*Soter*” klepnął moje ramię, mówiąc: - Byłeś dzielny, synu.



Od samego ranka pogoda znęcała się nad światem. Lało. Wszyscy kulili się w namiotach, wozach i plandekach. Żarcie roznoszono biegiem, a woda grzmociła z nieba i tryskała fontannami spod biegnących stóp. Wtem nagle niebo przejrzało, jakby czyjaś mocarna dłoń zgarnęła chmury, i wyszło słońce. Wówczas Fulwiusz kazał mi dosiąść Lizypa i jechać ze sobą. Zatrzymaliśmy się u namiotu konsula, którego przywołał i oznajmił, że chce mu pokazać jakiś monaster.

- Funkcjonujący? - spytał Valerianus.

- Ruina - rzekł trybun. - Ale warto, byś ją zobaczył, może to ślad.

- Znaleźliście coś?

- Odkryliśmy coś.

- To jakaś różnica?

- Duża... Odkryliśmy coś bardzo, tak myślę, dla ciebie ważnego, konsulu.

- Kiedy?

- Wczoraj, lecz patrol wrócił późno, a ja ruszyłem tam i wróciłem jeszcze później. Nie chciałem cię budzić, zresztą nie było sensu tłuc się nocą. Teraz jest dobra pora.

- Wybieramy się we trzech?

- Możemy się wybrać we dwóch, lecz Kaius prosił mnie, by go zabrać, także chce zobaczyć.

Jechaliśmy bezdrożami, na przełaj. Pokryty trawą step był równie pusty jak bezchmurne niebo. Dwie mile dalej odnaleźliśmy starą drogę do klasztoru. Nie wiedziałem czemu denerwuje mnie panująca wokół cisza, aż wreszcie uprzytomniłem sobie, że cały czas kłusujemy milcząc, i że właśnie to dziwne milczenie tak trwoży. Za zboczem niskiego pagórka droga skręciła i biegła obok prześwitującego lasu. Zobaczyliśmy smukłe gładkie pnie bez gałązek, jakby opalone płomieniami pożaru, a na szczytach, miast koron, wielkie czarne kule, które eksplodowały, gdyśmy się zbliżyli - wybuchały w niebo, robiąc piekielny hałas, były to bowiem wędrowne stada kruków. Kołowały nad nami jak ciemna gradowa chmura, i ulatywały nie wiadomo gdzie.

Traumatyczny klimat takiego pejzażu rodzi się bardziej wokół duszy człowieka aniżeli wokół ciała, nie wynika bowiem z samej przyrody. Wiem, ile trzeba w życiu doświadczyć, by osiąść równowagę wewnętrzną, a kiedy nareszcie tę równowagę masz - okazuje się, że życia już właściwie nie ma. Nic mnie dzisiaj nie trwoży jak wtedy, wegetuję bez przygód i nie boję się ich, lecz wtedy każdego dnia byłem świadkiem rzeczywistości pulsującej grozą, gdy teraz jestem gasnącym wywoływaczem duchów. Uwolnienie się od gorączki aktywnego bytowania daje spokój, wszakże jest to ten spokój, co mieszka na przedpolu nieuchronnej naturalnej śmierci, skutek zużycia lub

choroby, ponieważ zyskujesz równowagę wewnętrzną dopiero wówczas, kiedy starość wyhamowuje twój bieg, byś mógł zostawić za sobą dudniący złem ludzki teatr.

Im dalej obozu się znajdowaliśmy, tym głębiej przenikał mnie niewytłumaczalny strach, który się wzmógł nim jeszcze minęliśmy drzewa kruków, bo zobaczyłem, że stajanie za mną bieży konno Rega. Nie widziałem go wcześniej, chociaż ciągle rozglądałem się wokół - pojawił się niczym widmo. Kruki wciąż kłębamii ulatywały ku niebu z wierzchołków drzew, jak dymy kadzidlane ze stojaków okołoswiątynnych. Miałem wrażenie, że jesteśmy forpoczta pogrzebu.

Valerianus dostrzegł Rufusa odrobinę później. Twarz mu skrzepla - chyba też czuł, że szykuje się tu coś złego. Był wszakże bezwolny, albowiem był bezradny; cóż miał począć: wracać, uciekać, pytać? Jechał milcząc i tłumiąc niepokój; widziałem jak bardzo ma teraz rozbiegany wzrok.

Kiedy zajechaliśmy na miejsce, Fulwiusz zeskoczył z rumaka, lecz konsul tak nie zrobił. Staliśmy przed resztką resztek, gdyż ostała się jeno drobna część frontowego muru i kikut bramy, nad którą trwał rzeźbiony wizerunek fallusa: duże jądra i sterczący korpus. Fallusy jako amulety często wieńczyły bramy klasztorne i kościelne, był to południoworomański zwyczaj (mój klasztor wstydziłby się czegoś takiego, bo tu panuje tradycja północna, daleka od starogreckiej). Na budynkach sakralnych nie kojarzył się z Priapem, tylko z ochroną przed złymi mocami i złośliwym fatum. Lecz Fulwiusz nawiązał do Priapa, czyli do bóstwa erotycznego:

- Podobne widywałem, kiedym mijał wejścia lupanarów Romy. Bluźnierca rzekłby, iż w przybytkach nierządnic oraz w przybytkach kapłanów sprzedaje się to samo, bezwarunkową miłość, więc i tu, i tam te same godła mają sens...

Ale konsul wątku nie podjął:

- Czy jedynie tym odkryciem chcesz mieć mnie tutaj, Fulwiuszu?

Fulwiusz zaś ciągnął, jakby nie słyszał pytania:

- Inne skojarzenie miałem, kiedym mijał lupanary i gmach senatu. Przypominałem sobie wówczas porzekadło: „*Żadna praca nie hańbi*”. Co o tym sądzisz, Valerianusie?

- Sądzę, że nie o tym chcesz tutaj rozmawiać ze mną.

- Ależ właśnie o tym, konsulu! O tym, które kurewstwo mniej hańbi - kurewstwo hetery, czy kurewstwo dygnitarza.

- Czemu właśnie tutaj chcesz o tym mówić, i czemu Kaius jest ci potrzebny do tego?

- Kaius jako nasz świadek. O tym samym rozmawialiśmy przed wyruszeniem z Rzymu, w moim cuchnącym lochu, i wtedy wzięłeś tam Kaiusa jako świadka. Dlatego również wzięłem mego syna - by tradycji stało się zadość. A dlaczego tutaj? Spójrz na te kamienne jaja pod fiutem, które strzegą ruiny. Jesteśmy w ruinie „świadców”!\* [\* - Łacińska nazwa męskich jąder („*testes*”) znaczy:

„świadkowie” (świadkowie natury męskiej; świadectwo męskiej płci).] Lecz nie będę gadał stojąc, chodźmy się przy stole, niczym prawdziwi Rzymianie, to też tradycja.

- Słowo tradycja wymawiasz jak słowo egzekucja... - westchnął konsul, próbując zachować nonszalancki fason.

- Tradycja kulturalnej egzekucji jest starą tradycją Rzymian, biesiadną rutyną tak dobrze znanego ci dworu - odparł „Soter”. - Moc tej tradycji ma duży zasięg terytorialny, Cimbera przygwoździła daleko od waszego dworu. Złaź!

- A jak nie?

- To zostaniesz zrzucony z konia, uparty kawalerzysto.

Valerianus zeskoczył na ziemię i wyminęli mur. Ja podążałem ich śladem. Zobaczyłem prowizoryczny stół i dwie ławy. Konsul zapytał:

- Te sądowe mebelki sklecił twój Rufio?

- Jego chłopcy, lecz rozkaz był mój. Siądźmy, „*wielki kalkulatorze*”.

- Winien był przeheblować...

- Miał mało czasu.

- Pełno drzazg, nie chcę się drasnąć...

- Siadaj, draśniesz się czymś innym! - zagrzemiał „Soter”.

- Te deski zdatne są bardziej na trumnę niżli na stół i ławę... - krzywił się dalej Valerianus.

- Do trumny również posłużą. Siadaj!

- Chcesz mnie tu zabić?... Czemu?

- Usiądziesz, powiem.

- Ja ci powiem. Chcesz zrobić wdową niewiastę, którą kocham!

- Nigdy jej nie kochałeś, durniu! - zaprzeczył mój ojciec. - Chuć to nie miłość. Kupiłeś smarkatą wdowę jak owcę na targowisku, ale nigdy szczerze nie pokochałeś, byłeś zbyt zajęty kochaniem siebie samego. Lecz nie jesteś aż takim kretynem, by wierzyć we własne słowa, w to, co teraz mi imputujesz - że pragnę zdobyć cudzą żonę, czyniąc ją wdową za pomocą zbrodni. Nie ględź, i siadaj!

- A może od razu rozciągnę się na stole, jeśli to ofiarny stół... Będzie ciut szybciej, bo nie będziesz musiał wygłaszać werdyktu, oprawco!

- Będzie mniej bolało, gdy się posłuchasz i usiądziesz.

Konsul siadł na wprost niego. Ja siadłem blisko ojca. Lekki wiaterek płynął od północy, łagodząc uciążliwość skwaru. Dłuższą chwilę panowała cisza. Trybun przyglądał się Valerianusowi, jakby rozważając coś, lub może delektując się strachem, który tamten próbował kryć miną sztucznie spokojną i niespuszczaniem wzroku. Wreszcie mój ojciec rzekł:

- Zagraj nam, Kaiusie, tę melodyjkę wschodnią.

Wyjąłem spod tuniki flet, włożyłem do ust, i zagrałem. Nie szło mi biegle, bo palce trochę drżały. Czułem, że trybun jest rozczarowany moim brakiem talentu koncertowego.

- Poznajesz? - spytał Valerianusa.

- Cóż mam poznać? - zdziwił się konsul.

- Tę melodię.

- Nie poznaję... Być może słyszałem ją kiedyś, ale czy mam pamiętać każdą melodię, którą słyszałem w życiu?

- A ja, przyjacielu, będę pamiętał tę jedną po kres żywota. Gwizdał ją fagas pilnujący lochu, do którego mnie ciśnięto.

- Myślę, że setki fagasów gwizdzą lub nucą te same melodie.

- Masz słuszość. To melodyjka syryjska, ulubiona piosenka tancerek syryjskich. I pewnie fagasów lubiących tancerki syryjskie. Ten strażnik gwizdał ją nieustannie, dostawałem przez jego gwizd szau. Pamiętasz jak ci wtedy tłumaczyłem, że przyjmuję twoją propozycję tylko dlatego, by się uwolnić od melomana?

- Trudno mi pamiętać każdy twój dowcip... - burknął Valerianus.

- Mamy świadka, Kaius potwierdzi tamto dowcipkowanie.

- Być może, i co z tego?

- Ano to, że ów strażnik nazywa się Tryfon...

- Imię jak każde.

- ... oraz, że nie był Cimberowym sługą, lecz twoim, przyjacielu.

Valerianus pobladł, przełknął ślinę i otworzył usta, by coś mówić, lecz trybun nie zezwolił:

- Nic nie mów, Valerianusie, szkoda czasu na łgarstwa, słuchaj tylko. Miałem ci rzec co tutaj

odkryliśmy. Odkryliśmy prawdę. Rufus znalazł Tryfona ranego. Kurowały biedaka gockie kobiety. Leżał sobie i gwizdał. Usłyszałem ten gwizd. Taki sam gwizd. Rufus przycisnął melomana, i Tryfon wyśpiewał prawdę o moim uwięzieniu. Wtedy zrozumiałem, że nie mogłeś dopuścić, byśmy się spotkali, Cimber i ja, bo Cimber nie miał z tamtym lochem nic wspólnego. Przymknąłeś mi więc usta kolcem zatrutego pierścienia. Zwracam ci ten pierścień, ażebyś go włożył.

Wyjął skórzany mieszek i wyrzucił zeń pierścioneł na blat stołu.

- Daję ci oto szansę honorowej śmierci. Włóż i będziemy kwita, Valerianusie. Żony nie mieszają do tego.

Zapadło milczenie, które poeci zwa „*ciszą śmiertelną*”, traktując to jako przenośnię, lecz tutaj była ona prawdziwie śmiertelna, bo skazaniec już witał królestwo trupów. Gęstniała nad szorstkim blatem stołu, a we mnie budziła nieznośną grozę, plus chęć zniknięcia, odlececia gdzieś daleko, bym nie musiał współuczestniczyć. Ale wszystko co mogłem zrobić, to spuścić ślepią gwoli uniknięcia widoku Valerianusa, i bardziej jeszcze wzroku Valerianusowego. „Boże, zmiłuj się!...” - powtarzałem w duchu, nie wiedząc czy błagam o łaskę dla siebie, czy dla konsula, gdyż współczułem nie tylko sobie, lecz i jemu, jakby wiązało mnie z nim sekretne pokrewieństwo, już to przez Kornelię, już to przez fakt grania na flecie tej syryjskiej melodii i świadkowania egzekucji, która była mi wstrętna. Całą moją czaszkę katował głośny szum. Rozumiałem jedno: że nie wolno mi odrzucić litości, bo wówczas sam nie zasługiwałbym na litość. Wtem Valerianus znowu począł mówić:

- Śmierć honorowa! Mam ci tedy być wdzięczny, Fulwiuszu? Tak, jestem ci wdzięczny, że bez mąk. Mógłbyś wyprawić publiczną kaźń, zatłuc, zasmagać, upiec jak prosię...

- Gdybym chciał to zrobić, dałbym cię w ręce Rufusa. Jest wściekły, że odmówiłem mu tego.

- Domyślam się, to człowiek okrutny.

- Bezlitosny czasami, przewrotny kiedy trzeba, podły nigdy. Wybrałem wstrzemięźliwość ze względu na Kornelię.

- Czasami kłamiesz i ty, Fulwiuszu. Okazałeś łaskę sobie samemu, ze względu na Terencję. Gdyby usłyszała mój skowyt, i gdyby wszyscy zobaczyli jak żar lub różgi czynią ze mnie katowany strzęp człowieka - nigdy już nie dałaby ci się dotknąć. Myślę, że nie da ci się tknąć, jeśli zobaczy choć kroplę mojej krwi przelanej przez ciebie, a będziesz musiał ją przelać, jeśli odmówię włożenia pierścienia, Fulwiuszu.

- Proszę bardzo, nie wkładaj - wzruszył ramionami trybun. - Wówczas ja i Rufio powiesimy cię na tej bramie. Twoja żona już nigdy nie zobaczy twego ciała, nie wrócisz stąd do obozu. Tu zostaniesz zagrzebany, przykryje cię piach.

- Zagrzebany... - mruknął tamten. - Czy po chrześcijańsku, grabarzu?

- Nie strugaj dewota, prócz nazwy nie miałeś z chrześcijaństwem nic wspólnego.

- W przeciwieństwie do ciebie, wierny wyznawco Chrystusa? Urządzasz msze dla żołnierzy, by klepać chórem paciorki, a zatem każdego prawie dnia recytujesz: „- *I odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom*”! Dowiedź teraz Bogu, że nie kpisz sobie z Niego tym odpuszczaniem. Odpuść mi!
  - Odpuszczam ci. Wkładaj! - rozkazał trybun.
  - Co mi odpuszczasz, jeśli chcesz mnie zabić?!
  - Odpuszczam ci grzech, ale nie cofnę wyroku, wkładaj!
  - Ty mi odpuszczasz grzech?!... Jedyne kapłan może to zrobić! Chcę się wyspowiadać!
  - Mów.
  - Chcę się wyspowiadać księdzu, nie tobie!
  - Chcesz uniknąć swego losu, licząc na pomoc ojca Damiana. Nie wezwę go, Valerianusie, nie dostaniesz tej szansy. Ja tu jestem sędzią, gdyż ja tu jestem Rzymem, spowiadaj się wobec Rzymu. Bóg też cię usłyszy, jest wszechobecny, pośrednika Mu nie trzeba.
  - Mocą chrztu świętego zostałem chrześcijaninem, więc mam prawo...
  - Ja tu stanowią prawo, już to ustaliliśmy! - przerwał mu „*Soter*”. - Ty stanowiłeś prawo, kiedy byłeś konsulem gnijącego Rzymu. Dlatego właśnie, że tacy ludzie stanowili prawo i pilnowali prawa - Roma gniła. Byłeś gorliwy, lecz i ślepy w tym niezbyt bogobojnym dziele. Ta cienka i wątła granica pomiędzy pseudopaństwową funkcyjną gorliwością a nikczemnym dworskim serwilizmem... Spryt odebrał ci rozum! Myślałeś, że twe intrygi będą zawsze skuteczne, a twoje knowania zawsze niewykrywalne, gdyż były niewykrywalne. Błąd! Ogłuchłeś, więc nie dosłyszałeś co szepcze fatum: „*Cave ne cadas!*”\* [\* - Uważaj, byś nie upadł! (łac).]. Aż się stało. Włóż pierścień!
- Valerianus spojrzał na leżący obok pierścień i drżącym głosem powtórzył:
- Mam chrześcijańskie prawo!
  - Chrześcijańskie prawa mają chrześcijanie! - uparł się Fulwiusz.
  - Ja jestem chrześcijaninem, bo moja familia zawsze była chrześcijańska, mam więc prawo do sakramentu spowiedzi i do rozgrzeszenia przed śmiercią!
  - Ale nie masz już prawa do ucieczki przed śmiercią! I nie jesteś chrześcijaninem. Chrześcijaninem nie jest ten, który gada, że jest chrześcijaninem, lecz ten, kto szanuje chrześcijańskie dyrektywy zawarte w Dekalogu.
  - Więc nadstaw mi drugi policzek, trybunie! - ożywił się skazany.

- Widzisz, pieprzy ci się wszystko! Dekalog nic nie mówi o policzkach!

- Ale głosi tak doktryna chrześcijańska, która jest doktryną miłosierdzia. Mnie się myli wszystko?... Raczej tobie się myli wszystko, bo Dekalog mówi: „*Nie zabijaj!*”, a ty chcesz zabić, Fulwiuszu!

- Naśladując twoje miłosierdzie wobec Cimbera, baranku brzydzący się zabijaniem. Zresztą zabijanie to wojenne rzemiosło, więc ten punkt Dekalogu nie dotyczy żołnierzy. Jest wojna, Valerianusie. I nie ucz mnie chrześcijaństwa. Powołujesz się na wyznanie oraz na doktrynę, gdy przez całe twoje życie były one dla ciebie tylko instrumentem gry, mechanizmem wpływu. Sam sobie definiowałeś istotę tudzież granice dobra i zła, tworząc i wyznając religię własną, od chrześcijańskiej bardzo daleką. Fundament tej twojej stanowi kłamstwo, którym się posługujesz ze swobodą urodzonej tancerki, dlatego mam pewność, że spowiadając się plótłbyś księdzu wyłącznie kłamstwa, i że ten naiwny kapłan, jak smarkacz matce, uwierzyłby we wszystko. Oszukiwanie Boga dzięki pośrednictwu kapłana brudzi pośrednika, chcę tego zaoszczędzić księdzu.

- A nie wolisz okazać mi łaską sobie samemu zaoszczędzić zdemaskowania? Ergo: światu zaoszczędzić zobaczenia prawdziwego „*Sotera*”, Fulwiuszu? Niczym urodzony komediant grasz człowieka rasy bogów, świetnie ci to idzie. Ale musi być męczące takie granie półboga bez przerwy. Równie męczące jak granie niezłomnego twardziela...

- Masz słusność, nie jest łatwo sprawiać, by nikt poza mną samym nie mógł widzieć mnie słabeuszem.

- Chwilowo znamy ten sekret tylko my dwaj. Lecz jeśli wyładujesz na mnie swą żądzę zemsty, wszyscy inni zrozumieją, że daleko ci do Olimpu.

- Nie powoduje mną chęć zemsty za tamten loch, ale konieczność...

- Toteż ja tu nie mówię tylko o zemście za tamten loch, mścicielu! - wszedł mu w zdanie Valerianus. - Zemstę za loch wszyscy zrozumieliby bez sprzeciwu. Mówię o kobiecie, której nie możesz zdobyć, bo krępuje ją obecność męża i przysięga małżeńska, czyli honor, a dokładniej spektakl pozorów, gdyż u dbającej o reputację baby honor to terror pewnych przymusów i konieczności dla pielęgnowania rzekomej cnoty pod publikę...

W tym momencie zrozumiałem, że Valerianus nie wie zupełnie nic - nie ma pojęcia, iż Terencja żyje już z innym mężczyzną. Było to dziwne, lecz cała ta rozmowa była równie dziwaczna jak tamta wewnątrz lochu, tworzyła swoiste lustro tamtej rozmowy, przy odwróconych rolach: więzień stał się dyktatorem, a dyktator ofiarą. Jeden i drugi teatr pasowały do siebie niczym dwie strony medalu. Nie mogłem wszelako głowić się wtedy nad tym, bo Valerianus ciągnął swą kwestię:

- ... Wszyscy będą więc pewni, że podle usunąłeś rywala, korzystając z pretekstu, co nie przystoi herosom, jest dla półboga hańbiące, kompromitujące, zenujące! Nikt nie będzie inaczej tłumaczył tego mordy, jak tylko chętką usunięcia zawalidrogi, to jest zemstą za własną nieporadność. Odrzesz się z nimbu!

- Spróbuję jakoś to przeżyć. Nie kieruje mną żadna zemsta, a tylko poczucie obowiązku wobec ludzi, których prowadzę i którym winienem zapewnić bezpieczeństwo. Twoja obecność grozi śmiercią wszystkim, bo już wiemy, że jesteś zdolny do podłości każdej, tak jak zawsze twierdził Rega.

- No to mnie wypędź, Fulwiuszu!

- Mówię o obecności wśród żywych, Valerianusie.

Konsul znowu zamilkł. Dyszał lekko, gdyż perswadował nazbyt nerwowo i zmęczył się jak biegacz. Wiedziałem, że szuka nowego sposobu. Wyeksploatował już łaskę, rywalizację, nikczemność zemsty i motyw miłosierdzia chrześcijańskiego; brakowało mu pomysłu na lepszy chwyt. Trybun też to rozumiał, i zamiast przynaglać, czekał, z miną sugerującą ciekawość: co jeszcze wymyślisz, cwaniaku? Byłem pewien, że to prawdziwa ciekawość - ciekawość widza oczekującego popisu komedianta - dużo bardziej szczerza niż ta ciekawość wielbicielki poety, którą relacjonował Philomususowi i mnie Sulpicjusz. Jego publiczne występy ściągały mnóstwo dam ciekawych improwizowanego rymotwórstwa. Każda mogła podrzucić mu temat czy tylko hasło, on zaś bez namysłu ubierał kwestię w strofy i w rymy. Słuchały rymów, klaskały, wreszcie omdlewały zachwycone, lecz omdlewając pilnie baczyły, by osuwać się na tę właśnie poduszkę, która kolorem pasowała do koloru ich szat, a nie na inną.

We mnie nie było ciekawości żadnej - męczyłem się słuchaniem dialogu, który tylko torturował moje nerwy. I łudziłem się, że oszczędzony mi zostanie aktywny udział. Póki Valerianus nie powiedział cicho, jakby chciał mnie zbudzić:

- Kaiusie...

Lubię moje imię. To dzięki namowie Philomususa i Sulpicjusza piszę je nie po łacińsku. Grecy często używali litery „k”, i pradawni Rzymianie robili tak samo, lecz już przynajmniej dwa wieki przed Chrystusem zastąpili ją w piśmie literą „c” wymawianą jak „k”, i alfabet łaciński zachował „k” tylko dla paru wyjątków, exemplum: Karthago (Kartagina), Kaeso (skrót) czy Kalendae (pierwszy dzień miesiąca). Moje imię pisano: Caius (vel Gaius), lecz jego nadmierna popularność sprawiła, że tym imieniem zwyczajowo ujmowano też osoby wymyślone, bądź nieokreślone, anonimowego kogoś. Sulpicjusz zaczął więc piórem wzmiankować mnie per: „*Kaim*”, co Philomusus poparł twierdząc, że ta pisownia będzie szlachetniejsza, gdyż odwołuje się do greki, a nie wiedział, że Sulpicjusz odwołał się żartobliwie do pisma północnych barbarzyńców (Germanów i innych), kiedy usłyszał, że zostałem adoptowany przez „*barbarzyńcę*”. Lubię moje imię - tak w pisowni, jak i w brzmieniu. Podwójnie je lubiłem, gdym roił o ślubie z Kornelią, bom sobie prorokował małżeńską przysięgę Rzymian: „*Ubi tu Gaius, ibi ego Gaia*”\* [\* - Gdzie ty, Gaiusie (Caiusie, Kaiusie), tam i ja, Gaia (łac)]. Już wiedziałem, że ta moja mrzonka się nie spełni, lecz chociaż przestałem roić o ślubie, dalej lubiłem moje imię bardzo. Pierwszy raz wzdrygnąłem się na jego dźwięk, ze strachu, kiedy Valerianus powiedział:

- Kaiusie...



Uniosłem wzrok znad blatu, by wymamrotać:

- Słucham, panie...

- Kaiusie, tam, w piwnicy, gdzie cię wziął ze sobą, byś mi pomógł przekonać twego ojca do ucieczki za mury miasta, pomogłeś mi jak pragnąłem. Pomóż mi i teraz, nie daj mnie zabić!

Spojrzałem na trybuna, lecz on milczał ciekaw reakcji gówniarza, Valerianus tymczasem kuł żelazo:

- Kaiusie, proszę! Zobaczysz, że umiem być wdzięczny!

- Nie chcę twojej wdzięczności, konsulu.

- Wiem czego chcesz, chłopcze, i to ci dam! Odwdzięczę się Kornelią, zezwolę na wasz ślub, przekażę pół majątku jako posag, tylko uśmierź trybuna, wyjednaj mi łaskę!

Słuchając tego czułem gniew, który gówniarza czyni jeśli nie mężczyzną, to przynajmniej istotą bardziej dorosłą, więc odparłem bez złości:

- Valerianusie, ja już nie chcę ślubu.

- Od kiedy?

- Odkąd zawiodła mnie miłość. Nie będę szukał ciepła tam, gdzie panuje zima. Ty zaś nie kupisz życia tam, gdzie panuje śmierć. Mogę ci współczuć, ale nie mogę ci pomóc.

- Ze strachu przed ojcem, który gra boga zemsty?

- Z szacunku dla niego. To nie tylko mój ojciec, to także mój wódz. Decyzje do niego należą. Wszystkie, które podjął odkąd go znam, były słuszne.

- Ta jest i niesłuszna, i niesprawiedliwa, i krzywdząca, wiesz o tym!

- Wiem kim jestem, wiem kim jest mój dowódca, i wiem kim ty jesteś, to wszystko co wiem, konsulu. Ja jestem żółtodziobem, on jest pierwszym żołnierzem Romy, a ty jesteś kłamcą. Głupio czynisz licząc na mnie.

Tylko przez krótką chwilę dane mi było górować. Valerianus był zbyt wytrawnym graczem, zażył mnie z innej beczki:

- Kłamcą? Porozmawiajmy tedy o prawdzie i o kłamstwie. Twój ojciec wziął cię jako świadka, Kaiusie, czyż nie powiedział tego? Zaświadczyć więc gdzie leży prawda, a gdzie fałsz. Chcę, żebyś rozstrzygnął coś wedle swojej uczciwości i swego rozumu. Czego mi chyba nie odmówisz?

- Słucham cię, panie.

- Gdy człowiek sprzymierzony z drugim, jego wspólnik i partner, uwodzi tamtemu żonę, pragnąc ją posiadać - to jest akt dobra, czy akt zła? Ten uwodziciel jest prawdomówcą, czy kłamcą? Osobnikiem przyzwoitym, czy złodziejem? Lub może nawet skrytobójcą, bo próbuje cichcem zabić związek małżeński...

- Nie wiem o czym teraz mówisz i do kogo pijesz, konsulu! - skłamałem. - Nie będę dyskutował o cudzych, nieznanym mi sprawach.

- Zgoda - chciałem ci jeno dowieść, że czasem kłamie każdy. Ty również, kiedy musisz, bywasz kłamcą. Dyskutować będziemy o znanych ci świetnie sprawach, które miały i mają wielki wpływ na twój los, Kaiusie.

- Na mój los?

- Na los twój i los trybuna. Słuchaj tedy. Fulwiusz twierdzi, że jestem niepoprawnym kłamcą. Przyjął to twierdzenie jako dogmat, i pozostaje wrogiem faktów. Zasadniczych faktów, które są decydujące dla niego i dla ciebie. Przedstawię ci kilka takich faktów, i chcę byś orzekł czy rzucam kłamstwa. Będę ci ukazywał kolejno aksjomaty, a ty mi zaprzecz, jeśli uznasz, że mijam się z prawdą, ergo: że to nie są aksjomaty, lecz moje wymysły. Aksjomat pierwszy: trybun Juliusz Fulwiusz Corvinus, oraz jego syn, Kaius Aelius Pollion, żyją. Czy to kłamstwo, czy prawda?

- To prawda, panie - potwierdziłem.

- Aksjomat drugi: król Manger obiegił Rzym utrzymując, że chce definitywnie skasować Imperium, lecz w głębi duszy niczego nie pragnął bardziej niż dopaść „*Sotera*” i jego syna, by pomścić śmierć własnych synów. Czy to kłamstwo, czy prawda?

- To chyba też prawda.

- Dlaczego: chyba? Czyż nie wysłał za nami gończych psów? A właściwie za wami, gdyż dowódca pościgu żądał od komesa Egfrida tylko moich bogactw oraz dwóch ludzi: was dwóch, Kaiusie. Nie pamiętasz tego?

- Pamiętam, to prawda.

- Trzeci aksjomat, chłopcze: gdybyście wtedy nie opuścili Rzymu, bylibyście w pułapce i czekałaby was nieuchronna śmierć. Może bitewna, a może męczeńska z rąk „*Wielkiego Kwada*” po wzięciu miasta przez barbarzyńców. Mam słusność?

Przytaknąłem, bo miał słusność.

- Aksjomat czwarty, będący właściwie konkluzją trzeciego aksjomatu: opuszczenie przez was Romy uratowało wam życie. Kłamstwo, czy prawda?

Skinąłem głową, gdyż nie mogłem zaprzeczyć:

- Prawda, panie.

- Aksjomat piąty: nie opuścilibyście grodu, gdyby konsul Valerianus Maximus Secundus nie nakłonił was do tego. Kłamie?

- Mówisz prawdę, panie, tak było.

- Aksjomat szósty: gdybym nie użył podstępu, twój ojciec nie uległby żadnej perswazji, vulgo: w żaden inny sposób nie dałby się nakłonić do opuszczenia miasta. Skłamałem?

- Nie.

- Wobec tego aksjomat siódmy, koronujący wszystkie te prawdy: jestem waszym dobroczyńcą, waszym zbawcą, waszym „*soterem*”. Życie zawdzięczacie „*wielkiemu kalkulatorowi*”, i nikomu innemu. Kłamstwo, czy prawda?

- Prawda.

- Pozwól tedy, Kaiusie, że przydam tu jeszcze aksjomat ósmy, dla mnie kluczowy: osobnik, który swego dobroczyńcę karze śmiercią za wyrządzone dobrodziejstwo, jest człowiekiem niewdzięcznym, niesprawiedliwym, i głuchym na fakt, że kłamliwa intryga dobrodzieja uratowała mu życie. Cel bowiem uświęca środki.

- Ale nie podstępne środki gwałtu lub mordy! - krzyknąłem. - Zamordowałeś, panie, Seranusa Cimbera! Zamordowałeś jak zdradziecki wąż, czemu więc miałbym się litować nad tobą, powiedz mi?

- A ty mi powiedz, Kaiusie, czy trybun Fulwiusz o to ma do mnie żal? Spytaj go czy chce mścić Seranusa, który był mu ni bratem, ni swatem. Chce tylko nakarmić swoją dumę urażoną przez fortel, dzięki któremu wyłuskałem was z Romy! Niech przysięgnie, że jest inaczej, niech przysięgnie Bogu!

- A ty, konsulu, przysięgniesz, że wyciągnąłeś nas z Romy, by ocalić nasz żywot? Tą mniemaną prawdą chcesz zyskać łaskę, temu służyło osiem twoich zręcznych aksjomatów, gdy prawda rzeczywista jest taka, iż wszystko co zrobiłeś, zrobiłeś dla siebie samego. Bez „*Sotera*” i jego ludzi nie dojechałbyś tutaj, dawno już byłbyś trupem.

- No więc wzajemnie sobie ratowaliśmy żywot - zgodził się Valerianus. - Ale przecież teraz stoję tu w obliczu śmierci tylko wskutek jednego pecha: bo twój ojciec się dowiedział, że porwałem go ja, a nie Cimber, i że więziłem go ja, a nie Cimber. Chce być katem, ponieważ został oszukany. Winien mi raczej dziękować za błogosławione oszustwo! Wszyscy żyjemy dzięki mojemu kłamstwu!

Wtedy obok rozległ się niespodziewanie głos Rufusa:

- Jeszcze trochę, dobroczyńco, a udowodnisz, że ludzkość przetrwała dzięki grzechowi pierworodnemu. I wiesz co? Z logicznego punktu widzenia miałbyś rację, ten sofizmat trudno byłoby

obalić.

Trzymał bukłak pełen wody, częstując:

- Weźcie po dobrym łyku. Praży słońce, wy pytlujecie, minęło już tyle czasu, będą wam gardziółka przysychać...

Fulwiusz się napił, a później ja zwilżyłem gardło. Kiedy chciałem oddać bukłak Rufusowi, ten rzekł:

- Trzymaj go na ziemi, w cieniu stołu, jeszcze się przyda wam.

- Dajcie i mnie pić! - stęknął Valerianus.

Trybun pokręcił przecząco głową:

- Włóż pierścień, Valerianusie, a odechce ci się pić.

Rufus wykrzywił usta, jakby brał go śmiech:

- Nie włoży, wodzu, nie ma tyle charakteru. Tracicie czas dywagując z tą kupą łajna. Mówiłem, by bez gadania rozbić łeb, albo powiesić szczura na pierwszej lepszej gałęzi i zakopać to psie gówno!

- Przecież skazaniec ma prawo do ostatniego słowa, Rufusie! - sprzeciwił się trybun. - Nasz przyjaciel gada ciekawe rzeczy, wcale nie nudzi. Siądź przy nas, zobaczysz jak Kaius pięknie daje sobie radę w dyspucie z mistrzem aksjomatologii i z jego wirtuozowską demagogią.

- Rzuciłbym pawia, słuchając tej szmaty, wolę pilnować rumaków!

- Konie nie uciekną, chyba że ich nie przywiązałeś.

- Przywiązałem, lecz nie chcę wachać smrodu, który bije od niego. Znam ten fetor - to woń potu syconego przez strach. Mdlą mnie, preferuję inne zapachy, tam jest bliżej lasu. Gdy już uznacie, że czas kończyć, krzyknijcie, bym się zjawił, wtedy skończymy ten cyrk jak trzeba. Mam nadzieję, iż będę czekał krótko, świerzbią mnie łapy.

Oddalił się za mur. Trybun przerwał ciszę tonem arbitra:

- Rozważaliście, konsulu, problem łajdactw błogosławionych - Kaius słuchał, tyś perorował, Rufus zakłócił wątek twego wywodu. Wróć do tematu.

- Tłumaczyłem wam, że...

- Tłumaczyłeś to Kaiusowi, przyjacielu, ja chwilowo nie biorę udziału w dyspucie. Przekonuj Kaiusa.

Valerianus obrócił ku mnie wzrok:

- Na początku... dzisiaj na początku, kiedy ja rzekł, iż Rufus Rega to człowiek okrutny - twój ojciec, Kaiusie, bronił go. Ty masz fantastyczną pamięć, cytujesz wiernie dialogi sprzed miesiąca czy roku, udowodniłeś to już, zatem bądź łaskaw przytoczyć nam słowa, jakimi trybun bronił Regę.

- Powiedział, że... że Rufus jest „*bezlitosny czasami, przewrotny kiedy trzeba...*”.

- Starczy mi, Kaiusie!... Chciałem usłyszeć właśnie to! „*Przewrotny kiedy trzeba*”!... Byłem przewrotny kiedy było trzeba, dzięki temu łajdactwu wy obaj jesteście teraz wolni i żywi. Dlatego mam umrzeć?

- Mój ojciec powiedział, że masz umrzeć, bo twoja przewrotność zagraża wszystkim, których on musi chronić, tak powiedział.

- Rzeczywiście tak powiedział, lecz dzisiaj to nie ja jestem kłamcą, lecz on, nastąpiła zamiana ról. Wbrew własnym słowom - szuka zemsty!

- Cały czas wypiera się tego, konsulu...

- Wypiera się zemsty dzisiaj, podobnie jak wypierał się wcześniej. Pamiętasz kilkudniowy biwak, któryśmy rozbili nieopodal Ariminum, i kłótnię, kiedy mu wyrzucałem stratę czasu, kusząc go zemstą na Cimberze mogącym czmychnąć? Z pewnością pamiętasz co mi odparł wtedy!

- Powiedział: „- *By pragnąć zemsty, trzeba się czuć ofiarą. Nigdy do tego nie dopuszczam*”.

- Właśnie! Jednak dopuścił, bo ta egzekucja będzie zemstą i tylko zemstą!

- No więc czymś dużo bardziej uprawnionym, karą za podłość, ergo: czymś dużo mniej grzesznym niż egzekucja zbiorowa na ludziach, którzy niczego nie przewinili nikomu!

Dziwne, że dopiero wówczas sobie o tym przypomniałem. Mam pamięć wyborną i głęboko sięgającą, jaką ma niewielu ludzi, lecz wtedy nerwy i strach zakłóciły ją. Dzięki Bogu, tylko na krótko.

- Egzekucja zbiorowa?! - prychnął Valerianus. - Nie przyłożyłem ręki do kaźni tamtych zbójów!

- Toteż ja nie o niej mówię, morderco!

- A o czym?

- Powiedziałem wyraźnie, że o ubiciu niewinnych. Zbójce zasłużyli na swój los. Mówię o Żydówce Rebecce, i o jej służących, których kazałeś wymordować bez miłosierdzia jako świadków porwania mojego ojca, Valerianusie! Widziałem tę rzeźnię, a wśród skrwawionych widziałem dwóch wyrostków, dzieciaków... Czy ktoś kochający Chrystusa Pana mógłby zrobić coś takiego?!

Myślałem, że Valerianus spuści wzrok ze wstydu, on jednak drapieźnie wyszczerzył zęby:

- Zapytaj „*Sotera* „ile tysięcy ludzi padło pod jego mieczem i rozkazem, gdy zyskiwał sławę „*boga wojny*” i „*Wybawiciela*” legionów! Spytaj ile dzieci utraciło matki lub żywot, kiedy jego kohorty pacyfikowały wsie barbarzyńców! Jako zbrodniarz jestem przy tym hurtowniku detalistą!

- Jesteś kłamliwą szmatą, dobrze mówił Rega! - zawyrokowałem. - Nie będę z tobą rozmawiał dłużej, mnie też mdli!

- Nie musimy rozmawiać!!! - eksplodował taką pasją, że ślina strzeliła mu spomiędzy zębów. - Chcę rozmawiać tylko z księdzem, ze spowiednikiem, bo chociaż istotnie jako morderca tej Żydówki i jej służby dźwigam ciężar grzechu, to przecież Chrystus rozgrzeszył nawet łotra wiszącego obok!

Chciałem warknąć: „- Ciebie by nie rozgrzeszył!”, ale darowałem sobie. Dzisiaj umiem już biegle dyskutować, znaczy: klarować, parować, puentować, et cetera, nabrałem rutyny w operowaniu mową, logiką, precyzją wywodu; do tego się dojrzewa, jak do wszystkiego, słowa są niczym klocki, z których dziecko buduje gmachy prymitywne, a ojciec dziecka potrafi ułożyć budowlę misterną - lecz wtedy raczkowałem, to był mój pierwszy egzamin. Na jego progu krępował mnie strach, wysławiałem się trwożliwie, jak dłużnik nękany przez wierzyciela. Lecz przy końcu byłem tak pewny siebie jak retor, który niekoniecznie wierzy w to, co mówi, i który gładko pomija to, co niewygodne, manipulując prawdą lub rzeczywistością dla ugodzenia adwersarza. Chciałem wówczas już tylko zadowolić mego ojca, zyskać poklask widowni, którą stanowił jednoosobowo. Wczesna myśl, iż winienem po chrześcijańsku czuć samą litość, ustąpiła żądzy pełnego triumfu. Młodość jest jak młode wino odbierające rozsądek. Tak.

Fulwiusz był i ciekawy, i cierpliwy, dał Valerianusowi bronić się, a mnie popisywać szermierką słowną. Kiedy się znudził, rzekł:

- Ostatnie słowo skazanego, Valerianusie, nie może trwać bez końca. Twoje liczy już zbyt wiele słów. Jestem pod wrażeniem, wybroniłbyś Brutusa od zarzutu uśmiercenia Cezara, ale czas kończyć. Włóż pierścień, lub wołam Regę, którego, jak słyszałeś, świerzbią łapy.

- Świerzbią go z tego samego powodu co ciebie, oprawco! - wychrypiał Valerianus. - Miał się za spryciarza, pilnował wtedy mego domu, szpiegował przy dwóch wyjściach, frontowym i tajnym, lecz przeoczył drugie sekretne wyjście, i dał się omamić jak dureń. To go złości, więc pragnie mojej krwi. Pragniecie jej obaj. I może twój syn również chce tego. Wzięłeś Kaiusa tu, by dać mu praktyczną lekcję zabijania na zimno, wzór egzekucji, niczym wilczyca, która morduje przy szczeniętach, aby widziały jak się upuszcza krew i dusi ofiarę!

- Rufio, chodź, skazaniec jest gotowy! - krzyknął trybun.

Valerianus zerwał się, wywracając ławę, i zaskomlał:

- Nie jestem gotowy!

- Czego ci brakuje?

- Chcę się pomodlić przed śmiercią!

- Proszę, byle krótko. I może lepiej nie módl się do tych nowych świętych, których sam umieszczałeś na pergaminie Kalendarza Liturgicznego, gdyś pragnął zadowolić biskupów tworzących papieską frakcję dworu. Obawiam się, że ich siła wpływu jest przy boku Chrystusa nieco mniejsza niż siła twojej frakcji przy boku cesarza. Chrystus to byt nieprzekupny, zatem dla takich jak ty mało użyteczny. Módl się kalkulując raczej duchowo aniżeli ziemsko, „*wielki kalkulatorze*”.

Valerianus padł na kolana. Złożył dłonie, oczy uniósł ku niebu. Ale źle trafił, bo słońce smagnęło mu wzrok. Przymknął powieki, to wszakże nie wyhamowało promieni słońca, więc odkręcił się doń tyłem. Krótko mamrotał, a później modlił się głośno i wyraźnie, jakby w obawie, że wskutek dystansu między Ziemią i Niebem będzie kiepsko słyszany, choć pragnął być słyszany nie tyle przez Jezusa, ile przez nas, którzy czekaliśmy obok. Recytował żarliwie wersy mające zmiękczyć serca katów: „- *Panie, wybacz im, albowiem nie wiedzą co robią...*”, i cały czas podobnie. Wreszcie Fulwiusz przerwał ów słowotok, mówiąc:

- Rufusie, daj sznur, trzeba kończyć.

Wtedy Valerianus rzucił się do stóp trybuna, padł plackiem, skrępował ramionami kostki jego nóg, i błagając o życie całował sandały „*boga wojny*”, a szlochał przy tym jak małe dziecko. Może łatwo to na starość mówić, ale chyba nie splamiłbym się w ten sposób. Biadolił ohydnie, bez krzty godności. Trybun wyszarpnął jedną nogę, kopnął Valerianusa, co pozwoliło wyzwolić drugą, i rozkazał żebrzącemu:

- Wstań! Daruję ci życie... Wstawaj, wstawaj!... Chciałem zobaczyć, dworski pupilu, czy odkryjesz w sobie szczerłość, a więc tę cechę, tę postawę, która zazwyczaj jest zupełnie obca takim jak ty kłamcom, i widzę, że znalazłeś we wnętrzu swoim, w sercu swoim, szczerłość - szczerze pragniesz żyć, szczerze się boisz, szczerze pękasz! Valerianusie, słuchaj: jesteś zdolny do prawdy! Zapowiedziałem ci, że odkryjemy tu razem coś ciekawego, i patrz: odkryliśmy, że również „*wielkich kalkulatorów*” stać na szczerłość!

Jednak gdy Valerianus się zerwał, mój ojciec zmienił ton: - Bierz swojego konia i pędź! W obozie możesz wziąć swoich służących, dwa namioty, cztery konie i jeden wóz. Możesz też zabrać połowę swego majątku, reszta należy do twojej żony, dziel równo! Jeśli twoja córka chce zostać, niech zostanie, lecz wątpię czy taki los wybierze, raczej pojedzie z tobą i z tymi Gotami, których sobie najmiesz jako straż. Możesz werbować i wśród Seranusowych ludzi, nie bronię ci tego. Ruszaj gdzie chcesz, ku Konstantynopolowi lub ku piekłu, wszystko mi jedno, Valerianusie. I działaj szybko! By zniknąć mi z oczu, masz czas do wieczora. Wieczorem ja, Kaius i Rufus zjawimy się w obozie. Jeśli cię tam zastaniemy, umrzesz od razu, żadne błagania mnie nie zmiękczą. Jeśli spotkamy się gdzieś później, po drodze - również zabiję cię od razu. Przysięgam na mój honor! Dixi!\* [\* - Rzekłem! (łac).]

Tak oto zniknął z naszego świata i z mojego życia Valerianus. Dotarł szczęśliwie do Konstantynopola, a choć bez „*Flagellum*” - papież witał go ciepło. Lecz kiedy ten papież zmarł, sędziwy już Valerianus wyleciał poza sferę ludzi wpływu przy dworze cesarskim. Odszedł jak było mu pisane - samobójczo. Cierpiąc męki wskutek choroby, połknął truciznę, która zawsze wisiała mu niżej szyi w maleńkim puzderku na złotym łańcuszku, w owej „*pyxidzie*” z kameą, którą niegdyś, koło Ariminum, pokazał Fulwiuszowi, śmiejąc się: „- *Umrę, gdy zechcę sam!*”. Miał rację, nikt mu nie zdołał tego planu zepsuć, nawet Rega, choć pragnął gorąco.

Kiedyśmy w tamtych szczątkach monasteru zostali już sami, Rega doniósł suszone mięsiwo i dzbanek wina. On i Fulwiusz pałaszowali aż im się uszy trzęsły, ja zaś nie mogłem nic przełknąć, pełen rozdygotanych wciąż nerwów. Żar słoneczny wolno słabł, aura stawała się łagodniejsza, wszystko, my i przyroda, oddychało lżej. Wtem Rega sięgnął po pierścień Valerianusa gołą dłonią. Krzyknąłem:

- Uważaj, możesz się drasnąć, co ty czynisz!

Lecz Rufus włożył pierścień na paluch i wymruczał:

- Czynię co chcę, Kaiusie, lubię złoto.

- Matko Boska, ojczu, co on robi! - wrzasnąłem przerażony, nie spuszczać z pierścienia wzroku.

- To wariat - pokiwał głową trybun, krojąc sobie kolejny płat mięsa. - Wariatom odbija czasem. Zjedz coś, Kaiusie, nie jesteś głodny?

- Ale, ojczu, przecież Cimber, Julia i Hafor...

- Tak, wiem, synu. Cóż jednak mogę zaradzić, samobójca ma prawo do samobójstwa. Podobnie jak chrześcijanin ma prawo do spowiedzi, utrudzony żołnierz do rozrywki, a okpiony frajer do zemsty. To czarodziejski pierścień, każdemu daje inną przyjemność. Widocznie Rufio wreszcie zrozumiał, że wszystkim nam będzie lżej bez patalacha jego pokroju...

- Nie, wodzu, zrozumiałem coś innego! - parsknął Rega. - Zrozumiałem, że wasze towarzystwo tak mnie wkurza, że lepiej pójść do krainy cieni niż dalej obcować z dwójką gachów, których rozmóżdza Amor! Hołdownicy bogini Wenus, psiakrew!

Ryknęli śmiechem i przepłukali gardła winem, nie zwracając na moją konfuzję uwagi. Jeszcze tylko chwilę wybałuszałem ślepią, aż i ja zrozumiałem, choć nie wszystko. Kiedy mi objaśnili, że Rega dawno już przemył pierścień miksturą detoksyzującą, robiąc go bezpiecznym, zapytałem:

- A jak zostało sprawdzone to bezpieczeństwo, przecież musieliście sprawdzić?...

- Rufio sprawdzał - wyjaśnił mi trybun.

- Na sobie?!



- Nie, sprawdzał po bitwie, na pięciu lekko rannych „*ludziach morza*”. Każdemu kolejno wciskał pierścień, i patrzył czy od tego zdechną.

- I co?

- Wszyscy umarli.

- No właśnie!

- Ale nie od złota, tylko od gockiego żelaza. Goci mają zwyczaj dobijania rannych jeńców. Od pierścionka nie padł żaden z nich.

Ponownie wybuchnęli śmiechem. W tym śmiechu brzmiała nuta tej samej frazy („- *Sila i humor!*”), którą wcześniej słyszałem za Vicetią, gdyśmy dzięki sprytowi Rufusa opuścili gród. Tutaj ta fraza nie padła, ale wibrowała echem między dwoma wesołkami - słyszało się ją, jakby została przez kogoś rzucona. Moje milczenie tworzyło swoiste tło dla ich rechotu.

Wracając okrężną drogą (by dotrzymać terminu danego Valerianusowi, to jest nie stawić się przed porą zmierzchu), napotkaliśmy jeziorko i wzięliśmy kąpiel. Rega i trybun prędko wyszli z głębokiej wody; ja pływałem dłuży czas. Tknęła mnie tam myśl, by zrobić im psikusa - zademonstrować „*silę i humor*” w moim wykonaniu. Siedzieli na grubych, ciosanych balach, tworzących prymitywną kładkę, i moczyli zwisające stopy, bełtając gołeniami wodę blisko szuwaru przybrzeżnego. Zanurkowałem cichcem pod bal, by chwycić giry i gwałtownie ściągnąć obu do wody. Wychyliłem łeb, a właściwie tylko nozdrza i uszy, bo ten bal tkwił tuż nad wodą. Usłyszałem wówczas fragment dialogu. Mówili o sobie i o mnie. To, co szczególnie ciekawe, przytaczam:

- Nigdy więcej nie waż się głądzić w obecności Kaiusa, że jestem gachem, Rufio! - rozkazał trybun.

- A ty nigdy więcej nie daruj mordercy z powodu kobiety! - chrypnął Rega. - Śmierć niewinnej Żydówki winna być spłacona jego śmiercią, lecz wolałeś nie drażnić Terencji, kalkulując, iż zgon łobuza nie wskrzesi tamtej, dla ciebie dużo mniej ważnej, wodzu! Kaius mu ją wypomniał, nie ty.

- Słusznie gadasz... - westchnął „*Soter*”. - Ale nie biczuj mnie już dłużej, bo upokorzony przez prawdę, będę chciał ciebie zabić! Starczy, że sam brzydzę się sobą!

Odplynałem bezszelestnie w głąb wody, korzystając z chlupotania fal między filarami pomostu... Koło brzegu naszła mnie myśl inna. Wymacałem dwa duże raki, tego gatunku, którym słyęły jeziora tutejsze (sprowadzano owe raki dla Rzymu jako przysmak), i znowu nurknąłem ku balom. Tam zbliżyłem szczypce rozeźlonych skorupiaków do nóg Rufusa i trybuna. Zostali capnięci szczypcami za paluchy nieomal równocześnie. Wyrwali pięty nad tafłę i piszczeli niby para przerażonych dzieciaków. Cała ich junackość zniknęła, a ja rechotałem tak, że aż zachłysnąłem się wodą.

Valerianus uciekł na wschód szlakiem postumskim, przez Celeię i Poetovio. My również mogliśmy wybrać wschodni szlak, dla obejścia wielkich gór łukiem Via Postumia, który za Poetovio skręcał na północ, ku Vindobonie. Lecz blisko Emony Fulwiusz się dowiedział, iż między Virunum a Noreią spotykano jakieś niedobitki legionów. Więc w Emonie skręciliśmy bezpośrednio na północ, przekroczyliśmy rzekę Savus, i ruszyliśmy ku Virunum. Gościniec ten nie był równie komfortowy jak Via Postumia, wznosił się i opadał, a góry robiły się coraz bardziej majestatyczne i męczące; czasami trzeba było pchać wozy, by ulżyć zwierzętom. Wreszcie, daleko przed nami, ujrzeliśmy skalne zbocza sięgające nieba. Fulwiusz zatrzymał pochód. Dawniej, dowodząc legionami, forsował już takie górskie pasma, ale niektórzy z nas pierwszy raz widzieli masyw, przy którym góry italskie zdawały się gromadą karłów. Staliśmy milcząc i wlepialiśmy wzrok w ten niebotyczny masyw szarzejący od mgieł. Jego szczyty zdawały się nam granicą dwóch światów, niby klechdowe olbrzymy, co bronią dostępu do krainy zaczarowanej.

- Matulu! - jęknął Atenajos.

- Nie pękaj, nie panikuj, rudasio - klepnął go po barku Rega. - Są tam i drogi przez przełęcze, a w ogóle te góry leżą bardzo daleko, dużo dalej niż ci się wydaje, zaś wydaje ci się, że leżą bliżej, bo wzrok cię mami, biedaku. Dystans jest równie względny jak czas, chociaż względność tego drugiego wyznaczają słowa, a tego pierwszego złudzenia optyczne i gęstość oraz przejrzystość powietrza między tobą a widzianymi w oddali rzeczami.

Mając już nie tylko pierścień króla Teudeberta, lecz i glejt komesa Hildirika, mogliśmy swobodnie przemierzać domenę ostrogocką. Stawaliśmy dla wypoczynku koło osad i miasteczek, robiliśmy w nich zakupy, bywaliśmy nawet goszczeni przez lokalnych hierarchów. W pewnym gródku nad rzeką Dravus uświadomiłem sobie, że nieobecność Kornelii całkowicie przestała mnie uwierać, tak dużo dziewczęcych buziaków wabiło tam moje oczy. Rega, który mnie do tego gródka wziął, wzbronił mi zaczepiać dziewczki, tymczasem zaczepiono nas, gdy się tego nie spodziewaliśmy wcale. We czterech - ja, Rufus, Marcipor i Atenajos - zobaczyliśmy wokół rynku ciżbę, którą zwabił głos brodacza stojącego na podium z beczek i desek. Nosił jakąś przepasaną rzemykiem szmatę - trochę togię, a trochę płaszcz - i wydierał się do ludzi, gromiąc „bykobójców”, „heretyków”, „mitraistów”. Co chwila padały złe słowa o bożku Mitrze i o jego wyznawcach. Mało mnie to interesowało, lecz Rega zastrzygł uszami i przyklepił wzrok do ust peroranta, tedy musiałem stać i czekać aż mu się odechce (perorantowi lub Rufusowi). Marcipor i „Ptak” zniknęli za chwilę, szukając latryny, więc zostaliśmy we dwóch. Sterczeliśmy na skraju tłumu, nie chcąc pchać się przez gęstwę, ale słyhać było dobrze, gdyż podjudzacz miał gromki głos. Wtem obok Regi stanął mężczyzna noszący dziwny rodzaj giezła, i przyjrzał się rękojeści noża Rufusa, po czym szepnął:

- Sol Invictus!\* [\* - Słońce Niezwyciężone! (łac).]

Rega obrócił twarz, zlustrował tamtego, i mruknął:

- Sol Invictus. Kim jesteś?

- Na razie tylko Krukiem, lecz za miesiąc będę Młodożeńcem, i za rok Żołnierzem. A ty?
- Wyżej.
- Dużo wyżej?
- Jestem Lwem. Jak cię zwa?
- Musonius Lydus.
- Kto cię przysyła?
- Nikt, czcigodny Lwie, ale mieszka tu dwóch Persów. Może zmierzasz do nich?
- Zmierzam przed siebie. Szukam legionistów.
- Ja byłem legionistą.
- Który?
- Piętnasty.
- Po czym mnie rozpoznałeś, po nożu?
- Tak, panie.

Spojrzałem na długi nóż, który tamten miał u pasa, i zobaczyłem dziwaczny meanderek wijący się wokół gałki rękojeści - identyczny jak ten wokół gałki Rufusowego noża!

- Macie tu Grotę niedaleko? - spytał Rufus.
- I nie blisko, panie, ale dzień drogi starczy, by dojść, a ćwierć dnia, by dojechać.
- Ilu braci?
- Sześćdziesięciu kilku, panie.
- A ilu legionistów?
- Prawie wszyscy.
- Czy ten pies szczeka przeciw wam, bo wyniuchano waszą Grotę?
- Nie wyniuchano, lecz już się gędzba po okolicy rozeszła, żeśmy tu przybyli, więc będą szukać, i on właśnie judzi do tego.
- Kto zacz?

- Ludziom się przedstawia jako mąż świętobliwy, łowca heretyków. To sługus ariański...
- Kto go nasłał?
- Biskup tutejszy zlecił mu podjudzanie.
- Kaiusie, przywiedź zaraz obu, Marcipora i rudzielca, szybko! - rzucił mi Rega.

Puściłem się w te pędy do miejskiej latryny. Znalazłem ją bez trudu, ale trudno było bez wstrętu myszkować wewnątrz. Nie dlatego, że cuchnęła, bo przecież każda latryna produkuje smród, lecz dlatego, że różniła się komfortem od wielkomiejskich latryn (zwłaszcza latryn Rzymu) niczym prowincjonalna chałupa od rezydencji miejskiej. Brakowało tutaj i sedesów marmurowych z delfinokształtymi wspornikami, i poduszek, i posągów, i fontann, no i wreszcie - to było najgorsze - umieszczonego za pulpitem sralniczym rowka z bieżącą wodą do ciągłego spłukiwania fekaliów, przez co, jak mniemam, nikt nie chciałby tutaj godzinami wysiadywać, dyskutować, omawiać literackich dzieł, słuchać rymów, czy choćby tylko gaworzyć. Wszystko drewniane (jedynie posadzka kamienna), brudne, niewykwintne, a mnicha tudzież Marcipora ni śladu.

Tak więc w latrynie ich nie znalazłem, lecz dopadłem koło kramu piekarskiego, gdzie opychali się ciastkami. Przywiodłem obu do Rufusa. Rufus krótką chwilę szeptał z Atenajosem, i rozepchnął gawieź. Kiedy się przebił bliżej podium, uniósł głowę i krzyknął ku perorantowi:

- Świętobliwy mężu, rzeknij mi coś!
- Słucham cię, dobry człowieku, cóż mam ci rzec, czego pragniesz? - odkrzyknął brodac.
- Pragnę zrozumieć, sługo Boży, czego ty pragniesz, bo mi się już wszystko myli, pewnie dlatego, żem głupi i zawilej mowy nie chwytam jak trzeba. Powiedz krótko.
- Powiem ci krótko: chcę chronić cnotliwych!
- Aha!... - kiwnął głową Rufus. - To słuszna myśl, gdybyś bowiem chciał ich karać, mógłbyś mieć niejakie kłopoty z uzasadnieniem werdyktu, tymczasem uzasadnienie kar dla niecnotliwych sprawia mniejszą trudność. Przed czym tedy chcesz chronić cnotliwych?

- Przed zepsuciem. W tym celu należy tropić i niszczyć heretyckich bluźnierców, którzy są jako zaraza, gdyż głośno sprzeciwiają się Panu!

Rufus ponownie kiwnął, pełen zrozumienia, by wszakże dodać:

- Głośno to głośno, ale zważ, czcigodny mężu, iż jeszcze groźniejsi są ci, którzy bluźnią szeptem, półgębkiem, oni bowiem kryjomo spiskują przeciwko świętości Pana naszego.
- Masz rację, tych heretyków trzeba tępić ze szczególną uwagą! - zgodził się brodac.

A Rufus ciągnął:

- Lecz najgroźniejsi są tacy, którzy wcale nie otwierają ust.

- Jak to?... - stropił się podjudzacz.

- No... tacy, którzy milczą, czcigodny mężu, oni bowiem najsprytniej maskują swój bluźnierczy zapał. Tych trzeba tępić najwytrwalej, aby im dowieść, iż niewyglaszanie bluźnierstw jest kiepską maską ich perfidnego sprytu.

Teraz brodacz wreszcie sobie uświadomił, iż nieznajomy go wykpiwa. Ściągnął wargi i syknął:

- Kim jesteś?!

- Wędrowcem, czcigodny mężu - odparł Rega. - Wędruję i słucham ludzi. Słuchałem ciebie, ale też słuchałem obecnego tutaj mnicha, który twierdzi, żeś ty nie katecheta, i nie uzdrawiacz, i nie święty mąż, lecz łotr i łajdus, a twój język wężowy, nie zaś świątobliwy. Daj mu odpór.

- Gdzież ów rzekomy mnich?! - ryknął brodacz.

- Tu jestem! - pisnął Atenajos i wlaźł na podium, stając przy boku judzącego. - Od razu się zorientowałem, iż znakiem twoim wąż piekielny!

- Precz! - wrzasnął tamten, cofając się dwa kroki przed naporem Atenajosa.

- Rzeknij mi przy ludziach, co wolisz: kraszone kluski, czy sieczone baty? - spytał uśmiechając się Atenajos.

- Precz, pomioście diabła!

- Sam żeś pomiot diabła, i węża diabelskiego nosisz ze sobą! - odkrzyknął mnich. - Tu go masz, w rękawie!

Przyskoczył ku brodatemu, sięgnął mu do rękawa i... wyjął stamtąd zaskrońca, ukazując go ludziom, a kiedy rzucił gada w górę, nad głowy ciżby, ta się rozpierschła z wrzaskiem. Gdy później zapytałem Atenajosa skąd miał węża pod ręką, wzruszył ramionami:

- Co mam ci mówić, gdy nie uwierzysz i tak.

- Spróbuj.

- Custos przyniósł mi go dziś rano.

- Jak to: przyniósł?

- Przyniósł w dziobie.

- Akurat dziś?

- No.

- A ty się wcale nie zdziwiłeś!

- To mądry ptak. Wąż był chory, ledwo się ruszał, stąd myślałem, że przyniósł mi go do podleczenia, ale teraz rozumiem, iż miał co innego na celu. Wierzysz mi?

- Nie.

- Mówiłem, że nie uwierzysz! Wolisz wierzyć w to, co myślisz, czy w to, co widzisz?

- Nie widziałem jak Custos przynosi ci węża. A myślę sobie: co byś tutaj zrobił, gdybyś nie miał węża?

- Wymyśliłbym coś innego, są różne sztuczki.

- A co wymyśliłeś, kiedyś wtedy szeptał z Regą? Wątpię, żeś mu gadał, iż ptak ci węża przyniósł...

- Pewnie, że jemu bym tak nie gadał, bo to nie na jego mroczny kalafior. Powiedziałem mu, że akurat znalazł węża w latrynie, depniętego sandałem którymś.

Zapytałem wkrótce Marcipora czy to może być prawda, a ten mi rzekł:

- Nie wiem, bratku. Do latryny pobiegł wówczas tylko rudy, ja od razu goniłem do piekarni, bom dawno ciastek rodzynekowych nie smakował. Ale to może być prawda, przy głównach nie tylko szczury, lecz i gady takie się kręcą.

Nie poznałem więc prawdy o tym biednym wężu (mimo, że chciałem bardzo, gdyż Custos bardzo mnie frapował), bo nie można całkowicie ufać kpiarzowi lub łgarzowi (zwłaszcza rudemu, a szczególnie kiedy rudzielec jest i zgrywusem, i bazarzem, choćby przesympatycznym, jak Atenajos). Za to poznałem dzięki tamtym wydarzeniom trochę więcej prawdy o Rufusie, gdyż zdradziły one pewien sekret Regi - sekret, którego nie znał nawet Fulwiusz:

W owym gródku, gdzie Rufusa zaczepił przy rynku dziwny „Kruk”, członek „piętnastego”, i gdzie Rufus tudzież Atenajos skompromitowali brodacza, co podjudzał przeciw mitraistom - Rega, nim ruszyliśmy do obozu, miał jeszcze jedną rozmowę z „Krukiem”, lecz już sam na sam. Nie wracaliśmy we czterech, odesłał bowiem jako pierwszych Marcipora i mnicha, by zostać tylko ze mną. Wtedy rzekł:

- Jutro rano wyjadę polować. Wezmę Marcipora i kilku łuczników. Wrócimy za dzień lub dwa.

- Jadę z wami! - krzyknąłem ochoczo.

- Nie tym razem, Kaiusie.

- Więc czemu mi mówisz, że będziesz polował?

- Zacząłem tylko, a już mi przerwałeś, synku. Chcę rzec coś innego. Nie mów o tym człowieku trybunowi...

- O tym brodaczu?

- Kaiusie, nie udawaj głupka, wiesz o kim mowa!

- A ty, Rufusie, nie licz na to, że będę spiskował przeciw memu ojcu!

- Lepiej tego rzeczywiście nie rób, bo pierwszy wydarłbym ci serce, mój drogi.

- Więc czemu każesz mi taić przed nim twój kontakt z jakimś łachudrą?! - wybuchnąłem. - Sekretne mowa, sekretne hasła, sekretne znaki...

- Sądzisz, że mógłbym spiskować przeciw twemu ojcu? Za nikogo nie oddałbym życia bez wahania, a za Fulwiusza oddam je w każdej chwili, idioto!

- Jednak kiedy coś przed nim taisz, to znaczy, że knujesz!

- Nie knuję, raczej chcę mu pomóc, gdyż on szuka legionistów, i być może ja mu ich sprowadzę.

- A tobie kto będzie pomagał? „Piętnasty”, co?

- „Piętnasty” to piętnasty legion - legion Apollinaris, Kaiusie.

- Władca „Groty”?

- Tak.

- Jesteś mitraistą?

- Tak.

- I Fulwiusz o tym nie wie?

- Nie musi wiedzieć. To mu wcale nie zagraża, a raziłoby go, gdyż on, głównie pod wpływem swego przyszywanego wuja, księdza Eulogusa, zbyt pieczołowicie traktuje chrystianizm jako monoteizm. Czy chcesz słuchać dalej, synku? Mógłbym tłumaczyć ci dalej, lecz staniesz się mi śmiertelnym wrogiem gdy zdradzisz komukolwiek choć pół sylaby, nawet jemu.

Ukłuł mnie strach, wszelako moja ciekawość była silniejsza, a nie wątpiłem, iż „pies Fulwiusza” to ostatni człowiek na tej Ziemi, który by życzył mojemu ojcu złego losu, więc mruknąłem:

- Mów, daję słowo.

- Prawie połowa naszych ludzi to członkowie Mitry...
- Bardziej Mitry niż mego ojca?
- Jedno nie przeszkadza drugiemu, Kaiusie.
- Nie przeszkadza im branie udziału w mszach, które Fulwiusz każe celebrować dla legionistów?
- Nie, gdyż są bardziej członkami Mitry niż wyznawcami Mitry, podobnie jak ja.
- Nie rozumiem... Są tedy członkami czego?
- Tajnego stowarzyszenia Mitry, dla wielu, choćby dla mnie, bardziej rycerskiego niż religijnego. Wstępując do nich nie szukałem perskich bóstw...
- Czegóż więc szukałeś?
- Mitraickiego kodeksu. To surowy kodeks moralny, obejmujący bezwzględną dyscyplinę, dumę, honor, wstrzemięźliwość, lojalność, szanowanie obietnic tudzież trwałość przyjaźni, czyli, summa summarum: starorzymską siłę wewnętrzną. „*Sila i honor*”, Kaiusie.

- Czyż tego samego nie nakazuje kodeks legionowy?

- Legiony to masa, pełna różnych brudów, jak każda masa, gdy mitraizm to elita - odparł z głębokim przekonaniem.

Ze zdumieniem równie głębokim zapytałem go:

- I połowa ludzi mego ojca należy do tej @elity?! Czy w legionach było ich równie dużo?

- Było ich bardzo dużo.

- Więc dlaczego mówisz mi, że to jest elita? Samo słowo @elita wyklucza masowość, bądź też masowość wyklucza elitarność!

- Brawo, logiku, czuję tutaj rękę Philomususa! - rzekł pochwalnie. - Nadużyłem słowa, ale przyjmowaliśmy wielu żołnierzy do Mitry jako do sui generis elity, by dźwignąć ich na wyższy poziom, zrobić z tępych osiłków ludzi bardziej kulturalnych. Kto czuje się członkiem elity, zaczyna się prowadzić kulturalniej, tak działa psychologia, to wewnętrzny przymus, i zbędny staje się wówczas nakaz, rozkaz, rygor. Elitarność, faktyczna czy mniemana - sublimuje duszę. Siły fizycznej przez to nie tracą, a siła wewnętrzna wzrasta. Mitra ulepszała legiony.

- A chrześcijaństwo nie ulepszało? Nie czyni ono człowieka przyzwoitszym?

Skrzywił wargi sceptycznie:



- Synku... Chrześcijaństwo niezupełnie pasuje ludziom wojowniczego charakteru, gdyż szerzy etykę słabości i pokory, gdy mitraizm to religia siły, idea czynnej, choćby i brutalnej walki ze złem, a nie tylko poddawania się wyrokowi losu zwanym Opatrznością Bożą.

- Czy mój ojciec, chrześcijanin, to słabeusz nadstawiający drugi policzek, Rufusie? - zapytałem głosem wojowniczo kpiącym.

- Fulwiusz, w tej mierze, to taki sam chrześcijanin jak ja, synku. To basior, wódz, król rycerzy, samo żelazo. Dlatego czcimy go niby półboga. On jest ponad, wyżej, to inny, nadludzki krąg. Jemu nie są potrzebne Mitry, elity, kodeksy, tajemne zakony - on przerasta te gry swoją charyzmą i wewnętrzną mocą. A nam, liniowym żołnierzom, są potrzebne tajne stowarzyszenia, by pielęgnować echa dawnego Rzymu. To nas spaja i krzepi. No i... jeszcze coś...

- Co?

- W szeregi Mitry nie przyjmuje się kobiet, czym zasadniczo różnią się te szeregi od szeregów Chrystusa.

Dla mnie różniły się czymś dużo istotniejszym - brakiem Chrystusa. Kult Mitry znałem kiepsko, jednak wystarczająco - Philomusus powiedział mi tu rzeczy elementarne. Rega zaś uzupełnił mi tę wiedzę o wojskowe (legionowe) aspekty mitraizmu, stąd mogę rzec dzisiaj i na ten temat kilka słów. Mitraizm perski już w II wieku został oficjalnie wchłonięty przez Rzym, stał się więc częścią politeistycznego panteonu Imperium. Zakładał, że Dobro i Zło to dwaj bracia prowadzący odwieczną walkę. Zło symbolizował byk; Dobro symbolizował Mitra - młodzieniec, który urodził się ze skały w jaskini, i który po długiej, pełnej przygód wędrówce, spełnił swoją misję: wpędził byka do groty i tam go zabił. Oto czemu świątyniami mitraistów były grotty lub grotopodobne budowle, gdzie celebrowali swoje krwawe obrzędy (jak „*taurobolium*” - rytualna kąpiel we krwi zarżniętego byka) tudzież inicjacje (siedem hierarchicznych stopni wtajemniczenia: Kruk, Młodożeniec, Żołnierz, Lew, Pers, Poślaniec Słońca i Ojciec). Mitraizm stał się szybko ulubionym kultem legionów, gdyż Mitra był nie tylko bóstwem Słońca (stąd: „*Sol Invictus*”), lecz przede wszystkim opiekunem wojowników, a także mecenasem honoru, przysięg, dotrzymywania umów i braterstwa broni. Serca rzymskich żołnierzy skłaniały się ku Mitrze dużo silniej niż ku innym bóstwom. Najpierw zakochały się w nim legion II (Adiutrix) i legion XV (Apollinaris), jednak wkrótce wszystkie legiony uprawiały entuzjastycznie ten kult. Kiedy w V wieku mitraizm został (wraz z innymi kultami pogańskimi) wyrugowany oficjalnie przez chrześcijaństwo i zakazany - mitraiści zeszli do podziemia, a ich grotty funkcjonowały tajnie na całym obszarze dawnego Imperium. Było tych jaskiń sporo, bo uprzednio mnożyły się wszędzie tam gdzie stanęła noga rzymskiego legionisty - od mórz Północy, po piaski afrykańskie. Legionista praktykujący misteria perskiego kultu czuł się wybrańcem, rycerzem Dobra zwalczającym Zło. Religia perska istotnie nie miała już tutaj wiodącej roli - ważniejszy był rycerski kodeks tajnego stowarzyszenia mitraistów.

Wierzchowce człapały pod nami wolno i cicho, jakby też zasłuchane w słowa Rufusa. Kiedy umilkł, spytałem:

- Często obmywasz się byczą krwią?
- Raz tylko, kiedy mnie przyjmowano do bractwa Mitry.
- Masz moje słowo, więc możesz mnie wziąć tam.
- Chcesz przystąpić do nas, synku?
- Nie.
- Zatem nie mogę cię wziąć. Nie jesteś wtajemniczony.
- A jeśli Fulwiusz zechce ruszyć z wami, bo przyjdzie mu ochota na łowiectwo?

- Nie sędzę... on ma teraz gdzieś łowiectwo. Jego łowy już się zakończyły sukcesem. Gorączka mu chyba opada, ale wciąż ta kobieta rządzi nim. Jeśli nie przez serce, to przez lędźwie na pewno. Mają wspólne łożo, mają bachora, wkrótce będą może mieli drugie szczenię, tym razem własne.

Usłyszałem w głosie Rufusa nutkę goryczy. Wydawało mi się, że ta zgryźliwość krzywdzi trybuna, bo chociaż on i Terencja tworzyli już stadło quasi-małżeńskie, to przecież „*Soter*” w niczym nie zanieczyli swych obowiązków wobec całego taboru, dbał o wszystko z równą pieczołowitością co wcześniej. Kulturował zresztą miłośny związek cicho, bez ostentacji, nie demonstrując publicznie swych uczuć. Jego namiot był dalej jego wyłącznym przybytkiem, Terencja zaś miała swój furgon, a ich nocne schadзки były równie sekretne jak schadзки tajemnych kochanek. Wieczerzał regularnie z centurionami, gdy ona ze swą służbą, choć czasem prosiła go na „familijną” ucztę, jednak nie częściej aniżeli raz w tygodniu. Kiedy miał wolną chwilę, przychodził do małego Justusa, brał go na ramiona i bawił się z nim jak ojciec, lecz nigdy nie widziano, aby Justus, Fulwiusz i Terencja spacerowali razem jak typowi rodzice, co się przechadzają trzymając rączki drepczącego pomiędzy nimi malucha. Fulwiusz wyraźnie nie chciał kłuć oczu swych ludzi smakowaniem przyjemności, jakich im na co dzień brakowało. Ale Rufus rzucił też frazę („- *Gorączka mu chyba opada...*”), która rozbudziła moją ciekawość i skłoniła mnie do drażenia tematu:

- Rufusie, czy miłość kobiety i mężczyzny może być wieczna, i po każdej stronie tak samo silna?
- Pytasz, bo twoja była pulsująca, a córeczki Valerianusa nie bardzo?
- Pytam o stałe i o formalne związki. Sulpicjusz mówił o konkubinatach i o małżeństwach, iż „*zawsze ktoś kocha bardziej*”.
- Pewnie mówił o każdej wzajemnej miłości, dłuższej lub krótszej, bez wyjątku.
- Wszystko jedno!... To był mądry człowiek, nie zaprzeczysz.

Rega chwilę chichotał, jakbym go zdrowo rozbawił tym stwierdzeniem, przyjrzał mi się cierpko i parsknął:

- Wśród mądrali jest najwięcej głupków!... Twój Sulpicjusz bolał widząc, że Fulwiusz interesuje się tylko babami i nie odwzajemnia gorących uczuć poety targanego przez namiętności greckie. Zawsze mnie brzydził, aczkolwiek muszę przyznać, iż swoją śmierć odegrał z klasą. Ów pożar dał bidulkowi szansę stworzenia lepszej kreacji niżli samobójstwo w wannie albo w kielichu... Bądź pewny, Kaiusie, że gdyby nie ten szczęśliwy ogniowy traf, Sulpicjusz prędzej czy później łyknąłby puchar wina zaprawionego dawką cykuty, lub podciąłby sobie żyły w kąpielu, miał bowiem naturę samobójczą.

- Skąd o tym wiesz?

- Z jego wzroku, jakim obrzucał trybuna, i z niektórych Sulpicjuszowych rymów.

- Czytałeś je?

- Może cię tym zdziwię, synku, ale umiem czytać. Również to, czego piszący nie wyraża *expressis verbis*. Jak Sulpicjusz. Biedak - „*zawsze ktoś kocha bardziej*”! On kochał mężczyznę, Fulwiusza, a Fulwiusz lubił, i tylko lubił, poetę, Sulpicjusza, bo pedałstwem gardzi. To pchało grekofila do samobójczego nastroju... Był hedonistą, więc gdyby nie pożar jego dzielnicy - raczej wybrałby pierwszorzędne wino niż ciepłą wodę, ale pewności nie mam. Łuna rozstrzygnęła ten dylemat po olimpijsku. Leśni barbarzyńcy są szczęśliwsi niż wyrafinowani Rzymianie, bo w ogóle takich dylematów nie mają, czy wiesz dlaczego?

- Nie wiem.

- Bo nie używają ani dobrego wina, ani ciepłych kąpielu, znają tylko płomienie, ale wolą karać nimi skazańców i dręczyć nimi wrogów, zamiast praktykować płomienne samobójstwa.

- Nie wiem nawet tego, Rufusie, czemu samobójcy tną sobie żyły w ciepłej wannowej kąpielu. Nie jest li wszystko jedno gdzie taki samobójca się wykrwawia?

- Nie jest, synku... Takie samobójstwo z całą pewnością udaje się w wannach, bo w ciepłej wodzie krew nie krzepnie i nie zatyka przeciętych żył. Stały związek kobiety i mężczyzny też zaczyna się od ciepła, później następuje przecinanie sentymentów nożem rytmicznej codzienności, wreszcie powolny wyciek uczuć, aż wspólna kąpiel ostygnie całkowicie i robi się zimno. Ten zbereźny Sulpicjusz dobrze mówił - *zawsze ktoś kocha bardziej, a ktoś mniej, ktoś daje, a ktoś bierze*, i taka nierówność źle wróży. Twój związek z Kornelią nie miał szans na trwałość.

- Nie pytałem względem siebie.

- Wiem, pytałeś względem Fulwiusza. Teraz to ona daje, a on bierze, synku... Zakochała się już wtedy, gdy pierwszy raz go zobaczyła, a jak pamiętasz - zobaczyła na cmentarzu, który sam przez się źle wróży miłosnym uczuciom. Im gwałtowniej tłumiała to i stawiała opór, tym mocniej rozpalala się ku Fulwiuszowi. Teraz on jest jak kocur, który zrobił swoje, bo nasycił swą ambicję i chuć, a ona jest jak ta dziewczyna, którą wprowadzono do raju, gdzie panuje wieczna rozkosz. On jej przesłonił świat, natomiast ona nie przesłoniła mu trwale świata, to cały Fulwiusz. Lecz będzie jej wierny, to też cały

Fulwiusz.

Tutaj mnie zdziwił:

- Czyż nie był głośny dzięki temu, że zmienia kochanki szybciej niż sandały, Rufusie?

- Tamtym nie przysięgał, chłopcze, a tej pewnie przysięgł. On nie potrzebuje kodeksu Mitry, by szanować własne słowo, przysięga jest dlań święta. Jeśli liczysz, że on kiedyś rzuci Terencję, to możesz się przeliczyć, chyba że ona zrobi coś strasznego lub strasznie głupiego. Ona jednak robi, tak sądzę, coś bardzo mądrego - urodzi mu szybko syna. Tej mądrości babom nie brakuje. Zresztą i córka wystarczy...

Mnie wystarczył sam Justus (wystarczyłaby i sama Terencja), bym czuł się odepchnięty znowu. Gdzie tylko szukałem ciepła - tam mnie odpychano. I Kornelia, i „*Soter*”. Być może chciał w ten sposób, brakiem czułości i nawet codziennego zainteresowania, utwardzić gówniarza, zgrubić mu skórę na szlaku pełnym niebezpieczeństw, vulgo: przyspieszyć moją dorosłość. Lecz wtedy myślałem inaczej: że nie ma dla mnie tyle serca, ile bym pragnął, bo je oddał innym. To bolało, a zarazem zezwalało lepiej rozumieć czemu ludzie tacy jak Rega wstępują do sekt lub do elitarnych związków, gdzie celebrowane braterstwo jest swoistym krewniactwem i daje rodzinne poczucie quasi-rodowej przynależności. Ten sam głód ekskluzywnego ciepła tudzież instynkt wybrańców musiały determinować bądź krzepić pierwszych chrześcijan, ale kiedy z tajnej sekty stali się rzeszą państwową, wilcze prawa stada ogromnego rozdzieliły serca nieubłagane, przez co nowe sekciarstwo lub rozwijający się gwałtownie monastycyzm wabiły tych, którzy szukają bliższego, ściślejszego, bardziej hermetycznego kręgu.

Rufus sprowadził Fulwiuszowi wówczas czterdziestu członków Mitry - legionistów, którzy zasilili nasze wojsko. Ich starszym był centurion Macedo, mitraicki Lew, podobnie jak Rega. Wiedział o kilku jeszcze „*Grotach*”, rozsypanych trochę dalej na północ, między Noreią a Virunum, jednak Fulwiusza interesowało coś większego:

- Słyszałeś o „*ostatnim legionie*”, żołnierzu?

Macedo wytrzeszczył wzrok:

- O czym, wodzu?

- O legionie, który się stworzył z resztek legionów innych, rozbitych, i pono ukrywa się gdzieś.

- Nic nie wiem o takim legionie, wodzu.

- A o „*ostatniej kohorcie*”?

- Też nie słyszałem. Wszelako słyszałem, że jeszcze dalej, za Virunum, i za ziemiami Longobardów, między domeną Longobardów a władztwem Turyngów, kilka miesięcy temu były jakieś legionowe wojska. Mówiono, że przedzierają się ku Dunajowi, ku Vindobonie, pragnąc iść do

Bizancjum, choć inni mówili, że odepchnięto te niedobitki na północny Wschód, między ziemie Sasów a Słowian.

- Kto wam to mówił?

- Mnisi z klasztoru Felk, panie.

- Gdzie on leży?

- Blisko stąd, pod Virunum. Kilka mil za Virunum, idąc ku Norei. To najdalej wysunięty na północ klasztor chrześcijański, urządzony w dawnym legionowym castellum.

- Więc idziemy tam! - rozkazał „*Soter*”.

Kiedyśmy tam dotarli, ujrzelismy budowlę większą niż się można było spodziewać. Nad bramą duże, ryte litery głosiły zachęcająco: „PATEAT MISERIS ET AMICIS”\* [\* - Niech stoi otworem dla biednych i przyjaciół (łac).]. Furtian spytał:

- Dyskutanci, ubodzy czy przyjaciele?

- Przyjaciele - odparł ksiądz Damian. - Służymy Panu Bogu.

- Któremu, łaskawco?

- Jezusowi Chrystusowi w Trójcy Świętej.

- Wielu tu napotkacie dzisiaj takich, co z waszej Trójcy Świętej samego tylko Boga Stworzyciela uznają... - mruknął furtian. - Lecz zjechali się jedni i drudzy, na dysputę teologiczną dużą, tedy gośćmi możecie być.

Wtedy odezwał się Fulwiusz:

- Nie trzeba mi gościny, lecz rozmowy.

- Ze mną?

- Z każdym, kto zechce mi coś rzec o legionowych wojskach, które się tutaj niedawno szwendały, wzdłuż północnego skraju ziemi Longobardów.

- Mnie o tym nic a nic nie wiadomo. Zawołam brata Krygiana.

Zjawił się wkrótce drugi mnich, ów brat Krygian, chuchro o krostowatej mordce, a usłyszawszy czego pragnie Fulwiusz, wzruszył ramionami:

- Dalibóg, nie bardzo wiem.. Cosik żem słyszał, bo stale przychodzą bajdy pielgrzymów o jakichśi resztkach legionów, ale szczegóły zna może tylko brat przeor, z nim musicie gadać... Choć

może i brat Dionizy, bibliotekarz, będzie wiedział coś. Jeno że obaj zajęci teraz sielnie. Ale wezmę cię, przyjacielu, do biblioteki, gdzie drzemie sobie brat Ioannes, bibliotekarz-emeritus, chory nieszczęśnik, więc w dyspacie nie bierze udziału, tylko jej przez drzwi uchylone czasem słucha.

- Zezwolicie rozbić przy klasztorze biwak dla mojego taboru? - zapytał Fulwiusz.

- Rozbijajcie, jeno ciut dalej, na łące - uśmiechnął się mnich. - W klasztorze bym was nie pomieścił, tak tu dzisiaj od gości ciasno, chyba że macie kogo chorego, to się go weźmie do leczenia.

- Nie pomieściłbyś, ojczu, nawet gdyby było u was pusto, wiodę prawie dwie setki ludzi - rzekł trybun. - Damy sobie radę, a chorych, dzięki Bogu, nie ma wśród nas.

- Chorych poniżej głowy pewnie nie ma... - szepnął mi nad barkiem do ucha Sulpicjusz.

Obróciłem się gwałtownie, nie wierząc słuchowi, lecz za mną stał Atenajos. Zmierzyłem go wzrokiem, który wystraszył „Ptaka”.

- Czemu się tak wślepiasz?! - spytał.

- Mówiłeś coś do mnie przed chwilą?

- Nic a nic. Kiedy milczę, to nie mówię, taki już jestem. Wolisz mówiących, czy pierdzących?

- Wolę jak się nie wygłupiasz!

- Jak się nie wygłupiam, to usycham, Kaiusie... Zobacz, wiatr się zrywa, będzie lało.

Istotnie, rozchłupał się mocno deszcz, pachnący już jesienią, gdyż lato kończyło się powoli. Trzeba było błyskawicznie rozbić obóz, nim nadejdzie burza. Przeszła równie szybko jak przyszła, i znowu zaświeciło słońce. Stało się wówczas coś, o czym marzyłem już bardzo długo - coś, co tak mi rozgrzało serce, iż byłem bliski płaczu ze szczęścia. Mój zimny, obojętny, daleki, nieczuły ojciec podszedł mówiąc:

- Idę do klasztoru, do przeora lub do braciszka Ioannesa, Kaiusie. Może pójdziemy razem, zobaczysz bibliotekę klasztorną. Pono dużą. Brak ci pewnie zapachu ksiąg w tej dziczy...

- Trochę, tato... - odparłem trzęsącymi się wargami, spuszczać ślepią.

Chciałem dodać, że bardziej brak mi jego bliskości, tej codziennej, ale zamilczałem, wszelako on wyczuł i mruknął:

- Mylisz się, synu, bardzo ciebie kocham. Wiem, że nie okazuję tego tak, jakbyś pragnął, lecz jesteś już żrały, rozpieszczęzać cię nie muszę. Tłumaczyłem to wczoraj Philomususowi, bo miał pretensje i złościł się na mnie długo...

- Philomususowi?!

- Przyśnił mi się twój mistrz... dręczył mnie niby nocna „*striga*”\* [\* - Strzyga (łac.) - upiór żeński o ptasim wyglądzie, karmiący się ludzką krwią.].

- Mnie też czasami śni się Philomusus!

- Uparty staruszek! Ale nie miał racji, bo ja cię bardzo kocham, synu. Bóg to widzi, zna moje serce, a ty nie oczekuj, że będę cię pieścił codziennie jak pędraka noszonego na rękę, boś jest już zbyt duży, by cię nosić, i zbyt kościsty, by cię tulić.

I przytulił mnie do piersi, głaszcząc mi czuprynę szorstką dłonią. Właśnie wtedy zachciało mi się płakać.

Przez klasztorny labirynt prowadził nas braciszek Krygian, tłumacząc, że opat dysputą teologiczną wciąż zajęty, i reklamując Ioannesa-bibliotekarza jako równie cennego interlokutora:

- To prawdziwy mędrzec, żołnierzu, aż dziewięć języków biegle sobie przyswoił!

- U nas jest pewien rudy młodzik, który rozumie więcej języków - odparł trybun.

- Nie starczy rozumieć, trzeba czytać, pisać i mówić każdym z tych języków, biegle każdym władać!

Fulwiusz zaśmiał się:

- Braciszku, znałem mędrca, który używał biegle piętnastu języków, prócz domowego, bo z żoną nie rozmawiał tygodniami. Odeszła do faceta, który umiał mówić, nie był poliglotą.

- Co chcesz mi przez to rzec? - zdziwił się Krygian.

- Iż lepiej chyba być szczęśliwym, niżli paplać po syryjsku.

- A ja ci rzeknę, iż lepiej być pustelnikiem, jaskiniowym eremita, lub bratem klasztornym, mężem zakonu, niżli mężem niewiasty dyszącej chucią!

- Więc ty jesteś tutaj szczęśliwy, bracie Krygianie.

- Jeszcze i jak, żołnierzu! Gdy ktoś cię spyta: w którym zakątku padołu przebywa prawdziwe szczęście? - poślij go do naszego klasztoru, a będzie ci wdzięczny.

Długim sklepieniowym korytarzem osiągnęliśmy cel - bibliotekę klasztorną, gdzie na drewnianych ławach i wewnątrz nisz leżały zwoje kaligrafowanego pergaminu i papirusu. Na półkach szaf stały rzędami kodeksy vel księgi, tudzież nieliczne, archaiczne już, tabliczkowe poliptychy. Uroda skórzanych i klejnotowych opraw mamiła wzrok, zwłaszcza tych drugich, pełnych metalu, kości słoniowej i szlachetnych kamyków. Notatkowe szyldziki dzieł mówiły, że są tu również prace pogańskie, chociaż była to „*bibliotheca sacra*”\* [\* - Biblioteka kościelna lub klasztorna (łac).]. Woń jej skarbów mile głaskała mój nos.

Przy biurku w kącie bibliotecznej sali siedział drobny, łysy starzec. Właściwie półleżał, oparty o ściankę pulpitową, która piętrzyła się za nim. Krygian nachylił się do jego ucha i coś szepnął, a wówczas starzec wyprostował wątłe członki i kazał się nam zbliżyć. „*Soter*” podszedł, mówiąc:

- Jestem trybun Fulwiusz...

- Praw ciszej - przerwał mu mnich. - Nie każdy matuzalem głuchnie z wiekiem, Bóg był łaskaw, zachowałem dobry słuch.

Fulwiusz ściszył głos:

- Jestem Fulwiusz Corvinus, trybun legionowy. A to mój syn, Kaius, wielbny Ioannesie.

- Ja zaś jestem „*procurator bibliothecae*”\* [\* - Kierownik biblioteki (łac).] Felku, o czym pewnie już wam rzeczono.

- Bądź pozdrowiony.

- Witam was, czego pragniecie?

- Kaius chce nasycić wzrok tą szacowną biblioteką, gdyż ma upodobanie do ksiąg, ja zaś pragnę nasycić słuch wieściami tyczącymi resztek legionów.

- Nie czujesz bowiem upodobania do ksiąg, a czujesz respekt dla legionów, trybunie? - spytał mnich. - Walają się tu myśli wszystkich mędrców, a czy znalazłbyś jakiegoś mędrca wśród legionistów?

- Marka Aureliusza, wielbny.

- Nigdy nie był legionistą! Był filozofem, a później monarchą. Prowadził wojny za pomocą mianowanych przez siebie legatów.

- Więc Juliusza Cezara!

- Ergo: żołnierza. Żołnierka to prawdziwie barbarzyńskie rzemiosło.

„*Soter*” nie chciał ustąpić:

- Jego pisma przynoszą mu chwałę nie mniejszą niżli jego zwycięstwa, Ioannesie!

- To są pisma o tychże triumfach, czyli o wojnie, barbarzyńco! - wycedził mnich. - Mędrcy nie pisują o wojnach, wiedzą bowiem, iż duch gardzi rozlewaniem krwi ludzkiej.

- Mój sceptyczny sługa, Rufus, uważa, bracie Ioannesie, że mędrcy wprawdzie wiedzą wszystko, ale poza tym, niestety, nic - odparł trybun.



- Masz bystrego słuęę! - roześmiał się bibliotekarz, ukazując wypróchniałe zęby obok międzyzębnych dziur, których było więcej. - Taka jest rzeczywiście prawda. Ci, co znają wszechświat i ludzkość, nie znają życia i ludzi. Wszystkie te arcymądre tyrady, które widzisz wokół, zostały napisane dla uczenia ludzi myślących jak mają myśleć. Siadaj, proszę.

Fulwiusz siadł, przysuwając sobie zydę blięej biurka mnisiego.

- Słyszałem, że wasz klasztor ma wieści o niedobitkach legionów... - rzekł.

- „*Nasz klasztor*” znaczy tutaj: nasz przeor - wyjaśnił mnich. - Mnie licho interesują sprawy wojska.

- Zechciej mi tedy umożliwić dialog z waszym szacownym przeorem.

- Nie dam rady ci pomóc zanim nie skończy się dialog między teologami-filozofami, którego on musi cały czas słucać jako przewodniczący sądu.

- Więć tu się odbywa sąd?

- Toczy się dysputa religijna, którą rozsądzić musi trybunał kościelny. Kłóćą się o boskość żony cieśli Józefa, Dziewicy, co urodziła Syna, a później została uznana Matką Bożą na soborze w Efezie, roku 431. Idź posłucać przez chwilę, Fulwiuszu.

Wskazał ręką sąsiednią komnatę, którą brałem za przedsionek, lecz to było biblioteczne scriptorium. Fulwiusz ruszył tam, a ja jego śladem. Od niezbyt szeroko uchylonych drzwi wielkiej sali (scriptorium było łącznikiem między tą salą a biblioteką) poraził nas wrzask sporu. Kiedy wróciliśmy do biblioteki, mój ojciec zapytał:

- Chce im się mędrkowato kłócić o rzeczy nadziemskie, gdy wokół płonie świat ziemski?

- Może chcą zdążyć nim spłonie całkiem... - prychnął drwiąco bibliotekarz.

- Długo to trwa już?

- Od soboru efeskiego, a tu u nas, jak mi się zdaje, już kilka wieków.

- Kiedy skończą?

- Żądasz proroctwa... Nie zawsze byłem mnichem. Dawniej, dawno temu, byłem astrologiem i dla pieniędzy robiłem wróżby, stawiając horoskopy. Gdy słyszałem pretensje, że się nie sprawdzają, jak choćby z ust człowieka, któremu wywróżyłem fotel dygnitarski, a mianowano innego spośród kandydatów, przytaczałem historyjkę o dwóch rozbitkach, których okręt tonął. Jeden poszukał sobie duęej deski, i na niej się uratował, drugi zaś cały czas błagał Boga o ratunek i utonął. Stojąc przed obliczem Najwyższego, skarżył się: „- *Czemuś mnie nie wyratował, mimo modłów?!*”. Bóg spytał go: „- *Widziałeś dryfujące obok wraku belki?*”. „- *Widziałem, Panie*”. „- *Czemuś więc ich nie*

wykorzystał? Myślałeś, że przyśle tu po ciebie galerę lub łódź rybacką?”. Wróżba jest jak modlitwa, sprawdzi się tylko wtedy, kiedy człowiek da jej szansę, ergo: kiedy ludzka głupota nie przeszkodzi temu. Tym pytlującym o boskości Marii nie zwróciłyby rozumu nawet galery wojenne. Nie każ mi tedy wróżyć jak długo będzie to jeszcze trwało.

- Robią chyba przerwy dla posiłków lub dla srania?
- Jedna dopiero była, kolejna będzie wieczorem. Uzbrój się w cierpliwość. Co cię tak pili?
- Żądza legionu! - zazgrzytał mój ojciec.
- Żądza wskrzeszenia Rzymu?! - zdumiał się domyślnie mnich. - Toż to absurd, nie masz szans!
- Już to słyszałem, bracie! Wróżono mi świetlaną przeszłość!

Ioannes się zamyślił, a kiedy znowu spojrzął na trybuna, usłyszałem troskę w barwie jego głosu:

- Ilu już zebrałeś?
- Niespełna dwie centurie, wielobny.
- I dokąd ich prowadzisz?
- Przed siebie.

- Jeżeli chcesz prowadzić ludzi, to musisz wiedzieć dokąd. Prowadząc ich do wskrzeszenia Imperium lub do jakiejś enklawy mającej być namiastką Rzymu, prowadzisz do mirażu, do złudy... Zresztą... wszędzie jest już brudno, tutaj tak samo jak było tam... Szukanie ideału, wieczna choroba marzycieli!... Twój pech to fakt, że los kazał ci żyć na granicy dwóch różnych światów, a ty nie czujesz się dobrze w żadnym z nich, ani w starym, ani w nowym, bo oba gniją, choć każdy trochę inaczej. Te czasy, czasy przełomu, nie mają dla ciebie dobrego miejsca.

Fulwiusz, jakby nie słyszał, zerknął znowu ku scriptorium i zaklął:

- Psiakrew! Znaleźli właściwą chwilę, by szermować orężem filozoficznych poglądów!
- Żeby jedynie poglądów, przyjacielu!... - westchnął mnich. - Czasami same słowa są dla filozofów i teologów ważniejsze niż poglądy ubierane w te słowa. Toczy się tutaj nie tylko walka dwóch poglądów, lecz również walka dwóch stylów retoryki, północnego i południowego, przy czym ten drugi zalatuje Wschodem.
- Zbyt uczona to dla mnie różnica, do barbarzyńcy mówisz - mruknął Fulwiusz.
- Spróbuję rzec klarowniej. Jedni gadają krótko, a drudzy długo. Ci drudzy zawile, a ci pierwsi prosto.

- Tedy, jak mniemam, ci pierwsi skuteczniej sądowi wyłożą słuszość swoich argumentów.

- To wcale nie jest pewne, barbarzyńco. Pośród sędziów mogą być bowiem ludzie przesiąknięci filozofią Wschodu, a zjechało tu trochę mędrców z Egiptu i z Konstantynopola, mają gockie glejty bezpieczeństwa na czas wielkiej dysputy. Goci chcą pokazać, że kultura wyższa nie jest im obca - że nie trzeba łacińskiego Rzymu, aby ją uprawiać dla chwały Niebios. Wojsko bizantyjskie nie ma tu czego szukać, lecz wschodnia myśl religijna bywa wpuszczana gwoli szermierki słownej. A delegaci Wschodu wykorzystują to po swojemu.

- Czyli jak?

- Rozwlekając te obrady, legionisto. Krótko, znaczy dla nich: bez sensu. Szybko, znaczy: bez smaku. Ludzie Wschodu biorą krótkie dokumenty za bardzo mało ważne, a zwięzłe oświadczenia za przejaw niekompetencji bądź głupoty. Kiedy człowiek Północy tłumaczy takim ludziom jakiś problem lapidarnie, oni go nie rozumieją, gdyż zbyt szybko przeszedł do sedna sprawy, co obraża ich leniwe umysły, które potrzebują paru chwil, żeby się rozgrzać. Tymczasem wschodniopółdniowiec najpierw kwieciście zapowiada o czym będzie mówił, później przedstawia swą opinię o uczonych dialogach jako takich, wplata również kilka pochwał pod adresem sędziów, wreszcie wyklada swój punkt widzenia na istotę sporu, mętnie dywagując przy tym o niezręcznościach wywodu przeciwnika - i puentuje całą swoją mowę powtarzając raz jeszcze swe główne argumenty, czym wbija je jak młotkiem sędziom do mózgow. Zważ, że to tyle samo problem słów, co i miary czasu, która jest u ludzi Wschodu różna...

Gdym słuchał tego, przypomniałem sobie dyskurs między „*Avisem*” i Rufusem o względności czasu determinowanej słowami. Lecz to była króciutka myśl, bom nie chciałem uronić ani kropli wywodu bibliotekarza, a on prawił dalej:

- ... Zatem jeśli wśród sędziów są lub przeważają ludzie Wschodu - wówczas zwykle triumfują dyskutanci stosujący język Wschodu. Lecz wtedy trwa to piekielnie długo.

- A gdy wśród sędziów brakuje ludzi Wschodu? - spytał mój ojciec.

- Wówczas szale są chwiejne i mogą wygrać biegli północni retorzy. Mogą się nawet skutecznie targować z przeciwnikiem, dając coś za coś. Dyskutant wysokiej klasy ma sposoby różne. Kiedy negocjowanych będzie dużo punktów sporu - wybiera przy samym początku jakiś podrzędny, zupełnie dlań nieistotny, i gwałtownie się kłóci, broniąc swojej teorii bardzo długo, by przy samym końcu danej fazy obrad lekceważąco dotknąć punktu najważniejszego dlań. Proponuje wtedy wymianę handlową: jeśli przeciwnicy zaakceptują jego werdykt tyczący ostatniego punkciku, on wielkodusznie przyzna im rację w tamtej pierwszej kwestii, którą wałkował pół dnia, ergo: zaakceptuje ich pogląd, któremu przeciwstawiał się żarliwie kilka godzin.

- Nie kijem go, to pałką! - mruknął rozzłoszczony Fulwiusz. - W obu przypadkach będzie maratoński klekot mądrali, których napawa samo mielenie ozorem!

- A cóż to ciebie napawa, barbarzyńco, kiedy wiedziesz „*przed siebie*” swoją gromadę

włóczęgów?! - zagrzmiał Ioannes. - Które spośród trzech dóbr przedkładasz wtenczas nad inne dobra?

- Jakich trzech dóbr? - zdziwił się „*Soter*”.

- Jest „*bonum honestum*”, „*bonum utile*” i „*bonum delectabile*”<sup>\*</sup> [\* - Dobro godziwe, dobro użyteczne i dobro przyjemne (łac).], wojaku.

- Nęci mnie godziwie użyteczna przyjemność! - warknął trybun.

- Tak myślałem. Modlisz się czasami?

- Czasami.

- Jak rzadko?

- Każdej nocy, mnichu.

- I o co Go prosisz?

- Tylko o jedno: „*Miserere mei, Deus, secundum misericordiam Tuam*”<sup>\*</sup> [\* - Zmiłuj się nade mną, Boże, wedle miłosierdzia Twego (łac).].

- Aż tak?

- Co: aż tak?

- Aż tak się trzęsiesz ze strachu, gdy idziesz „*przed siebie*” w poszukiwaniu kolejnych wojów i kolejnej wojny?

- Aż taka ciąży na mnie odpowiedzialność za tych ludzi, których prowadzę, mnichu. Większa niżli twoja za te pergaminowe studnie mądrości, które nikogo nie nauczyły jak się skutecznie chronić od krzywd toczących świat mimo błagań słanych ciągle do Niebios! Pozwól, że już sobie pójdziemy.

Wyszedł, tłumiąc gniew. Biwakowaliśmy tam jeszcze kilka dzionków, i któregoś dnia udało się wreszcie Fulwiuszowi rozmówić z przełożonym klasztoru, dzięki czemu poznał górskie szlaki błakających się legionistów, ale mnie przy tej rozmowie nie było.

W klasztorze Felk bez mojej zgody dopadła mnie sztuka Rzymian i Greków...

Nie znam się na sztuce - na rzeźbie, malarstwie i architekturze. Philomusus tego u mnie nie próbował rozwinąć, ponieważ estetyka rzeźbiarska, malarska i budowlana była mu obojętna. Dałby radę Sulpicjusz, gdyby tylko zechciał mnie przyuczać, był bowiem koneserem sztuk i znał niejednego artystę. Lecz mało którego cenił - większość ganił, nie szczędząc im pamfletów tudzież złośliwości w rodzaju: „*jednonodzy tancerze!*”, „*łazienkowi nurkowie!*”, et cetera. Głośnych malarzy wyszydzał mianem „*pacykarze*”, głośnych rzeźbiarzy traktował epitetem „*dzięcioły*”, a głośnych budowlańców łajał jako „*lepimurów*”. Sztukę rzymską uważał za bezwartościową podróbkę sztuki greckiej, mimowolną karykaturę kunsztu Greków, „*rzymskie bazgroły i pierdoły*”. To, iż różni twórcy, których krytykował, byli sławni, wzięci i oblegani przez bogatych klientów, nie robiło na Sulpicjuszu wrażenia i nie skłaniało go do łagodniejszych werdyktów. Parskał: „- *Goniąca się suka też ma wokół siebie stadko psów, które zabiegają o nią nie dbając, że urodzi kundle!*”.

Nagromadzenie sztuk rozmaitych zobaczyłem pierwszy raz w domu senatora Minucjusza Acilianusa, gdyśmy tam mieszkali, ja i Philomusus, którego senator zatrudnił dla edukowania pociechy swojej. Mieszkaliśmy nędznie i nędznie nas opłacano, lecz ten sam Minucjusz, co służbie szczędził dostatku, nie szczędził solidów, by jego rezydencja lśniła i budziła zazdrość gości pierwszej rangi. Ściany były wymalowane pejzażami i figurami, pawimenty wyłożone mozaikami, sufity wyblyszczone złoconym stiukiem, meble wybrązowane bogato, a kąty wypełnione rzeźbami z metalu i kamienia. Nie umiałem ocenić wartości tych dzieł, ale rozumiałem, iż gospodarzem nie powodowała euforia wobec sztuk czy głód piękna, tylko próżność. Wtedy myślałem, że to jeden z licznych grzechów, jakie miał na sumieniu ów człowiek, wedle bowiem Chrystusowej wiary pycha jest równie ciężkim grzechem co obżarstwo, które senator także praktykował bez żadnych hamulców. Atoli dzisiaj uważam, iż próżność jest bardziej chorobą - człowiek, który robi widowisko ze swego bogactwa, jest nie tyle głupio grzeszny, ile chory. Ten człowiek się degraduje szukając poklasku epatowaniem swoją zamożnością. Lecz nie twierdzę przy tym, iż godziwe przeciwieństwo próżności stanowi skromność, zbyt bowiem cenię dumę, która czasami musi głośno się oznajmiać. Kiedy Fulwiusz deklarował: „- *Jestem Rzymem!*”, nie było to może skromne, ale i nie było próżne - była to wyłącznie ekspozycja dumy warunkowana sytuacją i koniecznością zademonstrowania honoru. Zdrowym przeciwieństwem próżności winien być umiar, tak jak lekarstwem na kicz jest upraszczająca subtelność. Umiar nigdy nie jest chorobliwy.

Nie znam się również nic na matematyce. Tej nie mogliby mnie wyuczyć ani Philomusus, ani Sulpicjusz, prędzej chyba Atenajos, który miał duże upodobanie względem liczb. Że to jest sfera bardzo dziwna i głęboka, przekonałem się w owym klasztorze, gdzie trybun szukał informacji o resztkach legionów. Ponieważ spędziliśmy przy klasztorze kilka dni, chadzałem do biblioteki, do której brat Ioannes zapraszał i łaskawie udostępniał wszystko. Kiedym pierwszy raz tam pobiegł, brat Krygian już od kruzganka puścił mnie dalej samego, bo wiedział, że znam dalszą drogę ku bibliotecznej sali. Blisko wejścia do niej korytarz się rozszerzał, formując mały westybul. Chciałem wkroczyć, lecz coś mnie zatrzymało; usłyszałem głosy Ioannesa i Atenajosa! Gadali o Fulwiuszu, więc stanąłem. Później zbliżyłem się na palcach do drzwi, podsluchując. Prawił bibliotekarz:

- Czemu tabor tego legionisty? Cóż to za miejsce dla ciebie, człowieka habitu? Jeśli twój klasztor

się spalił, możesz przystać do naszego, bracie Atenajosie.

- Do ariańskiego? Mój klasztor był katolicki.

- Twój umysł był katolicki, lecz tutaj możesz go uczynić ariańskim, zyska dzięki temu.

- Wolę Qho.

- Co takiego wolisz? - zdziwił się Ioannes.

- Różne rzeczy, bibliotekarzu. Chociażby Trójcę Świętą, gdyż bez trójki nie istnieje boskość. Słyszałeś chyba, że jedyńka to pierwiastek męski, dwójka to pierwiastek żeński, a trójka to pierwiastek boski...

- Gdzie masz w waszej Trójcy Świętej pierwiastek żeński?! - zaprotestował bibliotekarz.

- Rodzicielkę Bożą.

- Bredzisz, młodzieńcze, już nie tylko po antyariańsku, lecz i po antykatolicku! Nie ma rodzicielki Chrystusa w waszej Trójcy Świętej!

- Ale jest w Qho, tak miemam, bo jest w nim cały Boży Duch - uparł się „Avis”. - Trójka to cudowna liczba, zamkniesz ją i dostajesz ósemkę - symbol nieskończoności, wieczności. Pytałeś co wolę, tedy ci odpowiadam. Wolę trójkę, bo to liczba pierwsza, a jedyńka nie jest liczbą pierwszą. I wolę ich trybuna od waszego przeora, bracie Ioannesie, bo trybun idzie, a wasz przeor siedzi. Lubię ruch.

- Zakochałeś się w tym rębajle, Atenajosie?

- Lubię drapieżców... - burknął „Avis”. - Lubię wilki, jastrzębie, rysie, wszystkie dzikie zwierzęta. Wolę je od krów i baranów. Lubię lasy, gościńce i przestrzenie, a nie lubię murów i bram.

- Ten twój wilk pędzi do zguby!

- Mało mnie interesuje gdzie pędzi. Ważne, że pędzi!

- I nie interesuje cię jak pędzi? To przecież żołdak!

- To wielki żołnierz, co dla mnie akurat mało znaczy, ale to dobry człowiek, co znaczy dużo.

- Zali drapieżca może być dobry? - spytał Ioannes.

Lecz „Ptak” okazał się przebieglejszym demagogiem:

- Zali Stworzyciel może być zły? Czy kochasz Stworzyciela, bibliotekarzu?

- Całym sercem i całą duszą!

- Mimo że stworzył drapieżców?... Stworzył wilka, orła, rysia, aby rozrywali zająca, którego też stworzył. Czy może być dobry Bóg, który stworzył ciągłą rzeź swych stworów?

Ioannesa zatkało. Wybąkał chwiejnie:

- To nie tak...

- A jak? Wilk, którego lubię, nikogo nie napada, bibliotekarzu, kąsa tylko wtedy, kiedy się broni.

Te słowa pozwoliły Ioannesowi odzyskać rezon:

- A gdy będąc wodzem armii rzymskiej pacyfikował ziemie wschodnich i północnych ludów, czego bronił?

- Chwały Cesarstwa. Mam gdzieś Cesarstwo, ale nie dam szkalować tego człowieka, bo myślę, że to był zawsze dobry człowiek.

- Wybaczał ofiarom, rozumiem... - uśmiechnął się szyderczo stary mnich.

- Ja ciebie nie rozumiem. Którym ofiarom?

- Ofiarom swojego rzemiosła, ofiarom żołnierki, wojny. Dlatego sam również jest pewien, że był człowiekiem dobrym, chodzącą „*Virtus*” [\* - Cnotą (łac).].

- Dziwnie gadasz, bracie Ioannesie. Powtarzam ci: to dobry człowiek.

Bibliotekarz prychnął negująco i wycedził tubalnym językiem sędziów:

- To tylko człowiek urokliwy, bez trudu budzący sympatię do siebie, natomiast fakt, że to wielki wojownik, znaczy, iż to człowiek skutecznej wojny, a zatem człowiek krzywdy i nieszczęścia, gdyż wojna to samo zło! Wojna jest matką ofiar, nie rodzi niczego prócz ofiar! Jeśli taki wielki rzeźnik umie wybaczać martwym ofiarom wojny, od razu uważa się za człowieka dobrego, bo zbrodniarzowi wcale nie jest łatwo wybaczyć swym ofiarom swoje czyny, na to trzeba być krwio pijcą z upodobaniem do wspaniałomyślnego gestu.

Atenajos nie odpowiedział, i zapadła cisza, którą przerwałem wchodząc (wcześniej jednak cofnąłem się w głąb korytarza, by usłyszeli szuranie moich sandałów na kamieniach posadzki). Zobaczyłem, iż każdy pilnie wertuje jakąś księgę - Ioannes siedząc, a „*Ptak*” stojąc przy pulpicie w drugim rogu, gdzie było okno dające więcej światła. Ukłoniłem się gospodarzowi i zbliżyłem do Atenajosa, mówiąc:

- Widzę, żeśmy wpadli na ten sam sposób spędzenia wolnego czasu, Atenajosie...

- Jeśli interesuje cię magia liczb, to faktycznie ten sam.

- Raczej magia poezji.

- No to nie ten sam.

- Co wertujesz?

- Nie wertuję, tylko czytam i rozmyślam, miłośniku poezji! To jest siódma księga dzieła pewnego Greka, Euklidesa z Megary, „**Stoicheia geometrias**”. Zawarł tu poezję wyższą od tej, która ciebie interesuje, poezję liczb pierwszych. Rozumiesz co to takiego?

- Nic a nic.

- Liczby pierwsze to takie, które mają tylko dwa dzielniki. Rozumiesz?

- Wciąż nic.

- Liczba pierwsza podzieli się bez reszty wyłącznie przez jedynekę i przez siebie samą, głupku. Zaczynają się te liczby od... no, od której?

- Od dwójki. Jedyneką nie jest liczbą pierwszą, ruda mordo!

Palnąłem to bez namysłu, bardziej chcąc się zemścić za „*głupka*” niż popisać, lecz tym się zdradziłem. Przewiercił mnie chytrymi ślepkami i szepnął:

- Skąd wiesz?... Podśluchiwałeś, synu żołnierza!

- Tylko trochę, przypadkowo... Ładnie broniłeś Fulwiusza, dzięki.

- Broniełem, bo wolę sam się na niego krzywić, niżli słuchać jak obcy się czepia, obcemu wara!

- Więc jak jest z tymi liczbami, kontynuuj.

- Co mam kontynuować, i tak nic nie zrozumiesz!

- Powiedz mi czemu jedyneką nie jest liczbą pierwszą. Wszak dzieli się tylko przez jedynekę i przez siebie...

- Czyli przez to samo, a w prawdziwej liczbie pierwszej dzielniki muszą się różnić. Początkowa liczba pierwsza to dwójka. Później trójka, piątka, siódemka, jedenastka, i tak dalej. Im dalej, tym liczby pierwsze są rzadsze. Na przykład między dziesiątką a dwudziestką są ich cztery: jedenaście, trzynaście, siedemnaście i dziewiętnaście. Lecz między sto dziesięć a sto dwadzieścia już tylko jedna: sto trzynaście. Euklides udowodnił, że liczb pierwszych może być nieskończenie dużo. Staram się ich szukać, ale im wyższe są liczby, tym pierwsze są rzadsze, więc tym trudniej trafić.

- Czemu tak cię to pasjonuje?



- Bo cała matematyka wypływa z liczb pierwszych, podsłuchiowaczu. To liczby mistyczne, parafizyczne, czarodziejskie. Najwięksi magowie zajmowali się nimi, wierząc, iż są kluczami do tajemnicy wszechświata.

- Z całą pewnością nie są one drabiną do Nieba i do Raju - mruknąłem szczerząc zęby. - Ani do twojego Qho, którym rządzi duch, a nie materia.

- Qho rządzi tajemnica, więc magia tych liczb nie omija Qho! - zaprzeczył gniewnie. - Gównu się na tym znasz!

- Znam się wystarczająco, aby bez ciebie wiedzieć, że mają barwę gówna, kolor rudy, tak jak strach ma kolor fioletowy, znawco kolorów!... - odwinąłem. - Wolisz brudzić, czy nudzić?

Aż się zatrząsł ze złości, że go małpuję, lecz ja już ukazałem mu swoje plecy, stąpając ku książkowym półkom. Buszowałem wtedy po bibliotece tak radośnie, iż nawet nie zauważyłem kiedy opuścił ją rudas. Wkrótce wyszedł też stary mnich (być może dla jadła lub dla upuszczenia moczu) i zostałem sam w tej wielkiej komnacie, niczym suwerenny pan książek. Dopadła mnie myśl, iż chętnie sprawowałbym funkcję bibliotekarza, gdyby ktoś zechciał powierzyć mi te skarby, ale nie myślałem jeszcze wówczas o noszeniu habitu - to przyszło dużo później. Kiedy Ioannes wrócił, rozmawialiśmy dość mile, bo pytał które interesują mnie księgi, aż wreszcie uczułem się zmęczony, podziękowałem, pokłoniłem się i ruszyłem ku wyjściu.

Z biblioteki wyjść było łatwo, ale dalsza droga okazała się trudniejsza. Musiałem chyba pomylić jakiś zakręt głównego korytarza, bo raptownie znalazłem się w labiryncie zupełnie mi obcym, nie bardzo wiedząc który obrać kierunek. Chciałem pytać, jednak forsowałem kolejne izby nie napotykając żywej duszy. Trwało trochę nim usłyszałem ludzki głos. Dobiegał z głębi trzeciego już korytarza, a korytarz ten zaprowadził mnie pod drzwi sali, w której zobaczyłem rzędy ław wznoszących się amfiteatralnie. Kucąca na nich gromada mężów, lub raczej dwie gromady różniące się barwą. Jedni mieli zielone płaszcze i wysokie szpiczaste czapy zielonego koloru; drudzy, siedzący po przeciwnej stronie półkola, nosili płaszcze i bulwiaste czapy koloru żółtego. Toczył się między nimi zawzięty dyskurs, który przykuł moją uwagę. Kiedym stanął w tych drzwiach, perorował właśnie jeden zielony:

- ... więc to jest niesprawiedliwość! Gdyby bowiem nawet uznać słuszość waszych wywodów, których wcale jako słusznych nie uznajemy, lecz gwoli rozwinięcia mej tezy mówię: gdyby - to i tak widzimy w imperialnej sztuce oryginalność. Sztuka Cesarstwa, aby być oryginalną, nie potrzebowała wymyślać własnych koncepcji czy form indywidualnych. Starczy, że @zorganizowała tradycyjne czynniki greckie i grecko-wschodnie tudzież etruskie w nową, ergo: nowatorską, całość, nadała im nowy, ergo: nowatorski, wyraz!

Tu odezwał się jeden żółty:

- Zatem była to samodzielność rozwoju, a nie genezy, czcigodny Lentulusie!

Z zielonych ław ktoś wtedy krzyknął:

- Każdy oryginalny nurt wykorzystuje cechy poprzedniego nurtu, nowelizując, modernizując, czyli rozwijając formy poprzednika, to chyba wiecie? I każdy nurt sam staje się kolebką swego spadkobiercy.

Lecz tamten żółty ustąpić nie zamierzał:

- Mówiąc o pseudosamodzielności rozwoju sztuki rzymskiej, miałem na myśli samodzielne tępe epigoństwo, a nie wynalazczość! Tak jak geneza sztuki Rzymu była cudza, tak jej charakter był wtórny od samego początku! Rzym wymieszał sztukę Etrurii, Grecji i Wschodu, rodząc bękarta, któremu brakuje charakteru własnego, indywidualności, świeżości, vulgo: zrodził sztukę reproduktorską całkowicie! Gadanie o wartościowej nowości, tworzonej dzięki wymieszaniu innych sztuk, ma tyle samo sensu co chwalenie muła, który jest dzieckiem osła i końskiej klaczy!

Rozległ się chóralny śmiech żółtych, kwitujących również brawami tę frazę, a jeden z nich zapytał:

- Kogo tu widzisz jako osła, Certinosie?

- Sztukę etruską lub wschodnią, gdyż grecka była rasową klaczą, moi drodzy! - wykrzyknął ów Certinos, dumny jak paw.

Kiedy ucichły już oklaski i śmiechy żółtych, któryś zielony przystąpił do kontrataku:

- Nasi czcigodni adwersarze, weseli kpiarze, prawdy grabarze, figlarze-łgarze i kawalarze, sami przypominają osły, którym ślepią zarosły, gdyż kiepsko widzą to, czym się brzydzą. Tak się zzymają, iż nie dostrzegają jak nowatorskie były mury rzymskiej cesarskiej architektury. Lub kunszt malarski bądź mozaikarski. Lub absolutnie unikatowa rzeźba rzymska portretowa, przy której wszystkie greckie portrety są beznadziejną klapą niestety. Mozaik rzymskich chwała przebija wszystko co historia znała.

- Tylko że te wasze mozaiki, czcigodny Quintusie, wykonywali Grecy sprowadzeni nad Tybr z Aten i z Peloponezu! - wybuchnął kolejny żółty. - Hurtem sprowadzaliście też rzeźbiarzy greckich, nędzny rymokleto!

- Jedynie początkowo, ty osła głowo, żeby nauczili Italików obrabiania kamyków, aż się dochowaliśmy swoich geniuszów, lepszych od greckich słabeuszów!

- Lepszych od Fidiasza, Lizypa i Praksytelesa?! Wymień choć jednego rzymskiego geniusza, Quintusie! Jednego! Ci wasi to kopiści, to rzemieślnicy reprodukujący greckie wzory, artystyczna mierzwa! Mnożyliście kopie greckich arcydzieł, tworząc rzeźbę typowo wtórną, nic ponadto! Tak bardzo lubiliście kopiować miast wynajdywać, że już za cesarza Oktawiana Augusta Grek Pazyteles utworzył w Rzymie szkołę kopistów greckiej sztuki! To są fakty!

- Za cesarza Oktawiana Grecja była już fragmentem Rzymu, rzymską prowincją, to też są fakty - przypomniał jakiś zielony oponent.

Lecz kosa trafiła na kamień, gdyż któryś żółty ripostował morderczo:

- Brawa! Brawa dla czcigodnego Mariusza! Będąc zramolałym debilem, czcigodny Mariusz chwyta się argumentu urodzonych kretyńców, mianowicie, że sztuka grecka nie jest sztuką grecką, tylko rzymską, bo przecież Grecja stanowiła tego Rzymu część! Czcigodny Mariusz woli nie pamiętać, iż Rzym dokonał chamskiej aneksji. Zdobył Grecję, wchłonął Grecję politycznie i terytorialnie, a na koniec również kulturowo w tym sensie, że zrabowane posągi wywoził do Italii setkami, by przyozdabiać swoje budowle i place sztuką grecką. Jednak tego wszystkiego było mu mało - zapragnął jeszcze doścignąć grecki kunszt artystyczny dziełami rzymskich twórców, zaanektować, własnymi dłutami oraz pędzlami, helleńskiego ducha wielkości artystycznej. Starął się przez kilka wieków. Tych kilka wieków to szaleństwo pościgu, to rzymska obsesja doścignięcia geniuszu greckiego, wreszcie klęska i rzymski kompleks niespełnienia, kompleks niedoścignięcia, kompleks niemożności pokonania zaklętego progu między zręcznym rzemieślnikiem a prawdziwą sztuką. Wychodziliście ze skóry, by się udało, sądząc, iż to możliwe. Wmawialiście sobie nie raz, iż się już udało - iż ta lub tamta rzeźbiona figura jest arcydziełem na miarę arcydzieł greckich. Tak jakby prostacka kopia lub imitacja mogły mieć duszę równą duszy oryginału! Rzeźbiąc waszych bogów, stworzyliście parodię deifikacji, nie zaś kamienną boskość!

Ów grzmiący długo żółty dyskutant był starcem, więc jego gwałtowne wystąpienie musiało go zmęczyć, bo raptownie umilkł, łapiąc powietrze niczym ryba leżąca na brzegu. Sąsiad jego pochylił się z troską:

- Oszczędzaj siły, gniew nie służy zdrowiu twemu, bracie Stefanosie...

Ten jednak znowu uniósł pałający wzrok i zachrypiał:

- Gniew karmi mnie i leczy, bracie mój! Powiem jeszcze naszym czcigodnym adwersarzom czemu przegrali wyścig, gdyż będąc kabotynami nie rozumieją tego. Wasz kompleks, Rzymianie, jest kompleksem muskularnego osiłka wobec pięknej wrażliwej dziewczyny, którą można porwać, zgwałcić, związać, zamknąć, i nawet zmusić do ożenku - ale nie można zjednoczyć się z nią duchowo, rozkochać w sobie! I tej właśnie bariery nie umieliście przekroczyć, bo zaloty były zbyt prostackie, pełne techniki nuworysza, która robi wrażenie tylko na głupcach bez gustu. Wasi rzeźbiarze chętniej niż młotkiem i dłutem posługiwali się świdrem, częściowo dlatego, iż jest on bezpieczniejszy, nie wywołuje pęknięć kruchego marmuru, lecz głównie dlatego, iż daje możliwość jubilerskiej cyzelacji detali, przez co rzeźby uzyskują misterny światłocień. To mianowaliście waszą wyższością! Włosy na kobiecym popiersiu greckim są tylko zarysowane, jakby ledwo szkicowane, tymczasem na rzymskim widać precyzyjnie odrobione loczki, można policzyć każdy włos! Vulgo: te rzymskie są tak rzeczywiste, iż robi się od nich niedobrze każdemu kto ma trochę smaku. Technicznie byliście nienaganni: precyzja, i proporcje, i krwista plastyczność, i cyzelacja szczegółu, niby wszystko jak trzeba. Prócz ducha! Prócz geniuszu artystycznego! Zręczność miast wirtuozerii! Zadowolenie miast rozkoszy! Siła miast harmonii! Barbarzyńska trywialność miast sacrum!

Znowu umilkł i oddychał ciężko. Posiał na sali kompletną ciszę. Żaden zielony nie wyrwał się z ripostą przez dłuższy czas. Wreszcie jednak któryś zabrał głos. Był średniego wieku, mówił

grzecznie, nikogo nie obrażał:

- Czcigodny Stefanosie, i czcigodni polemisci filogrecy. Zdaje mi się, że wszelka różnica między waszą a naszą sztuką ma u swoich źródeł odmienną ideologię, dążenie ku czemuś innemu. Boginią waszych artystów była czysta estetyka, której dali priorytet, gdy naszym przyświecała historia, propaganda tudzież żądza imitowania realności. Wasi chcieli zachwycić wzrok, gdy nasi przywoływać mężną wielkość, epatować tudzież portretować. Reliefowe wstęgi oplatające kolumnę Marka Aureliusza bądź kolumnę Trajana przedstawiają rzymski epos wojny germańskiej i wojny dackiej Imperium. Grecja nie знаła takich rzeźbionych opowieści. Są tam chwytły artystyczne, z których Rzym może być dumny, jak perspektywa uzyskana planami idącymi w głąb obrazu, jak bogaty światłocień, jak szczegółowość, jak hierarchizacja skali...

- Która małpuje sztukę egipską! - przerwał mówiącemu jeden żółty.

- Nie będę się kłócił co do tej kwestii, czcigodny Brykosie, masz bowiem słuszność, iż w obu przypadkach chodzi o symboliczną hierarchizację figur, demonstrowaną ich różnym skalowaniem. Egipcj artyści robili większe figury bogów i faraonów, my zaś dawaliśmy postaci cesarza większy wymiar niż postaciom oficerów czy żołnierzy, ludziom wolnym skalę większą od skali niewolników, i tak dalej. Ale nie chcę się tu wyklócać na temat wartości tych spiral kolumnowych. Prędzej już broniłbym, przyjaciele, wartości rzymskiego portretu, bo wasi artyści robili wizerunki niewiast i mężczyzn, tymczasem Rzymianie robili portret @tej niewiasty i @tego mężczyzny, konkretnych osób, znanych z imienia. Ukazywali wiernie każdy rys fizjonomii danej postaci, niczym odbity w zwierciadle...

- Nie zapominając nawet o brodawkach! - parsknął któryś żółty.

Reszta żółtych wtórowała wybuchem śmiechu, co jednak nie zraziło zielonego:

- Macie rację, to są portrety, w które wlano dużo więcej życia aniżeli umiał którykolwiek grecki mistrz. Żywe są wargi i żywe są oczy, nie jak u greckich rzeźbiarzy. Polerowane gładko oczy greckich kamiennych fizjonomii są ślepe, gdy rzymskie, dostając źrenice i tęczę, odzyskały wzrok. Zatem twarz przestała być martwa lub półmartwa. I twierdzą, że to nam daje prawo, by się tym chlubić, a wy nie powinniście tego ganić. W mozaice tak samo. Wasi mozaikarze nie umieli konkurować z malarstwem pędzelkowym, a nasi, stosując drobniutkie kosteczki, robili to bez trudu, światłocieniowali kamykami nie gorzej niż farbami. Mówiliście tu sporo o duszy i o braku duszy. W rzymskim portrecie i w rzymskim malarstwie mozaikowym jest dusza. Właśnie dzięki tej precyzji zezwalającej oddać najdrobniejsze niuanse.

Ripostą była przemowa żółtego, który również nie stosował inwektyw:

- Czcigodny Domicjusz. Wasze osiągnięcia portretowe czy mozaikowe bywają ciekawe, lecz to tylko wyjątki reguły, której nie można negować. „*Nulla regula sine exceptione*” [\* - Nie ma reguły bez wyjątku (łac).]. Składając hołd portretowemu weryzmowi i szczegółowości malarskiej, nie da się zmienić faktu zasadniczego dla rozważań o wyższości sztuki greckiej nad rzymską lub rzymskiej

nad grecką. Ta druga teza jest absurdalna wskutek podnoszonej tu już wystąpieniami moich kolegów plagiatowości rzymskiej sztuki. Wasz beznadziejny bój przeciwko prawdzie przypomina mi analogiczną bitwę piewców sztuki chrześcijańskiej, którzy dowodzą, iż sztuka Chrystianizmu była suwerenna wobec kultur pogańskich. Tymczasem, co wszyscy wiemy, była ona niesamodzielną, heteronomiczną w równym stopniu jak sam kult chrześcijański jest synkretyczny, łączący pierwiastki różnych dawniejszych kultów. Wczesne przedstawienia Chrystusa małpowały wizerunki tudzież symbolikę bogów i bohaterów pogańskich: Heliosa, Hermesa i Orfeusza. Chrześcijański motyw Dobrego Pasterza, czyli Chrystus niosący na ramionach baranka lub koźlą, to plagiat greckiego krioforosa, niosącego barana, i greckiego moschoforosa, noszącego koźlą. Jeszcze w ubiegłym wieku chrześcijanie pieklili się z ław senatu, że pogańscy senatorowie palą kadzidełka skrzydlatej bogini Zwycięstwa, Wiktorii. A przecież chrześcijańscy artyści zaanektowali już tę boginię jako Wiktorię Eucharystyczną! Cała, rzekomo autonomiczna, sztuka chrześcijańska, pasożytuje na sztukach pogańskich - na sztuce wschodniego hellenizmu oraz sztuce Rzymu. Identycznie jak sztuka waszego Imperium zerowała na sztuce greckiej, powielając jej normy, formy i środki przekazu estetycznego. Nie wygracie tej dysputy, czcigodni adwersarze, gdyż wasi twórcy nie stworzyli własnego języka artystycznego, własnej estetyki, własnego, suwerennego, nowego nurtu sztuki, i tego faktu nie może zmienić wasza, zaiste zuchwała, biegłość krasomówcza.

Zieloni chyba perswadowaliby dalej, lecz ni stąd, ni zowąd, między jednymi a drugimi pojawił się człowiek w czerwonym płaszczu. Rozpoznałem Sulpicjusza! Ryknął na całe gardło:

- Grecy, przestańcie słuchać tych głupot Rzymu! Przestańcie zdzierać języki dla perswazji, iż śniegi są białe, deszcze mokre, a Słońce jaśniejsze od łuczywa! Przestańcie wysilać mózgi gwoli mnożenia argumentów! Rzucacie im prawdę, której nie kupią! „*Margaritas ante porcos iacere!*” [\* - Perły rzucać przed wieprze (łac).]. Ich biusty, i mozaiki, i szczegółliki, i świdry, i wstępowe reliefy, i światłocienie, którymi rzekomo wzbogacili sztukę hellenizmu, tak były potrzebne tej sztuce, jak rasowej klaczy potrzebna jest piąta noga! Prędzej usłyszycie szczekanie kotów, niżli ułowicie trochę sensu między wywodami tych szalbierzy!

Krzyczał coś jeszcze, lecz tego już nie słyszałem, gdyż na ławach zielonych wszczął się tumult, a w powietrzu zaczęły latać przedmioty, którymi się obrzucano. Jakaś moneta czy klamra świsnęła mi blisko ucha, więc cofnąłem się do korytarza i zemknąłem stamtąd, klucząc labiryntem klasztornym, póki nie rozpoznałem drogi ku wyjściu.

Nazajutrz przebudziłem się z bólem głowy. Wciąż jeszcze dudnił mi w niej gwar dyskursu, niczym trzepot skrzydeł kogucich - bębnienie tego gradu słów nie dających niczego. Przypomniały mi się słowa Fulwiusza rzucone do bibliotekarza: „- *Maratoński klekot mądrali, których napawa samo mielenie ozorem!*”. Ale kiedy dzisiaj wspominam tamten żółto-zielony szum mego umysłu, przypomina mi się inne zdanie, trochę późniejsze, z czasu, gdyśmy forsowali tereny longobardzkich plemion. W jakiejś wiosce „*Ptak*” ze zdumieniem zobaczył, że Rufus karmi okaleczonego gawrona, który nie mógł latać, bo miał przetrącone skrzydło. Zbliżył się i wykrztusił:

- Nie wiedziałem, że lubisz ptaki, Rufusie...

A Rufus odparł:

- Lubię... Lubię wszystkie stworzenia, które nie mówią, mnichu.

Dzisiaj rozumiem to jeszcze lepiej. Lubię głos ciszy. Milczenie owadów zajętych tylko sobą. Milczenie gwiazd, które wabią wzrok, a nie słuch. Milczenie drzew, które wiatr przymusza do śpiewu, lecz jest zbyt gnuśny, żeby robić to każdego dnia. Dyskretne milczenie aniołów, którym nie chce się nawet ukazywać ludziom. Milczenie pór dnia oraz pór roku, płynących bezszelestnie mimo zgiełku tego świata. Milczenie białych czap na niedosiężnych iglicach gór. Milczenie serc, jakich żadna kobieta nie może już obudzić, które zwie się: starość. Ta cisza uchyla furtki pamięci. Dawno przeżyte zdarzenia, dawno przebrzmiałe dialogi, dawno zakosztowane radości, niepokoje, sny i strachy, podchodzą do wyziębionej, wyzbytej emocji głowy starca jak zgłodniałe wilki do przemarzniętej osady zimową nocą.

Wtedy, gdyśmy szli z klasztoru Felk ku dziedzinie Longobardów, królowała już jesień. Wielkie liściaste bory płonęły w jesiennym słońcu niby złocisty tuman nakrapiany czerwienią, ścieląc takąż samą szatę pod nogi wędrowców. Tylko wrzosowiska rozrywały tę pożogę fioletami, a gdzieniegdzie kałuża odbijała błękitne niebo lub białawe strzępy chmur. Ciągnąc wzdłuż rzeki Ivarus zagłębiliśmy się w kotlinę, przy krańcu której leżała nad jeziorem wieś - ostatnia już gocka wieś przed ziemią longobardzką. Była zupełnie pusta. Kilkadziesiąt chat ze sprzętami (głównie ławami), lecz bez ludzi. Got Adaloald mruknął ponuro do Fulwiusza:

- Może ich uprowadzono, choć może i sami uciekli, bo nie dało się spokojnie żyć tak blisko tych dzikusów.

- Gdyby ich pobito i pojmano, najeźdźcy spaliliby wioskę - zauważył Rega.

- Niekoniecznie - rzekł Got. - Nie musieli palić.

- Jednak nawet bez palenia chałup zostałyby ślady gwałtu jakoweś, a tu nie widać żadnych śladów przemocy, więc chłopci raczej sami uszli w strachu - odezwał się trybun.

Adaloald pokiwał głową:

- Może i macie rację, panie. Tak czy owak, wydziedziczono tych ludzi. Kiedyś Longobardowie siedzieli bardziej na północ, ale teraz cisną się na południe, wypychając Gotów.

- Czyż nie są już waszymi sojusznikami przy oblężeniu „*Urbs Roma*”? - zapytał Fulwiusz.

- Ich król wspomaga oblężenie swoją drużyną, ale niektórzy wodzowie plemienni i szczepowi zostali tutaj, i robią co chcą, korzystając z tego, że główne ostrogockie siły tkwią wokół Rzymu. Kiedy Rzym padnie, będziemy musieli przywołać tę dzicz do porządku. Cała koalicja „*Wielkiego Kwada*” rozleci się jak próchno, i zamiast jednej wojny z Rzymem, wybuchnie dziesięć wojen międzyplemiennych, świat zapłonie od brzegu do brzegu.

- Dałby Bóg, żebyś miał słuszość, ja tylko na to czekam - powiedział „Soter”.

- Czekasz, wodzu, na upadek Romy? - zdziwił się Got.

- Czekam, żeby te właśnie między barbarzyńcami ocaliły Rzym, a mnie pozwoliły wrócić tam z siłą legionu.

- Wciąż nie masz nawet kohorty, panie.

- Kohortę będę miał niedługo, zaś legion także wkrótce zbiorę, jeśli Bóg będzie łaskaw.

- Wiem, panie, że się o to modlisz... - westchnął Adaloald. - Lecz póki co, król Teudebert nie głosi jeszcze wojny z Longobardami, a ty chcesz się sam pchać na dzicz longobardzką, prawdziwie barbarzyńską. Wy zwiecie barbarzyńcami Gotów, a my zwiemy barbarzyńcami Turyngów i Longobardów, bo w porównaniu z nimi jesteśmy już ludem, który się dzięki romanizacji ucywilizował. Dopiero tam zobaczysz, panie, dzicz autentyczną! Ci ludzie się nawet nie myją po ludzku... Gocki żart o tych dzikusach to dialog dwóch Turyngów patrzących na swe umorusane bachory. Jeden pyta: „- *Myjemy, czy robimy nowe?*”. I pamiętaj, wodzu, że tam pierścień króla Teudeberta oraz glejt komesa Hildirika nie będą już miały żadnej wagi.

- Wagę będą miały nasze łuki i miecze, przyjacielu. Kiedy będzie trzeba, to wykąpiemy tych brudasów ich własną krwią - oświadczył mój ojciec.

Rozłożyliśmy biwak wokół pustej wsi, zajmując też chaty porzucone przez wieśniaków. To był długi odpoczynek, celowo tak długi, gdyż czekała nas daleka droga, trudniejsza niż wszystkie wcześniejsze. Niedawno wcieleni mitraiści biegali skalnymi ścieżkami po okolicznych górach, szukając „Grot” Mitry i legionistów. Wkrótce prawie setka nowych żołnierzy zasilila nasze wojsko. Wywodzili się z trzech legionów: Fidelis, Fulminatrix i Apollinaris. Ich utrudzone jaskiniowym życiem twarze malowała radość, że wracają do bojowych szeregów, pod komendę samego „Sotera”. Tylko ksiądz Damian biadolił, bo wykazywali większy animusz dla hazardu niż dla celebry, modlitwy i spowiedzi świętej. Mówił, że przynieśli zarazę „*micatio*”.

Hazard to była rytualna rozrywka naszych żołnierzy. Grali w kości kiedy mieli czas, tracąc swój lub przejmując cudzy żołd, ale głównie o tych kilkanaście Gotek swobodnego stanu, które z łap zbójów uwolniliśmy. Ksiądz Damian próbował kielznać tę „Sodomę” (jak mówił) perswazją i groźbą, wszelako bezskutecznie, więc wymógł na Fulwiuszu, iż kości zarekwirowano każdemu. Zostały legionistom rzuty monetami (awers czy rewers?), jednak taki hazard był nudny jak masturbacja, nie dawał emocji właściwej prawdziwemu hazardowi, nie bawił odpowiednio, gorączkowo. Tymczasem „*micatio*”, którym świeżo wcieleni mitraiści zarazili kolegów, to była pyszna rozrywka. Dwóch, trzech bądź czterech ludzi równocześnie (na dany sygnał) zginało dowolną liczbę palców, a wygrywał ten, który pierwszy podał sumę zgiętych paluchów. Grano w „*micatio*” bez przerwy.

Kiedyś już szykowali wozy dla wymarszu ku longobardzkim ziemiom, przybiegł Titius Maurus, były centurion legionu Fulminata, i zameldował:

- Wodzu, od wczoraj mieszka tu Perktarit!

- Kto?

- Perktarit, sławny wieszczek!

- Czyj wieszczek? - spytał trybun.

- Longobardzki, panie, to Longobard. Przybył tu zeszłej nocy.

- Gdzie przybył?

- No... znaleźliśmy go w pasterskiej chacie u stóp gór, jest sam. Prosił, żeby dać mu żarcia, bo polować nie umie, wodzu, to daliśmy mu trochę mięsa suszonego.

- Dlaczego tu przybył?

- Nie wiem, panie.

- Nie pytałeś?

- Pytałem, cosik gada, że niby uciekł od swojaków, znaczy: od Longobardów.

- Na przespiegi! - mruknął Rega. - Jeśli sławny, to pewnie Adaloald słyszał, o tym wrózu, niech się wypowie.

Zawołano Gota, a ten potwierdził:

- Iście, sławny to wróż. Mówią, że nie tylko wróży, lecz także wielką ma moc, patyki w miecze przemienia.

- Patyki w miecze! - prychnął Rufus. - Atenajos przemienia monety w szyszki, i noże w marchewki, lub na odwrót, lecz nie rości sobie kuglarskich praw do chwały jasnowidzącego. Gdy ma taką moc, to czemu musiał uciekać?

- Nie wiem, panie... - wydukał Titius. - Ja tylko melduję co widziałem, mnie nic do tego.

- Zobaczmy ile ma tej mocy ów wróż - zdecydował „Soter”. - Odwiedzimy Perktarita. Powróży nam i będziemy wiedzieli co nas czeka, przyjaciele.

- Powróży nam jak Pytia delficka królowi Lidii, Krezusowi, wodzu! - roześmiał się szyderczo Rufus. - Spytał ją czy ma rozpocząć wojnę. Odparła: „- *Jeśli rozpoczniesz wojnę, zniszczysz wielkie królestwo*”. To go zachęciło i napadł Persów, a w efekcie Lidia została zniszczona... Każda wyrocznia się sprawdza, jeśli tylko wróż umie tak ją sformułować, by każdy efekt potwierdzał ją.

- Dajmy mu szansę, Rufio, chcę tego Longobarda zobaczyć - rzekł Fulwiusz.



Zwano takich jasnowidzących: „*divinans*”, „*hariolus*”, „*fatidicus*”, „*fatilocuus*”, lub „*vates*” (jeśli umiał śpiewać). Wróżyli z różnych dziwnych rzeczy: z kawałków gałęzi, z kości (z pęknięć palonych kości), ze ścięgien i z wątroby, z rozrzuconych kamyków i z dymu, z wody i z płomienia, z ruchów świętego zwierzęcia (zazwyczaj białego ogiera), bądź dzięki odurzającym napojom. Szczepy miały swoich wróżów, a plemiona wielkich wróżów, którzy często pełnili też rolę sędziów i kapłanów. Bez wyroczni nie podejmowano decyzji ważnych dla społeczności rodowej, szczepowej lub plemiennej. By uniknąć pecha i złego licha.

Przybyliśmy do pasterskiego szałas gdy słońce zenitowało. Zdumiał nas widok Custosa. Ptaszyna siedziała na dachu i filowała ku nam, jakby czekała wiedząc, że się pojawimy.

- Żle! - syknął Marcipor.

- Qho! - wyszeptał Atenajos.

Rufus uklonił się i ozwał nie bez lekko szyderczego respektu:

- Witaj, przesławny Perktaricie!

- Witaj, przesławny „*Soterze* „! - odpowiedział Longobard.

- Zgadłeś kim jestem, czy ci doniesiono?

- Twoi legioniści mówili, że są twoi.

- Nam zaś powiedzieli, że ty uciekasz ze swego domu. Musiałeś mieć przyczynę bardzo ważną...

- Życie robi się bardzo ważne, gdy łatwo je stracić, dowódco.

- Czym przewiniłeś odbieraczom życia?

- Stałem po stronie niewinności.

- Tak, to zawsze jest błąd - uśmiechnął się współczująco Rufus. - Sojusz z wrogami niewinnych to celniejszy wybór, przez sam rachunek prawdopodobieństwa, bo ziemia nosi takich dużo więcej. Zezwolisz, byśmy sobie siedli na tym pniu, wróżbito?

- Siadajcie, moi drodzy.

Gdyśmy się rozsiedli na ociosanym świerku, który stanowił dla pasterzy ławę, Rega wznowił dialog:

- Gdzie się teraz udasz?

- Nigdzie. Będę czekał aż tam dopełni się los, i zależnie od tego jak się dopełni, wrócę lub ucieknę dalej we świat.

- To nie wiesz jak się dopełni? Wywróż sobie!

- Próbowałem już.

- I co?

- Widzę tylko krew!... Wszystko we krwi. Ale nie wiem czyjej. Wizja wróża nie zawsze jest jasna. Boję się, że to będzie krew rozlana rękami zięcia Trygeminowego.

- Król Trygemin oblega Romy razem z resztą barbarzyńców...

- Tak, Rzymianinie. Odjeżdżając na wojnę zostawił kraj dwóm swoim córkom, i zięciom. Celowo jednym i drugim, aby nikt nie miał żalu, i by nie knuli przeciwko sobie, i by się wzajem pilnowali. Lecz jego nadzieja okazała się złudna.

- Knują?

- To ludzkie. Świnie zgodnie żrą u koryta, nie gryząc się i nie przepędzając jedna drugiej, a ludziom u tronu jest zbyt ciasno.

- Zięć przeciw zięciowi?

- Siostra przeciwko siostrze. Zła przeciwko dobrej. Mąż dobrej wywiódł Trygeminowi posiłki dwa miesiące temu, została sama. Zła chce ją teraz zapędzić do sfery pradziadów, na tamten świat. Mąż złej, komes Geilimer, to krwawy pan, okrutnik. Przed nim uciekłem, legionisto.

- Mówisz: chce. Kiedy się to stanie, wrózu?

- Podczas plemiennego wiecu, za dni kilka, rody już na ten wiec ściągają.

- Przy tylu zebranych ludziach siostra chce uśmiercić siostrę? - zdziwił się Rufus.

- Inaczej nie może. Oskarżyła ją o cudzołóstwo, i ma nawet fałszywych świadków. Ma również chętnych katów, lecz król Trygemin nie darowałby takiej samowoli, dlatego chcą, by kapłani przesądzili winę, a wiec zatwierdził zwyczajowy wyrok. Podobnie jak u Franków, Gotów, Sasów czy Turyngów - u Longobardów cudzołożnica jest okrutnie kázniona aż do śmierci.

- I ty miałeś być wśród tych sędziów? - zgađł Rega.

- Miałem być naczelnym sędzią, Rzymianinie! - przytaknął Perktarit.

Zapadła cisza. Wtem odezwał się Atenajos:

- Czy nikt nie będzie jej bronił, wieszczku?

- Może lud będzie płakał, bo ją kocha, ale może i nie będzie, kiedy kapłani przekonają kmieci, iż

jest winna cudzołóstwa, właśnie do tego Geilimerowi służyć mają... Siostra jej nienawidzi, gdyż lud śpiewał piosnkę o obu. Wysłuchajcie jaka to śpiewka.

Wziął z chaty mały instrument, trochę przypominający lirę, brzdąknął w struny i zanucił smutno:

*„A u króla Trygemina*

*Córa czarna jak jeżyna,*

*Herlina się zwie.*

*A u króla Trygemina*

*Druga córka jak malina,*

*Silmina się zwie.*

*A Herliny ciemne oczy,*

*Myśli jak otchłanie nocy,*

*Dusza mroczna niby knieja,*

*I smolisty włos.*

*A Selminy jasne oczy,*

*Na nikogo się nie boczy,*

*Wokół głowy świeci zorza*

*Pozłocistych kos.*

*A Herliny czoło harde*

*Z ust rozkazy lecą twarde.*

*A Selminy słodka mowa*

*I radosny śmiech”.*

- Śpiewasz lepiej niż jasnowidzisz! - przerwał mu Rufus.

Perktarit odłożył instrument i rzekł cicho:

- Ty zaś, przyjacielu, grasz „Sotera” gorzej niż chciałbyś go naśladować, albowiem udawać takiego męża jest chyba trudniej niżli pełnić obowiązki jasnowidza.

Pierwszy wybuchnął śmiechem Fulwiusz, a chwilę później wszyscy ryknęliśmy śmiechem (mnich, Marcipor, Liutperd, Caeliusz, Frontinus, Macedo, ja i Adaloald), tylko Rufus kwaśno przekrzywił wargi.

- Wiedziałaś od początku? - spytał wróża mój ojciec.

- Tak, dowódcu.

- To czemu zwracałeś się do mego zastępcy jako do wodza?

- Ażeby twój zastępca, który wystąpił pierwszy, chcąc sprawdzić czy jasnowidzę, miał przyjemność, iż jego chytry sprawdzian się udał.

- Całkowicie się udał! - warknął Rufus. - Dopiero po pewnym czasie, w trakcie tej długiej rozmowy, widząc kpiarskie spojrzenia reszty, skapowałeś, bystrzaku, że się kompromitujesz.

- Mylisz się, zastępcu - odparł Perktarit. - Bez zwłoki rozpoznałem wodza.

- Jak mnie rozpoznałeś? Nie mam na sobie rynsztunku wodza... - rzekł Fulwiusz.

- Ale masz go w sobie.

- Czytasz ludzkie myśli?! - zadrwił Frontinus. - To powiedz o czym myślę teraz!

- O tym, iż chce ci się zrobić kupę, a tu wokoło nie ma żadnego krzewu.

Frontinus zbladł, jakby dostał w pysk. Zdjął hełm i otarł czoło, a minę miał tak głupią, że jeszcze raz roześmieliśmy się chóralnie, lecz niektórych ukłuł strach. Perktarit zaś dodał nie bez satysfakcji:

- Dużo o was wiem...

- Skąd? - zapytał trybun.

- Wiem, bo wyjawiał mi Custos.

Spojrzeliśmy ku kalenicy, ale ptaka tam już nie było, siedział trochę dalej, na gałęzi drzewa.

- Rozmawiasz z ptactwem? - zaciekał się Caeliusz.

- Rozmawiam i z drzewem, kiedy trzeba, i z deszczem, i z burzą.

- A Custos zaraz ci się przedstawił jako Custos, wieszczku?! - rozgniewał się Liutperd. - On sam pewnie nie wie, iż tak go nazywamy!

- Wie - mruknął „Ptak”. - Wie ode mnie.

- No to mamy już dwóch ptakomówców! - rzekł zgryźliwie Rega.

- Dlaczego dwóch? - sprzeciwił się Liutperd. - Ja też umiem. Kukurykuuu! Kwa-kwa-kwa! Piiii!

Fulwiusz spytał serio:

- Co ci o nas powiedział Custos, Perktaricie?

- Iż chcesz maszerować przez ziemie Longobardów, bo szukasz legionistów.

- Co o tym myślisz?

- Że bardzo sprzyja ci los, bo jest na to wyjątkowo dobry czas. Od chwili rozesłania wici wiecowych, aż po kres wiecu, Longobardom nie wolno się bić, ni między sobą, ni z przybyszem, chyba że dla obrony, gdy przybysz to agresor. Każdego wędrowca, który nie szuka zwady, Longobardowie goszczą wówczas łaskawiej aniżeli w dobie bez wiecu. Wiec to czas miru.

Przyglądałem się temu człowiekowi z uwagą coraz baczniejszą, i z coraz mocniejszym uczuciem bojaźni. Mógł fascynować. Miał długie jasne włosy i średniodługą brodę, ostre rysy i głębokie bruzdy wokół nosa, nie był wszakże starcem, był krzepkim mężczyzną. Ta jego zmięta gęba wydawała się dziwnie migotliwa, jakbym co chwilę na kogoś innego patrzył: spojrzenie rzucał a to dobre, a to kamienne, a to groźne, a to wesołe, zwodnicze przez swą nieustanną zmienność. Mnóstwo masek zamiast jednej czytelnej twarzy, co chyba nie tylko we mnie budziło strach.

- Tedy poręczasz, że nic nam tutaj nie grozi, Perktaricie? - spytał Fulwiusz.

- Ręczyć może człowiek jeno względem siebie samego, przyjacielu, a i to zwykle omyłką bywa - burknął Perktarit.

- Wywróż nam coś. Mówiłeś, żeś krew widział, i że nie wiesz czyją, wróżu. Spróbuj raz jeszcze.

- Pewnie krew Selminy. Drugi raz zobaczę to samo.

- Więc wywróż mi... wywróż mi przyszłość Rzymu, może to ci się uda.

- Każde dziecko wam powie, że miasto Rzym nie ma już rzymskiej przyszłości.

- Póki nie padło, nic nie jest przesądzone. Zresztą rzymski gród to jeszcze nie cały Rzym... Wywróż mi przyszłość świata, który stworzyła Roma.

Perktarit pokręcił głową:

- Taka wróżba wymaga czasu, nie chwili, wymaga światła księżycowego, nie zaś słonecznego, wymaga przygotowań długich, Rzymianinie. Mogę i od ręki spróbować ujrzeć coś, pijąc szalej i patrząc w płomień, lecz zrobię to, jeśli zostawisz mi dużo jadła. Tyle, by starczyło na kilkadziesiąt dni.

- Komu miałyby służyć zostawione ci jadro? Martwi nie potrzebują jadra, a ty chcesz się opić szaleju!

Perktarit bez słowa wszedł do chaty i wrócił niosąc wąską buteleczkę.

- Cykuta stężona zabija, bardzo rozcieńczona usypia, średnio rozcieńczona wywraca chwilowo mózg. Wtedy widzi się daleko.

- Jak daleko zobaczysz, Perktaricie?

- Nie wiem, wodzu. Podpal kraniec tego bala.

Kiedy już ogień buchnął, wieszczek łyknął cykuty i przewiercił ślepiami płomień, niby głodna żmija żabę znieruchomiła ze strachu. Później chwycił go drgawki, wybałuszyły mu się białka ślepi, a usta wypluły jedno tylko zdanie:

- Inteligenci zakochują się w marksistach, marksiści zakochują się w sobie, a rewolucjoniści po zwycięstwie stają się najgorszymi z despotów.

Nim wróciła odurzonemu przytomność, padło szydercze warknięcie Regi:

- Typowy wieszczy bełkot, pełen dziwacznej, hermetycznej lub cudzoziemskiej terminologii, aby nikt normalny nie mógł zrozumieć!

Przytomnemu już Perktaritowi powtórzyłem każde słowo, bom rzeczony wyraził co do jednego, a Fulwiusz zapytał:

- O czym mówiłeś, dalekowidzu?

- Nie wiem... - westchnął Longobard.

- Moi ludzie przywiozą ci zapas jadra jeszcze dziś. Zostań z Bogiem, wróżbito.

Kiedyśmy wracali do obozu, Rega wciąż się zżymał:

- „*Wiec to czas miru*”, ale on przeczuwa krew dziewczki rozlaną pazurami tych łagodnie usposobionych dzikusów! Mam nadzieję, wodzu, że nie porwie cię idealizm „*Wybawcy*”...

Trybun spojrział nań jak na głupka:

- Nie bredź, Rufio! Dla longobardzkiej dziewczki nie poświęciłbym dwóch paznokci moich legionistów i jednej deski z naszego furgonu. Musimy tamtędy bezpiecznie przejść, unikając wszelkiego ryzyka.

Gdy zapadał wieczór, pływałem, mimo chłodnej aury. Głowę miałem pełną dialogu między Fulwiuszem a Longobardem. Czerwone blaski gasnącego słońca tańczyły po falach jeziora niby

swawolne płomyki, w trzinach woda chlupotała rytmicznie od wiatru, a szarość zmierzchu krzepła przy brzegach coraz mroczniejszym całunem. Później próbowałem zasnąć, lecz bez skutku, męczyłem się tylko. Wyszedłem przed chatę. Jasno było od księżyca. Wiatr już ucichł. Najłżejszy powiew nie ruszał rośliną, las też spał. Cisza zdała mi się drugim całunem, który przykrył ziemię, by ludzie mogli wyzuć tłamszącą rzeczywistość z władzy odwiedzając empireum majaków. Bałem się longobardzkiego jutra.

Znowu musieliśmy forsować góry skalistą przełęczą. Zanim jednak zbliżyliśmy się do niej, pożegnał nas mały drewniany kościół, ostatni już ślad chrześcijaństwa tej gockiej rubieży. Był pusty i niszczał szybko. Żaden agresor go nie grabił i nie palił; miał jedynie trzech wrogów: ludzką nieobecność, przyrodę i czas. Zapadał się w rozmokły grunt, a wokół triumfowały dzikie krzewy oraz chwasty. Nad dziurawym dachem wisiało bezchmurne niebo i gęstniała cisza, którą zakłócił trzepot skrzydeł spłoszonych wron, gdyśmy podjechali bliżej. Ludzi modlących się niegdyś tutaj przegnało sąsiedztwo Longobardów.

Całe cztery dni nie widzieliśmy tam żywego ducha prócz ptactwa. Rozpościerające się niżej kotlinki nie były zamieszkane, ani nie wypasano na nich bydła nijakiego. Kilka samotnych szałasów zdawało się istnieć tylko po to, by świadczyć nam o dawnej obecności człowieka w tej dzikiej krainie. Pierwsza wieś, którą zobaczyliśmy przy dalekim strumieniu, liczyła ledwie kilka chałup, które z tej odległości wyglądały jak kaganki świątynne, bo produkowały nitki dymów snujących się ku sklepieniu nieba. Druga wieś, położona równie daleko od przełęczy, i równie nisko, liczyła już więcej chałup, tak samo miniaturowych, bo dystans sprawiał, że przypominały klocuszki dziecięce rozrzucone tu ręką giganta. Ale czuło się, że pulsuje tam mrówcze życie - kobiety wskrzeszają zmarłych pradziadów rodząc wnuki, mężczyźni tęsknią do przelewania krwi nie tylko zwierzęcej, a starcy kochają pleść klechdy, i chociaż dysponują skromnym zasobem wyrazów, budują historie fascynujące, które pamięć pokoleń przechowuje długo.

Kiedy zeszliliśmy w niższe, już tylko pagórkowate obszary tych ziem, ujrzeliśmy dalekie ściany borów, a bliżej dzielone nurtami rzek doliny. Nie kryliśmy swego marszu. Z wozami i babami, z końmi i osłami, z dwiema setkami ciężkozbrojnych legionistów i z cherlakami służebnymi nienawykłymi do wysiłku terenowego, musieliśmy trzymać się kupieckich traktów, wioskowych gościńców i co szerszych ścieżek. Droga poprzez lasy byłaby może bezpieczniejsza, lecz w nich stawiałyby tamę wiatrołomy i wykroty, zaś droga przez otwarte pola byłaby krótsza, tylko że grożąca bagnem, rowem czy rzeką bez znanych brodów.

Pierwszego człowieka zobaczył Atenajos. Sunęliśmy właśnie wzdłuż wysokich zagajników na skraju puszczy, kiedy szepnął do Rufusa:

- Patrz, ktoś tam biegnie!

Wbiliśmy wzrok w ciemną gęstwę rudych gałęzi, by dostrzec, że to tylko wiatr uniósł z ziemi garść jesiennego listowia.

- Zwierzak jakiś, albo ci się przewidziało... - mruknął Rufus.

- Nic mi się nie przewidziało, nie miewam zwidów, to był młodzik okryty futrem! - zaperzył się „Ptak”. - Biegł ze skrzydłami u nóg, jak bóg Merkury.

- Więc to był pewnie bóg Merkury i pobiegł na Olimp Zeusa! - parsknąłem, nie tłumiąc śmiechu.

Lecz mnich miał rację. Milę później zobaczyliśmy u zakrętu drogi jeźdźca, który wyczekał aż się



zbliżymy, i wtedy coś krzyknął. Nikt go nie rozumiał, prócz Atenajosa i Gotów. Fulwiusz rozprostował rękę, dając znak pokoju i równocześnie znak wstrzymania marszowej kolumny. Spytał Adaloalda:

- Czego on chce? Błogosławi nas, czy grozi nam?

- Pyta dlaczego wkraczamy w głąb ich terytorium, wodzu.

- Powiedz mu, że zmierzamy ku ziemiom między terenami Longobardów, Turyngów i Słowian. I że mamy pierścień króla Teudeberta, glejt komesa Hildirika, oraz przyzwolenie króla Trygemina.

- Przyzwolenie króla Trygemina?!... - rozdziawił gębę (i wzrok) Adaloald.

- Kochany gocki sojuszniku, nie tylko u Gotów czy Longobardów, lecz i u Rzymian kłamstwo póty jest prawdą, póki ktoś nie dowiedzie, że jest brechtą! - wyjaśnił mu wesoło trybun. - Oni nie zdążą sprawdzić czy łżemy.

Sprawdzanie zabrałoby Longobardom bardzo dużo czasu, więc mogliśmy nie ryzykując wycierać sobie gębę Trygeminem. Kiedy dwa dni później zobaczyliśmy mały orszak komesa Geilimera, dialog był pełen życzliwych uśmiechów.

- Witaj, „*Soterze*”, chlubo wojska cesarskiego! - rozpromienił się Geilimer.

- Bądź pozdrowiony, komesie - odparł trybun. - Władasz naszym językiem równie dobrze co mieczem rzymskim, który widzę u twego boku, pewnie to zdobycz wojenna.

- Nie, to dar legata Pompiliusza Severa, u którego boku wojowałem przeciw Sasom. Ma złotą rękojeść...

Miecze ze złotą rękojeścią dawano jedynie w nagrodę za wielkie czyny, dlatego Fulwiusz spytał:

- Jakież to bohaterski czyn przyniósł ci ten honor?

- Raczej szermierski niż bohaterski!... Król Sasów miał dziesiętnika, którego Sasi tytułowali pierwszym szermierzem świata. Ów rębajło wyzwał najlepszego spośród wojsk Rzymu. Pompiliusz uznał, że starczy do pojedynku Longobard, który macha mieczem...

- Geilimerze, wzrusza mnie twoja skromność! - rzekł z szacunkiem Fulwiusz. - Chociaż nie lubiłem Severa, wyznaję, że umiał nagradzać biegłych i mężnych.

- On cię także nie lubił, trybunie, zazdrościł ci przydomków. Uważał, że „*bogiem wojny*” winno się jego zwać. Ja przestałem go lubić, kiedy wręczał mi złoty miecz.

- Daruj, ale nie rozumiem tego...

- Powiedział wówczas, iż żałuje, że nie żyjemy w dobie Tyberiusza, bo mógłby wystawiać mnie

dla zakładów jako gladiatora, i przed upływem roku zbiłby fortunę.

- Też żałuję, Geilimerze, lecz czegoś innego... Żałuję, iż nie byłeś mym towarzyszem broni na polu chwały. Wszelako raduję się, że mogłem poznać tak znakomitego szermierza, i że rozmawiamy bez tłumacza, odpowiada mi bliskość.

We wzroku Rufusa zobaczyłem, że Fulwiusz już z tym kadzeniem przesadza - że niebezpiecznie się bawi. Jednak pochlebstwa przyćmiewają mózg nawet bystrzakom, tedy Geilimer nie wyczuł, że u głębokiego spodu każdej frazy „*Sotera*” fikają nogami chochliki drwiące. Syty komplementów, wskazał swój orszak dłonią:

- Znajdziesz tu licznych mówiących waszym językiem, bo wielu należało do legionu Gemina, który nie istnieje już. Czy w ogóle istnieje jeszcze jakiś legion?

- Spytaj czy w ogóle istnieje Roma - westchnął mój ojciec.

- Pono ty głosisz, iż jesteś Rzymem, sławetny „*Wybawco*”... - zakpił Longobard, szczerząc biel zębów.

- Widzę, że szybko rozchodzą się wieści i cytaty...

- Tę twoją przechwałkę, znaną już dobrze Gotom, przyniósł mi mój człowiek, który pomagał Seranusowi Cimberowi szukać jakiegoś bacika, lecz pokłócił się z Egipcjaninem Haforem i nie chciał dłużej brać rzymskiego żołdu. Co tam u twego wroga, Seranusa, „*Wybawco*”?

Fulwiusz wzruszył ramieniem:

- Ciągłe jest nieżywy.

- Od kiedy?

- Od spotkania ze mną.

- Ach tak... - przestał szczerzyć kły Geilimer. - Twój wrogowie dość krótko żyją, Fulwiuszu...  
Pytanie: jak długo żyją twoi sojusznicy? Nie widzę przy tobie konsula Valerianusa. Czy również opuścił ten padół, aby być ciągle nieżywym, „*Wybawco*”?

- Opuścił mój tabor, lecz darowałem mu życie. Popędził do Konstantynopola.

- A ty gdzie tak pędzisz?... Strasznie szybko gnałeś od Tybru na północ!... Musiałeś przejść ziemie kilku plemion i szczepów, ich przywódcy byli dla was wielce łaskawi, ciągle żyjesz!

- Ich dobrą wolę zyskiwałem dobrym słowem, dobrym złotem i dobrym mieczem, różnie bywało.

- A jaką broń chcesz zastosować u nas, pierwszą, drugą czy trzecią, dobry człowieku?

- Preferuję dobre słowo, Geilimerze.

- Zdziwisz się, przybyszu, lecz mnie bardziej uradowałaby druga.

- Odkąd zebrałem ponad dwustu ludzi, nie muszę stosować drugiej. Jednak zapłacę ci myto. Chcemy pójść dalej na północ w spokoju.

- Wolna droga, Rzymianie! - krzyknął komes. - Mamy akurat czas spokoju, czas miru wiecowego, nie turbujemy grzecznych gości. Gdy jeszcze zechcesz zaszczyścić ten wiec swoją obecnością, będę bardzo rad. Wyprawię dla was godną ucztę.

- Będziemy podczas niej pić twoje zdrowie, mężu królewskiej córki - zrewanżował się dwornie Fulwiusz.

Rega nie został przekonany, iż łaskawość „*tego dzikusa*” bierze się z praw czasu wiecowego; sądził, że to raczej słabość wojskowa, determinowana faktem, iż najlepsi longobardzcy woje poszli dobywać Rzymu. Przykazał oficerom szczególną czujność. Ja miałem wtedy swoje zdanie względem tej grzeczności Longobarda. Uderzyła mnie bowiem powtarzalność zachowań barbarzyńskich wodzów w zetknięciu z „*Rzymem*” reprezentowanym przez Fulwiusza i jego wojsko. Dotarło do mnie, iż wszyscy oni, bez wyjątku, zachowują się tak, jakby chcieli odrobić tę samą lekcję: każdorazowo starają się być rycerscy i kurtuazyjni, mimo (a może właśnie wskutek) swych kompleksów, urazów i serc pałających gniewem lub nienawiścią. Od Guntamunda Franka począwszy, skończywszy zaś na Geilimerze, wszyscy pragnęli dowieść - bardziej chyba sobie samym niż Fulwiuszowi czy Valerianusowi - że są wzorem ogłady rzymskiej, nie zaś barbarzyńską dziczą. Mieli już poniekąd prawo do takiego silenia się, gdyż romanizujące ściganie rzymskiego ideału zdążyło ucywilizować kilka barbarzyńskich ludów, zwłaszcza arystokrację plemienną. Gorzkie są słowa prezbitera Marsylii, Salviana, który za mej młodości pisał, iż wielu wykształconych obywateli Rzymu, synów dobrych rodzin, chroniło się u Gotów bądź u Franków „*szukając rzymskiego człowieczeństwa pośród barbarzyńców, albowiem nie mogli już dłużej znieść barbarzyńskiego braku człowieczeństwa pośród Rzymian*”. Szło mu o niechrześcijańskie stosunki wielkomiejskie, o wyzysk, grabież, drapieżną dominację bogatych nad biednymi, o konkurencję nieznaną zmiłowania, o szerzącą się rozwiązłość i hańbioną sprawiedliwość. Lecz takie świadectwo biskupa mówiło zarazem dużo o regułach przyzwoitszego współżycia nominalnych „*barbarzyńców*”. Longobardowie nie należeli jeszcze do tych zupełnie rozdziczonych plemion, wszelako ich codzienne obyczaje były bardziej surowe niżli obyczaje amoralnego Rzymu (były bliższe obyczajom „*Rzymu drewnianego*”), a longobardzka wierzchnia warstwa lubiła już pretendować do dworskiej językowej ogłady, demonstrować grzeczność wedle starorzzymskich wymogów. Geilimer, eks-legionista, był takiego teatru ucieleśnieniem.

Piszę: teatru, ponieważ Geilimer nienawidził wszystkiego co rzymskie, a naśladował ideał rzymski. Można więc ścigać idealne normy obiektu znienawidzonego, kiedy zazdrości się wrogom ich kulturowego górowania. Przeciwnieństwem jest szczerze dążenie do ideału - wskutek głębokiej miłości ku twórcy tego ideału. Takim u niektórych chrześcijan bywa naśladowanie Chrystusa miłosiernego. Któż jednak winien Go ściślej naśladować aniżeli Ojciec Święty, który pełni rolę

Bożego namiestnika dla ludów? Tymczasem papieżę całą swą energię wyczerpują dla gabinetowych knowań, gier i spisków. Ukryci w mrocznych komnatach szeptów - kultywują ciemność, lekceważąc jasność. „- *Kto za mną idzie, ten nie chodzi w ciemnościach*” - powtórzył święty Jan słowa Chrystusowe. Kreta ryjącego gwoli korzyści ziemskiej naśladowają, miast naśladować gołębia niosącego gałązkę oliwną do wszystkich ludów. Wzgarda przepelnia mnie gdy myślę o tym. Marzę, iż kiedyś zjawi się papież-pielgrzym, który imitując Chrystusa będzie głosem pozbawionych głosu i przywdzieje strój wielkiego nauczyciela drepczącego szlakami świata, by mówić ludziom: „- *Nie lękajcie się, bracia oraz siostry!*”. Wątpię jednak czy dożyję tego.

Wiec, na który zaprosił nas Geilimer, miał się rozpocząć kilka dzionków później, przy pełni księżyca. Wtedy nie wiedziałem o takich zgromadzeniach nic; dzisiaj jestem uczeńszy, bo bracia klasztorni wyjaśnili mi dużo. Mogę zatem rzec teraz parę słów. Wiec Longobardów, jak każdy wiec szczepowo-rodowy barbarzyńskich plemion, dawał świadectwo współdziału wszystkich stanów - od komesów do kmieci - w ważnych decyzjach grupy plemiennej. Jedność głosów decydowała o werdyktach. Lecz wielmożom łatwo przychodziło, dzięki pomocy wróżów i kapłanów, dyrygowanie tym senatem ludowym, z romańska zwanym „*colloquium generale*”, albo „*placitum generale*”, albo barbarzyńskim „*parlamentum*”. Najpierw trzeba było uzyskać (spowodować) większość głosów, później ją umocnić (rozszerzyć), wreszcie zaś ostatnich opornych zmuszano (nierzadko kijami) do akceptacji tego, czego chce większość - i tak zyskiwano jedność, konieczną dla uchwały wiążącej.

Księżycowa pełnia miała przyjść trzynastej nocy w owym miesiącu. Atenajos bezzwłocznie zauważył:

- Trzynastka jest liczbą pierwszą, według matematyków szczęśliwą, chociaż według rymopisów liczbą feralną, ergo: wraża. Komuś los poszczęści, a komuś pisany duży pech.
- Jak rudzi wyłysieją tej nocy, to będzie duży fart czy duży pech? - spytał Rega.
- Jak twój kalafior zakwitnie tej nocy, to będzie prawdziwy cud - odparł Atenajos. - Wolisz kalafiora zgniłego, czy śniegi kopne?

Dzień przed porą wiecu Trygeminowa córka, Herlina, i jej mąż, komes Geilimer, wyprawili obiecaną ucztę dla gości. Jedzenie nie było wyszukane po rzymsku, lecz zastawa stołowa była prześwietna, godna biesiady patrycjuszów. Geilimer wznosił toasty pucharami ze szczerego złota, a główny toast brzmiał jak wróżba triumfu ostatecznego:

- Pijemy teraz zdrowie królowny Herliny, przyszłej niepodzielnej władczyni Longobardów!

Wszyscy wielmoże longobardzcy poderwali się z miejsc, chóralnie wiwatując. To zmusiło i nas do wstania, choć nie piliśmy duszkiem jak oni. Tylko Herlina siedziała bez ruchu, a jej wzrok pozostawał zimny niczym kamień. Była piękną niewiastą, młodą, czarnowłosą, co przy bladej cerze dawało kontrast smoły i śniegu (zupełnie jak u Terencji, lecz Terencja była starsza i rysami niepodobna, bardziej szczupła i bardziej subtelna). Ramiona zakrywała cienkim szalem z tej najmiększej wełny, która rośnie owcom pod szyjami, a przeguby dłoni uzbroiła bransoletami

mającymi kształt węzów. Prawie niczego nie brała do ust (my też jedliśmy skapo, chociaż bez obawy trucizny, gdyż każdy kładł sobie jadło ze wspólnych mis, zaś mięsiwo krojono z dzików w całości pieczonych na rożnie). Mogłoby się wydawać, iż przeżywa stan półsennego letargu, gdyby nie krótkie spojrzenia, które rzucała Terencji, odwzajemniane równie migotliwą wrogością. Kiedy spełniono toast, Rega zagaił pytaniem:

- Szlachetny Geilimerze, czy u Longobardów wiele już było kobiet sprawujących władzę królewską?

- Nie było żadnych, lecz nic nie stoi na przeszkodzie, by Longobardka z królewskiej rodziny zyskała berło - wyjaśnił Geilimer. - Prędzej lub później to się zdarzy. Wszak kobieta jest patronką Longobardów od najdawniejszych czasów, gdy jeszcze nie zwaliśmy się Długobrodymi, tylko Winnilami, i ona dała nam dzisiejsze miano.

- Kim była? - zapytał Fulwiusz.

- Boginią, i ciągle jest naszą boginią, czcimy Freję, połowicę Wotana, o którym Rzym słyszał wiele razy.

- Rzym słyszał, że Wotan to bóg Wandalów...

- Wotan to bóg rozmaitych północnych plemion, Rzymianinie. Na najdalszej Północy, za morzem, nosi imię Odyna. Gdy my byliśmy jeszcze Winnilami, dowódcy Wandalów prosili Wotana, aby zezwolił im nas zwyciężyć, lecz Wotan przyrzekł: „- *Których pierwszych ujrę jutro o wschodzie słońca, ci zwyciężą*”. Więc Winnilowie zwrócili się z prośbą do Freji, małżonki Wotana. Wysłali z tą prośbą kobietę, Gambarę, mac Ihora i Agia, którzy byli wodzami Winnilów. Freja poinstruowała Gambarę: „- *Niechaj jutro o świtaniu zbiorą się na wschodzie żony Winnilów, i muszą mieć włosy rozpuszczone tak nisko, by udawały brody długobrodych mężów*”. Kiedy dnia kolejnego słońce zaczęło wschodzić, Freja obróciła twarzą ku wschodowi łoża małżonka i przebudziła go, a on, ujrawszy z dala wielu brodatych, pytał: „- *Kim są ci długobrodzi ludkowie?*”. Freja wtenczas powiedziała mężowi: „- *Nowe nazwanie dałeś im już, daj im teraz zwycięstwo*”. Dał im zwycięstwo. Odtąd Winnilowie nazywają się Długobrodymi, Longobardami; Wotan, pasterz bitwy, został ich bogiem; zaś Freja, bogini miłości, została opiekuńczym bóstwem Longobardów.

- Bogini przebiegłości jako bogini miłości... to całkiem sensowne - mruknął Rega. - Geilimerze, spryt kobiet zawsze budził we mnie poczucie niższości, daję słowo!

- Czyż nie jest ona, jak już gdzieś słyszałem, boginią śmierci? - nadmienił Atenajos.

Wargi Geilimera skrzywił gniew:

- Kiedy starszyzna rozmawia, nie wtrącaj się, gołowąsy mnichu!... Owszem, Freja jest także boginią zmarłych, rzuca się do jej stóp trupy wrogów, podobnie jak Wotan to nie tylko bóg bitwy, lecz także bóg śmierci, magii, mądrości, rymów, wszystkiego!

- Czy Wotan i Freja, będąc bóstwami miłości i śmierci, chronią od śmierci tych, których darzycie miłością? - zapytał z miną poczciwca trybun.

- Kogo masz na myśli, Rzymianinie?

- Waszego króla, którego ty darzysz miłością, i którego kochają dwie jego córki, i którego kocha cały wasz lud, Geilimerze. Trygemin ryzykuje gardło pod murami Rzymu. Przy okazji: czemuż to nie widzimy wśród zebranych tutaj Silminy, drugiej córki królewskiej, a siostry małżonki twojej?

- Bo to siostra przyrodnia, z innej matki, kiepskiego rodu! - odparł Geilimer.

- Lecz pono starsza, więc w kolejce do tronu pierwsza...

- Już nie, bo popełniła cudzołóstwo, a to Longobardowie karają bez litości. Nazajutrz sądzona będzie.

- Przez królewski trybunał? Z udziałem królewskich sędziów?

- Z udziałem longobardzkich dostojników, przez wiec rodowy, którego wyroki stanowią dla nas święte prawo. Sam król, choćby i chciał, nie mógłby puścić cudzołóstwa płazem.

Zapadła cisza. Herlina zerknęła ku Terencji, a ta odpowiedziała wzrokiem równie smagającym, pełnym wstrętu. Kobiety pojedynkujące się oczami przerastają w nienawiści nawet erynie, greckie bóstwa zemsty i kary; żaden mężczyzna nie wykrzesałby aż tyle wzroku zjadliwego. Żrenice Herliny syknęły: „- Ciesz się, cudzołożnico, że nie jesteś moją rywalką i nie żyjesz pośród Longobardów!...”. Oczy Terencji plunęły: „- Martw się, barbarzyńska suko, że twój bóg zesłał tobie brodatego pajaca, a nie Fulwiusza, z zazdrości uschnij!...”. Dwa sztychy żrenic, krótkie niby równoczesny błysk dwóch piorunów. Rega też spostrzegł. Lecz trapił się czymś innym, krępującym milczeniem dwóch wodzów, więc przerwał to chwilowe milczenie frazą łagodzącą:

- Wasze rządy, komesie, są waszymi problemami, nam nic do waszych obyczajów i praw, chcemy tylko ucztować, potem nocować, a potem wędrować dalej. Wypijmy tedy za zgodę, za skuteczność waszego wiecu i za świetność waszego rodu. Jutro wstaniemy, zjemy, oporzadzimy się, i ruszamy.

- Nie jesteście ciekawi wiecu? - zdziwił się Geilimer.

- To dla nas honor, panie, że zapraszasz Rzymian jako świadków wiecu, lecz nie chcemy przeszkadzać w tak ważnym zgromadzeniu, które roztrząsać będzie longobardzkie sprawy, co do nas nie należą.

- Odrzucenie przez gościa takiego zaproszenia to u Longobardów zniewaga! - wycedził komes. - Gdy zaufał wam nasz król, Trygemin, musimy was honorować jako szczególnych gości Longobardów.

Rufus bardzo pragnął niechać wiecu (a zwłaszcza sądu), lecz pojął, iż trud jego próżny. Skłonił głowę, dziękując:

- Przyjmujemy zatem ów honor pełni wdzięczności, wodzu. Wznowimy marsz kiedy skończy się wiec.

Rozładował tymi słowy krótkie napięcie, zwracając biesiadzie ducha swobody, który się zamienił w rubaszność gdy kobiety zwyczajowo zostawiły mężczyznom podochoconych rzeką trunku. Przed północą wszyscy byli już pijani mniej lub bardziej. Komes bardziej. Wtedy wypocił coś, co go dręczyło od dawna:

- Czy... czy jadąc ku naszej ziemi, nie spotkaliście tego... no, tego...

- Którego... no, którego?... - spytał Fulwiusz udający pijackie zamroczenie.

- Wieszcza naszego... Perktarita...

- Widzieliśmy tego... tego waszego Perktarita, Longobardzie, ouupp! - czknął Fulwiusz.

- I co?

- Jak to: co?

- Co mówił?

- Bre... bredził.

- Co bredził?! - zapytał Geilimer przytomniej, wskutek strachu. - O Herlinie i o Selminie bredził?

- Skąd! Bredził wróżby dla nas. O mitraistach, Longobardzie.

- O mitraistach?!

- Tak jest, o mitraistach! Że rozumni zakochują się w mitraistach, i że mitraiści za... zakochują się w sobie, a buntownicy to skurwysyny, najgorsze skurwysyństwo!

- Buntownicy?! - jęknął Geilimer. - Perktarit mówił ci, że ja chcę buntu?

- Nie, mówił o rewolcie mitraistów, głuchy jesteś, kolego?...

- Z całym szacunkiem, wodzowie, ale Perktarit nie mówił o mitraistach! - wtrącił się Rufus. - Gadał o marsistach!

Geilimer zwrócił teraz siną twarz do Regi:

- O kim, sługo?

- O marsistach, więc pewnie o podopiecznych boga Marsa, czyli o żołnierzach. Bełkotał, bo był uchlany wywarem, lecz słyszałem dobrze co mówił. Mówił, że rozumni zakochują się w marsistach,

a marsiści w sobie, tak mówił! No i o buntownikach...

- O Longobardach?! - jęknął znowu Geilimer.

- Nie, o tych, którzy się przeciw Marsowi buntują. Że to najgorsze skurwielstwo, kiedy się już dorwą do rządów!

- Ja chcę się dorwać do... do wyra, ledwom żywy. Czas spać, panowie! - zarządził Fulwiusz, grając pijanego.

- Czas pić! - ryknął uspokojony Geilimer.

Pili, póki komes nie zasnął z łbem w rozlewkach, na blacie stołu. Kiedyśmy wracali ku wozom, Caeliusz spytał:

- Czemu im tak bardzo zależy, aby w naszej obecności wiecowano?

- Gdyż boją się nas - wyjaśnił mu Fulwiusz. - Są tu dwie przyczyny. Po pierwsze, nie wiedzą jaki mieliśmy kontakt z Trygeminem, jaką zażyłość. Herlina i jej mąż eliminują drugą córkę króla, licząc, że król zginie u bram Rzymu, albo też mają wsparcie części wielmożów longobardzkich i szykują antykrólewski spisek, a boją się, że moglibyśmy wysłać do Trygemina kurierów. Po drugie zaś - nie chcą, byśmy wędrowali przez Longobardię bez ich zbrojnej eskorty. Zjechały się tu na wiec prawie wszystkie dobre włócznie i miecze, jakie mają, reszta tkwi wokół Rzymu. W terenie zostawili baby, starców, młodzików, czeladź oraz chłopstwo. Dlatego pragną, byśmy nie jechali przez ziemię, która jest właściwie bezbronna. Dopiero kiedy wiec się zakończy, Geilimer da radę pilnować zbrojnie każdej mili naszego marszu.

- A jak się mu zachce, to da radę uderzyć, mir wiecowy nie będzie już obowiązywał! - prychnął Caeliusz ponuro.

- Tego raczej nie zrobią. Nie mają w tym żadnego zysku, a krwi własnej upuściliby co niemiara... Gdyby chcieli walczyć, walczyliby tutaj, łamiąc mir pod byle jakim pretekstem. Zachowajmy spokój, to nie wydarzy się nic złego.

- Amen! - przytaknął Rufus.

Kiedyśmy mijali pierwsze straże (dowodził nimi Frontinus Sijan) i zewnętrzne namioty biwaku, zza drzewa ukazał się Longobard owinięty niedźwiedzią skórą, i szepnął ku trybunowi:

- Bądź pozdrowiony, legacie Rzymu, wieczna chwała tobie! Cave, Geilimer te suspicit!\* [\* - Strzeż się, Geilimer cię podejrzewa (łac).]

- Kim jesteś? - spytał Fulwiusz.

- Twoim żołnierzem, wodzu, służyłem ci kilka lat. Legion Victrix.



- Czemu mnie ostrzegasz?

- Bo żyję dzięki tobie, „Wybawco”. Nie zostawiłeś nas, kiedy odcięto mój manipuł na bagnach zakola Łaby. Mogłeś uchodzić, a wróciłeś, by nie dać nas wyróżnić.

W mroku błysnęły białe zęby, i nim zniknął jak duch ciemności, padły jeszcze trzy słowa, których nie rozumiałem, bo szczeknął po longobardzku:

- Treue urn Treue!\* [\* - Wierność za wierność! (germ.).]

Później Atenajos rzekł mi co to znaczy.

Nadeszły teraz nocki źle przespane, bo wiece barbarzyńcy zaczynają o pełni albo o nowiu. Wiecowano wokół sanktuarium, którego punktem centralnym był słup rzeźbiony, wyobrażający ich boga. Otaczał tę drewnianą strukturę rozległy plac ze świętym gajem, gdzie królowały święte dęby, i gdzie zazwyczaj mogli wejść tylko kapłani i ofiarnicy, a podczas wiecu delegaci szczepów i rodów. My musieliśmy tkwić za zewnętrzną palisadą, dość daleko od słupa, tedy widzieliśmy niewiele. Mało nas jednak ów cyrk obchodził - nudziliśmy się, ziewaliśmy, przydrzemywaliśmy półleżąc, i zatykaliśmy nozdrza gdy wiatr zmieniał kierunek, pędząc ku nam smród ciał tłoczących się wokół chramu. Tylko raz stawiłem wyżej uszy, bo Adaloald tłumaczył Redze tajniki misteriów:

- Każdą wróżbę trzeba potwierdzić drugą wróżbą, inaczej przeprowadzaną. Losuje się białe i czarne gałązki, lub też kolanka gałęzi z wyciętymi znakami nakrywa się darnią, a darń kłuje się włócznią, której ostrze trafia to bądź inne kolanko z tym bądź innym wyrokiem. Główna wróżba jest dziełem rumaka bez siodła.

- Czyjego rumaka? - zapytał przysłuchujący się Fulwiusz.

- Świątynnego, specjalnie hodowanego w sanktuarium, i pasionego w gaju świętym. Ten święty biały koń, prowadzony przez pierwszego kapłana chramu, stąpa wśród rozrzuconych włóczni, jedne wymijając, a inne potracając. Od tego, jaką potraci, zależy wróżba.

Czwartej nocy biały koń miał decydować o losie Selminy, córki króla Longobardów. Adaloald rzekł:

- Będzie leżała tylko jedna włócznia. Koń będzie stąpał nad tą włócznią tak długo, aż ją potraci. Jeśli trąci przednim prawym kopytem, nogą życia, to wskaże niewinność. A jeśli przednią nogą lewą, śmiertelną, to znaczy kaźń.

- A jeśli tylną? - spytał Lydus.

- To jutro powtórzą procedurę. Będą tak czynić póki we włócznię nie uderzy przednia noga.

Teraz odezwał się drżącym głosem Atenajos:

- Jeśli noga będzie lewa, to jaką wymierzą kaźń?

- Bardzo okrutną. Włożą Selminie na szyję powróż, rozdzieją do pasa, i będą ją prowadzić wzdłuż szeregu kobiet zamężnych, a te będą siec nieszczęsną kijami i witkami, póki nie zemrze... Truchło utopią w trzęsawisku. Zdarza się, że topią półżywą, jeszcze dychającą, drągami pchając pod taflę bagna.

- Żle! - westchnął Marcipor.

- Nie musi być źle... przecież rumak może prawym kopytem włócznie trącić... - wyszeptał Atenajos.

„*Pies Regi*” splunął mu na but:

- Jużś zapomniał co Perktarit wróżył, „*Ptaku*”?

- Nie, ale skąd wiesz, że słusznie gadał? Koń to koń, może trącić prawą, jak Adaloald mówił...

Got uśmiechnął się pod wąsami szyderczym grymasem:

- Trąci lewą, mnichu. Jeszcze dzisiaj, zaraz.

- Skąd wiesz, że lewą?!

- Dla takich igrców, czyli od tego, by tak jak trzeba trącił, ma się kapłanów ćwiczących konie. Perktarit nie chciał zostać współuczestnikiem mordy, który zaplanowano. Biały rumak uspokoi tłum, pokazując, że jest winna, i że bóg żąda śmierci kobiety wszetecznej.

Tę nieszczęsną prowadzono do wiecowego kręgu blisko nas. Musiano ją dręczyć już, bo miała wystrzępioną suknię, włosy w nieładzie i siniaki. Z tych złotych włosów sterczała słoma, a ze skrępowanych ramion zwisał rzemień. Przekraczając bramę palisady, uniosła głowę i odwróciła twarz. Jej błędny wzrok zatoczył koło, jakby szukała czegoś, i rozbłysnął na moment. Zrobiła wtedy cztery kroki do tyłu, ku fłance ogrodzenia, lecz szarpnięta rzemieniem upadła, a gdy ją podniesiono, została wepchnięta między pale bramy i zniknęła nam z oczu. Nam, to znaczy Adaloaldowi, Liutperdowi, Rufusowi, Caeliuszowi, Atenajosowi, Dorusowi, Lydusowi, Marciporowi i kilkunastu towarzyszącym trybunowi gwardzistom - wszystkim, oprócz Fulwiusza i mnie. Fulwiusz bowiem nie patrzył już w bramę i w stronę tłumu, tylko zerknął tam, gdzie przed chwilą kobieta utopiła swój błyszczący wzrok. Moje źrenice powędrowały za spojrzeniem trybuna, i zobaczyłem to samo co on zobaczył...

Wracaliśmy skrótem przez las, a więc przez ciemność, bo chociaż noc była jasna, w lesie księżycowe światło ginęło, a nasze trzy łuczywa kiepsko rozświetlały ścieżkę. Wysoko nad nami jęczały wierzchołki drzew tarמושone wiatrem, który zaczął się wzmagać, a gdy wyszliśmy już z lasu, uderzył nas liśćmi porywanymi wokoło. Wtem gdzieś z oddali, z głębi boru, doszedł głos wilka - przeciągły, długi zew. Fulwiusz stanął i spojrzał w tamtym kierunku. Zew się powtórzył, wibrując

rytmicznie i głucho... Twarz mego ojca drgnęła; kiwnął podbródkiem, jakby chciał przytaknąć czemuś lub komuś. Ruszyliśmy dalej. Kilkadziesiąt kroków od obozu wstrzymał nas i rzucił rozkazy:

- Dziewięciu konnych i dwudziestu kuszników ze mną. Reszta kuszników, procarze i łucznicy utworzyć pierścień wokół polany, wzdłuż ścian lasu, dowodzi Rega. Ty bierzesz jazdę, Caeliuszu, czekaj na sygnały przy wejściu gościńca w las. Marciporze, biegnij i zawiadom Frontinusa, że piechota ma z wozów i z tarcz utworzyć wokół obozu mur. Goci także wewnątrz. Sygnał dam piszczałką, dwukrotnie. Pół średniej klepsydry i zaczynamy. Ruszać!

Pięści uderzyły o pancerze tam gdzie są serca i gruchnęło chóralne:

- Tyś kazał, wodzu!

Pobiegli ku obozowi, prócz Rufusa, który sterczał jak żona Lota między trybunem, Atenajosem i mną.

- O co chodzi, Rufusie? - spytał trybun.

- Wodzu, to szaleństwo, cóż ty czynisz?! - palnął zdumiony „pies Fulwiusza”. - Dla jednej Longobardki ryzykujesz cały rzymski tabor?!

- Rufio, klnę się honorem, że barbarzynka jest mi zupełnie obojętna, nie dla niej to robię, przyjacielu.

- Więc czemu, na miłość boską?!

- Później ci powiem, tracimy czas.

- Ja się nie godzę, wodzu!

- Nie wykonasz rozkazów, które ci dano, żołnierzu?!

- Ten jest szaleństwem!

- Ostatni raz powtarzam: bierz łuczników i manuballistów, i ruszaj! Albo weź swoich ludzi i zjeżdżaj mi z oczu, prędko!

- Których moich ludzi?...

- Twoich bykobójców.

Rega spojrział na mnie ze wzgardą, więc gorączkowo zaprzeczyłem:

- To nie ja, przysięgam, że nie ja!

Uwierzył, bo spytał trybuna wprost:

- Od dawna wiedziałeś, wodzu?

Fulwiusz chwycił go gwałtownie za brzeg pancerza i szarpnął do swojej piersi:

- Od bardzo dawna! Ale nie wiedziałem, żeś już wciągnął w to Kaiusa, łajdaku!

- Nie wciągnął mnie, nawet nie próbował, tylko mi wyznał, iż jest pośród nich, i że werbuje dla nas legionistów z „*Grot*”! - krzyknąłem rozpaczliwie.

Trybun puścił pancerz Rufusa i szepnął złowrogo:

- Kaius właśnie przedłużył ci żywot, werbowniku Mitry!... Nie mam już czasu, wypełń rozkaz lub spadaj!

Kocie źrenice Rufusa załśniły jak od łez. Nigdy wcześniej nie widziałem, by drżał mu głos. Powiedział tak cicho, że ledwie można było usłyszeć przez wiatr:

- Tyś rozkazał, wodzu! Łucznicy, kusznicy i procarze nie zawiodą cię, możesz być pewny! Siła i honor!

- Siła i honor!

Kiedyśmy dobiegali do obozu, ksiądz Damian wyskoczył z namiotu (przeżony żołnierskim szczękiem) i chwycił ramię Rufusa:

- Co się dzieje, barbarzyńcy atakują?!

- My atakujemy!... - burknął Rega. - Módl się o cud, klecho, bo bez cudu pochowają nas wszystkich w tym miejscu, właśnie tutaj, gdzie miejsca jest dużo, więc łącznie się zmieścimy!

- Jasne! Zmieścimy się miejscowo w miejscowym miejscu! - zakpił Atenajos. - Tylko proszę beze mnie, bo ja nie lubię leżeć obok takich, którym nie chce się stawać, gdy jest rozkaz stawać!

- Do mnie pijesz, marchewko?! - zezłościł się Rufus.

- Do ciebie, kalafiorku!... - odpysknął mnich. - Wiesz jak to bywa. Życie jest proste: stoimy stojąc, leżymy leżąc!

Damian tymczasem zagadnął przebiegającego Frontinusa, a kiedy ujrzał mojego ojca wychodzącego z namiotu, ruszył protestować ku niemu:

- Trybunie, mówią, że hazardujesz życiem swoich braci dla kobiety longobardzkiej! Czy to prawda?

- Nieprawda.

- Bogu dzięki! Tedy nie będziesz walczył, Fulwiuszu...

- Będę walczył, ale nie kierując się litością wobec tej ofiary tutejszych praw i knowań.

- Zatem dlaczego?!

- Dlatego, iż Chrystus rzekł: „- *Co czynicie najmniejszemu z waszych braci, mnie czynicie*”! Ona jest duża, a chodzi o braci najmniejszych. Daruje mi ksiądz, lecz nie mam już czasu. Trzeba dobiec tam szybko.

Im się wszystkim wydawało, że jemu chodzi o tę białogłową. Tylko ja rozumiałem, że to bzdura. Kiedy Selminę prowadzono do wiecowego kręgu, i kiedy u bramy zerknęła w bok, a Fulwiusz spojrział śladem jej zerknięcia, moje oczy powędrowały tym śladem również. Zobaczyłem między krzewami a palisadą dwójkę malców. Była noc, lecz ogniska wokół chramu i gęste łuczywa palisady dawały dużo światła, a księżyc w bezchmurnym niebie też robił swoje. Chłopczyk, może pięcioletni, trzymał za dłoń dziewczynkę, może trzyletnią. Dwa biedactwa patrzące na mękę swej matki, przerażone okrucieństwem świata, bezradne jak rośliny, które depcze but. Chłopiec nie płakał, bo pewnie zabrakło mu już łez, tylko wytrzeszczał oczy, zdając się nie wierzyć, iż ta potworność to rzeczywistość. Dziewczynka miała twarz brudną od łez, które płynęły dubeltowym strumieniem wzdłuż jasnych włosów, i częściowo wlewały się do ust, rozwartych i konwulsyjnie drżących. Serce mi pękło.

Bezpieczeństwa wiecu pilnowała na zewnątrz (wokół całej palisady) straż. Kusznicy wystrzelali strażników w mgnieniu oka. Wówczas Fulwiusz krzyknął, pokazując skulone koło krzewów dzieci Selminy:

- Atenajosie, weź tę dwójkę malców do obozu, niechaj służki się nimi zajmą!

I jego konna wataha wbiła się przez bramę na plac wokół chramu. Zeskoczył z siodła dwa kroki od taboretu Longobarda. Wyglądał jak rzymski bóg - złożony pancerz płonął niby lustro refleksami łuczyw, a pysk basiora szczyrzył białe kły, wieńcząc hełm. Geilimer wstał.

- Przychodzisz mnie zabić, Fulwiuszu?

- Spytaj białego rumaka, Geilimerze.

Pod wąsami komesa wykwitł lekceważący uśmiech:

- A chrześcijańskie miłosierdzie? Okaż bliźniemu litość!

- Jestem żołdakiem, nie świętym.

- To jasne, świętymi nie kieruje chuć! - mruknął komes, patrząc ku Selminie, którą już szykowano do smagania śmiertelnego. - Tak ci się ona podoba?

- Tak nie podoba mi się to, co robisz, Geilimerze.
- Bardziej jeszcze nie spodoba ci się, kiedy krzyknę, by was wyróżniło. Masz tu garstkę ludzi...
- A ty masz bezbronny tłum, do świętego gaju nie wolno wam wnosić oręża.
- Tyle kułaków, drągów, palików i kamieni starczy, by was wytłuc na miazgę. Krzyknę, i będzie z wami krucho...
- Krzyknij. Spraw sobie ostatni krzyk w swoim życiu. Gdy ja podniosę rękę, dwadzieścia beltów z kusz przewierci wam gardła. Tobie, twemu kapłanowi i twoim hierarchom. Krzycz.

Geilimer rozejrzał się wokoło, by zważyć swoje szanse, lecz wynik tych obserwacji nie był krzepiący. Wreszcie zdecydował:

- Dobrze, weź sobie ją, Fulwiuszu.

- Biorę też Herlinę, ciebie, kapłana i wielmożów. Jako jeńców. Zostaniecie uwolnieni kiedy przekroczę wasze terytorium i wejdę na bezpieczną ziemię między waszą domeną a domenami Turyngów i Słowian.

Wszystko biegło gładko. Sterroryzowany wiecowy tłumek może i nie przestraszyłby się dwudziestu kuszy i kilku konnych, lecz trochę dalej, gdzieś poza rozświetloną palisadą, były ciemności lasu i dwie setki świetnie uzbrojonych Rzymian; z głębi tego mroku strzelałoby się do celu niby do tarcz. Bez słów dali się pętać starostowie, ale gdy pętaliśmy kapłana, ten ryknął:

- Wotan ukarze was nim zapieją drugie kury! Jego młot spadnie na was jak piorun! Wasz bóg nic wam nie pomoże!

Fulwiusz odparł:

- Nasz Bóg to jedyny Bóg. Wasze bóstwo to drewniany bałwan, rzeźbiony kołek, ma tyle siły co pień każdego drzewa, z którego ludzie robią deski, a czas robi próchno.

- Zobaczymy, Rzymianinie!... - pogroził włodarz chramu.

Wypowiedział o jedno słowo za dużo: „- *Zobaczymy!*”. To niepotrzebne słowo uskrzydliło Fulwiuszowy koncept. Myślał krótką chwilę, i krzyknął:

- Zdjąć mu pęta! Jesteś wolny, wieszczku.

- Czemu zwracasz mi wolność? - zapytał tamten, rozcierając sobie przeguby. - Wystraszyłeś się drewna, „*drewnianego bałwana*”?

- Zwracam ci wolność, byś mógł uwolnić Herlinę, Geilimera i waszych starostów.

- W tej chwili?

- Jutro rano. Powiedziałeś, że @zobaczymy, no to ja chcę zobaczyć gdy tylko zapieją drugie kury, kapłanie. U nas też jest kapłan. Jest starszy od ciebie i trochę słabowity, lecz zna swoje rzemiosło. Przeciwstawimy go tobie, a naszego Boga twojemu bogu. Przyniesiemy tu krzyż. Niech kapłani i bogowie zetrą się ze sobą. I wtedy, jak chciałeś - zobaczymy. Jeśli zwyciężycie ty i twój bóg, uwolnimy waszych i oddamy się w twoje ręce nie protestując. Przysięgam na mój pierścień rycerski i na mą wiarę Chrystusową, że dotrzymam słowa!

Ta propozycja (której pogański kapłan nie mógł odrzucić) zaskoczyła Longobardów i spacyfikowała ich gniew, ale zaskoczyła również legionistów. Pełni niepokoju szeptali między sobą. Rufus milczał. Gdy kładłem się do krótkiego snu, sterczał obok wozu, patrząc w gwiazdy. Raptem usłyszałem czyjeś kroki i głos trybuna:

- Ile ci zostało tego diabelskiego proszku?

- Nic - odparł Rega ponuro.

- Zupełnie nic?

- Garść, prawie nic.

- Co da się wysadzić tym nic?

- Moją własną dupę, jeśli usiądę na tym, bo żeby wysadzić mój głupi łeb, nie starczy, wodzu.

- Masz dupę równie zakutą jak łeb, więc może starczy, Rufio... Szykuj dwa znicze, identyczne, nie do odróżnienia, każdy ze znakiem krzyża. Krzyż na obu musi być taki sam, wszystko musi być identyczne! Ale tylko w jednym garnku będzie krótki, bardzo wolno żarzący się lont, udający zwykły knot.

- Jak bardzo powoli ma się kopcić ten lont?

- Przez dwa „*Pater noster*” do wybuchu. Zdążysz? Świt blisko...

- Zdążę.

- To zasuważ!

- Dużo ryzykujemy... - mruknął Rufus.

- Dużo wygramy, jeśli wygramy. Ja sędzę, że wygramy. Sami zakładnicy niekoniecznie daliby nam bezpieczeństwo, a to da nam bezpieczną longobardzką drogę, bo dzicz przestraszy się potęgi Chrystusa, gdy ujrzy klęskę Wotana. Piorunem szykuj mi znicze, knot i lont. Knot i lont mają być tej samej barwy.

Później rozmówił się z Atenajosem, na końcu zaś z ojcem Damianem:

- Wie już ksiądz, że pragnę, aby krzyż udowodnił swą wyższość ludowi pogańskiemu czczącemu bałwana?

- Słyszałem, synu.

- Do tego trzeba mi, księżu, byś dał na oczach tych pogan modlitwą świadectwo Bożej prawdy. Nie lękaj się iść między tę zgraję barbarzyńców, będziemy z tobą.

- Nie lękam się - rzekł Damian. - „*Ecclesia veritatem non veretur*”\* [\* - Kościół nie boi się prawdy (łac).].

- Tedy się przygotuj, o brzasku idziemy do nich.

Poszliśmy półsetką, wlokąc ze sobą Geilimera. Ciężko mi pisać co się działo dalej, bo chociaż błogosławiłem Fulviusza za to, że ratował Selminę, by otrzeć łzy jej dzieciaków, jak również rozumiem, że imał się każdego sposobu, by zwiększyć nasze bezpieczeństwo - jednak środki użyte przezeń wówczas trąciły bluźnierstwem, gdyż kuglarsko dowodziły wyższości Pana Boga nad bałwanami, czym ubliżyły władztwu i powadze Zbawiciela, który chciał, żeby prawdą, a nie sztuczkami i mocą fałszywych cudów głoszone Jego boskość. Cel nie uświęca wszystkich środków. Więc wzdragam się pisać o tym ze szczegółami. Powiem krótko:

Rufus ustawił fałszywy znicz koło słupa wyobrażającego Wotana, a trybun przemówił do gawiedzi, każąc Geilimerowi tłumaczyć swą mowę dla tych, co rzymskiego języka nie rozumieją:

- Oto znicz, a na nim krzyż Boga chrześcijan, mizerny przy Wotanowym słupie. Zapalimy ten święty znicz, i nasz kapłan będzie się modlił do Chrystusa, by dane zostało świadectwo prawdy. Wy zechciejcie również palić swoje znicze oraz modlić się do swego bóstwa, aby was wspomogło. Zobaczymy kto śle modły ku prawdziwemu Bogu, a kto ku lichemu bóstwu!

Rega podpalił „knot” znicza, Damian uklęknął i odmawiał modlitwę, a longobardzki wieszczek mamrotał swoje zaklęcia, póki garnek nie wybuchł jak malutki wulkan, ścinając nasadę rzeźbionej kolumny. Słup padł z hukiem, ziemia jęknęła, uniósł się obłok pyłu, przerażony tłum wrzasnął. Tylko kapłan nie stracił rezonu:

- Wasz święty krzyż rozleciał się także!

- Mylisz się, durniu! - rzekł Atenajos, dobywając spoza leżącego słupa nietknięty znicz. - Leżymy leżąc, stoimy stojąc, szachrujemy szachrując, koniowodzie!

Teraz Rega podpalił prawdziwy knot, wylał oleistą zawartość na słup, przytknął ogieniek, i Wotan zaczął płonąć.

- Kiedyż twój bóg, ten wielki władca Walhalli, uśmierci mnie Wotanowym młotem lub toporem?



- zapytał kapłana Fulwiusz. - Co go powstrzymuje? Czemu nie razi mnie błyskawicą, czemu nie ześle deszczu, aby zgasić płonący słup, lub gradu, aby rozbić rzymskie głowy na miazgę? Objasnij im, bałwochwalco!

Kapłan drżał, milcząc i unikając wzroku swych pobratymców, którzy patrzyli półprzytomni, tłumiąc strach w sercach. Marcipor wyprowadził z chramu białego konia i włożył mu uzdę, a Fulwiusz dosiadł wieszczego rumaka, mówiąc:

- Zobaczyliście siłę Boga i nicość bałwanów. Ten rumak będzie mnie odtąd nosił, i będzie mnie słuchał jak pies, wy zaś nie ważcie się podnieść ręki na nas, by Chrystus nie rzucił na wasze głowy i głowy waszych dzieci swego gniewu!

Kapłan płakał, a Geilimer milczał, nie tłumacząc. Lecz i bez tłumaczenia tej groźby Longobardowie zrozumieli, że Walhalla jest pusta, bo Niebo należy do Rzymian.

Wyruszyliśmy stamtąd w dalszą drogę nie czując już strachu, i większość błogosławiła wodza, który zapewnił taborowi bezpieczeństwo. Wszyscy się cieszyli, prócz trojga uradowanych jakby mniej. Terencja bowiem spoglądała ku Selminie niczym ku rywalce, choć ani królewna, ani Fulwiusz nie dawali takim obawom podstaw. Jej pałający wzrok mówił wściekle: „- Łatwo go wziąć na słodkie, bezbronne szkraby, barbarzynko, lecz twoje bachory nie zastąpią Justusa i tego dziecka, które ja urodzę półbogu!”. Ksiądz Damian mocno przeżywał triumf swej wiary osiągnięty niegodną metodą, a kiedy mnich zapytał co mu dolega, westchnął:

- Straszyć Chrystusowym gniewem?! Straszyć Chrystusowym bestialstwem? „*Wasze głowy i głowy waszych dzieci*” miałby rozbijać Nazareński Jezus?! Toż On sama miłość!!

- W ramach podziału obowiązków - rzucił przysłuchujący się Rega. - Chrystus to ten od wszechmiłości, a Tatuś-Jehowa to ten od zemsty, trybunowi się przejęczyło, księżu Damianie.

- Wolisz wypędzać handlarzy ze świątyni, czy wpędzać mnie, Kaiusa i Justusa do grobu?! - spytał starca rozzłoszczony Atenajos. - Szachrajstwo zniczów za szachrajstwo z nogami konia! Całuj Fulwiuszowi ręce, miast smędzić! Tymi rękami Chrystus uratował tę kobietę i tych malców, a później nas wszystkich i ciebie też! Bóg tak chciał! Niezbadane są wyroki Jego, lecz i niezbadane są metody Jego!

Mnie nie przekonał owym dictum. Trawiła mi duszę gorycz, gdyż miałem poczucie grzechu bluźnierstwa. I dzisiaj zastanawiam się czy to, co spotkało nasz tabor późną zimą kolejnego roku, było tylko tragicznym wypadkiem, czy karą Niebios za szalbierstwo w imię świętej wiary.

XX.

Drugi to już raz prowadziliśmy zakładników. Wcześniej (z Vicetii) biskupie towarzystwo, tym razem zaś Geilimerowe. Herlina musiała kroczyć jak każdy wzięty Longobard, a Selmina dostała dla siebie i dla swych dzieci własny wóz tudzież służącą. Nie wiem czy podziękowała memu ojcu. Czowała wrogość Terencji, więc chyba woliała nie zagadywać trybuna; zresztą unikała kontaktu z kimkolwiek, a gdy Caeliusz zbyt często kręcił się przy jej furgonie i wdzięczył do urodziwej królowej, wybiła mu to ze łba jakimś słowem lub gestem, co go skutecznie zniechęciło.

Bór wokół chramu był rozległy, jechaliśmy wśród drzew przez tydzień prawie. Na drugim skraju puszczy zobaczyliśmy znowu tego eks-żołnierza legionu Victrix, Longobarda, który ostrzegł Fulwiusza podczas wiecu. Czekał u boku konia spoconego wściekle, musiał zrobić daleką drogę pędząc. Trybun podjechał ku niemu:

- Witaj, żołnierzu, chcesz iść z nami?

- Nie mogę, panie, ale przynoszę ci wiadomość o legionistach.

- O „ostatniej kohorcie”?

- Co?! - zdziwił się Longobard. - Przecież to wy jesteście „ostatnią kohortą”, wodzu!

- Kto tak rzeki?

- Tamci, chłopcy z dwóch legionów, kiedy kilka dni temu gadałem z nimi. Długo kryli się w turyngskich puszczech i górach, a jak usłyszeli o tobie, zaczęli dymać na południe, ciebie wypatrując.

- Zebrałem ledwo manipuł, trzecią część kohorty. Sam szukam „ostatniej kohorty”, gdy dawniej pragnąłem szukać „ostatniego legionu”, bo mówiono mi, że taki się już uformował... Gdzie ich znajdę?

- Za tym pagórkiem gościniec się rozwidli, wodzu. Idźcie ku wschodowi, ku górcom. Są tam grotty, gdzie też wcześniej kryli się jacyś legionieści...

- Mitraiści? - przerwał mu „Soter”.

- Nie wiem, wodzu, ale mało ich tam było. Teraz każdego dnia przybywa, bo z północy dochodzą inni, którzy szukają ciebie.

- Dużo?

- Widziałem może stu. Kupa chorych i rannych, boją się wyjść z gór na otwartą przestrzeń, pod longobardzkie włócznie i toporzyska. Prosili, bym dał ci znać gdzie czekają.

- W ile dni tam zajdę?

- Z całym taborem w pół miesiąca. A samemu, konno, bez gościńców, na przełaj - tylko dwa dni i dwie noce, wodzu.

- Dzięki, przyjacielu.

- Feliciter! \* [\* - Niech się szczęści!; Niech towarzyszy wam szczęście! (łac).] - krzyknął Longobard, wyrzucając ku górze rozprostowaną dłoń, i zawrócił rumaka do puszczy.

Mars zdawał się Fulwiuszowi sprzyjać, mnie natomiast było w tamte dni ponuro - czułem się chory, bez cielesnych oznak chorowania, i nie ja jeden. Księża wzięła prawdziwa boleść, leżał dychając, mszy odprawiać nie mógł. Mnich podział się gdzieś z Custosem, pewnie nie dlatego, że znowu zapragnął samotności, tylko dlatego, że gnębił go wstyd i wyrzuty sumienia. Rufus zamknął się w sobie, całymi dniami nic nie mówiąc i może nic nie słysząc, bo nie reagował gdy się go pytało o jakiegokolwiek sprawy. Mnie gryzła złość na Atenajosa i na Rufusa, że ubliżyli kapłanowi piętnującemu Fulwiuszowe szalbierstwo. Sypiałem źle, miewałem koszmary, budziłem się mokry od potu. Miłość do Fulwiusza walczyła we mnie ze wstrętem do świętokradczego kuglarstwa, bo krzyż, który był mi świętością, potraktowano jako cyrkową piłeczkę, sztukarskie akcesorium, a Chrystusa, który był mi Panem Niebios, umniejszono, czyniąc Go jednym z tych bożków, co bez sztuczek ogłupiających gawieź nie przetrwaliby kilku dni. Pragnąłem, by ukazał mi się - jak to już bywało - mój dawny mistrz, Philomusus, i by ukoił mi duszę swoją mądrością. Wiedziałem, że przyjdzie do któregoś mego snu, gdyż czynił to zawsze kiedy rozdzierały mnie bolesne wątpliwości, ale tym razem zdawał się ociągać, mijała noc za nocą bez jego udziału. Wreszcie pewnej nocy poczułem gorzkie mdlenie brzucha. Musiałem chyba zjeść coś niedobrego, bo ledwie wybiegł z namiotu, już chwyciły mnie gwałtowne nudności. Rzygałem kilkakrotnie, później przepłukałem usta wodą, i w końcu przepiłem wstrętny smak winem, lejąc je do gardła niczym Bachus. Potem padłem na wyrko jak kłoda, i wtedy zacząłem śnić ów sen.

Nie było to wewnątrz komnaty - raczej sali, a może dziedzińca lub forum, trudno określić, gdyż wskutek gęstej mgły nie widziałem ścian. Stąpałem wolno, wyciągając ręce, bałem się szybciej tam sunąć. Pierwsze słowa mistrza dobiegły mnie zza pleców:

- Jestem tutaj, chłopcze.

Odwróciłem się i ujrzałem go w dziwnej postaci. Był prawie przezroczysty, jakby wysnuty z mgielnego oparu - cały falował jak dym bujany wiatrem, a rozpoznałem go bardziej przez głos niżli przez twarz.

- Witaj, mistrzu.

- Pamiętasz co mówił Rega, Kaiusie?

- Kiedy, mistrzu?

- Wtedy, gdyś odbył z nim pierwszy długi dialog. Rzekł ci wówczas: „- *Wynajduj!*”; radził ci kierować się zawsze rozsądkiem wynajdującym sposoby.

- Tak mi radził, mistrzu, ale ty wcześniej tak czyniłeś, każąc mi kierować się mądrością.

- Ja jednak nie wynalazłem perswazji za pomocą sposobów, ergo: praktycznych przykładów, a tym chyba lepiej niż cytatami z filozofów można trafić do umysłu młodego człowieka. Gdybym ja wynalazł tę metodę - wskazałbym ci latarnię morską na wyspie Faros, którą kazał budować król Ptolemeusz. Jej budowniczy, Sostratos z Knidos, ozdobił mur wielkimi literami kutymi w kamieniach: „*Sostratos Knidyjczyk, syn Deksifanesa, bogom wybawcom dla ratowania żeglujących*”, po czym zamaskował tę sygnaturę wapnem, na którym ułożono imię króla Ptolemeusza. Wiedział, iż kiedyś, po jego śmierci, wapno wykruszeje, wypłucze się i zniknie, odsłaniając sygnaturę kamienną. Piękna sztuczka! Wszakże przykłady sprytu służyły Redze do głębszej konkluzji - radził ci samodzielnie myśleć, wbrew wyświechtanym kanonom, używać własnego rozumu.

- Tak, mistrzu, polecił mi wtenczas „*sztukę myślenia*”, zwąc ją sztuką najważniejszą.

- Obaj więc wpajaliśmy ci to samo, dla twojego dobra. Chociaż ja byłem filozofem, a Rega był żołnierzem, wyznawaliśmy podobny...

- Czemu mówisz o nim, że był, mistrzu?! - przerwałem zjawie. - Rega żyje wciąż!

- Nikt nie żyje wciąż, drogi chłopcze, każda ludzka chwila za moment jest już byłą, a każdy żywot jest chwilką historii. Kiedym ja pomarł, Rega przejął opiekę nad tobą, nad twoim dorostaniem i umysłem, lecz nie nad twoim łaknącym boskości duchem, gdyż był równie uczciwy wobec ciebie jak ja. Obaj nie mieliśmy bogów, a czy próbowaliśmy wygonić z twego serca tego Galilejczyka i jego krzyż?

- Obu was podejrzewałem zawsze o bezbożność...

- Słusznieś nas podejrzewał, synku, chociaż prawdziwa bezbożność to życie wbrew przyzwoitości i sprawiedliwości, a nie negacja istoty nadziemskiej. Nie uznałem w Chrystusie wielkiego Zbawiciela, tak jak i nie uznałem greckich bóstw, lecz szanowałem nauki Chrystusa, które głosi wasze Święte Pismo. Zbyt bowiem przypominają one nauki bliskiego memu sercu Marka Aureliusza, który starał się krzewić tę samą moralność co Chrystus.

- Tylko słowem, mistrzu, nie zaś czynem. Marek Aureliusz był krwawym władcą, prześladował chrześcijan. Jego czyny nie odzwierciedlały jego słów.

- Słowa Fulwiusza, twojego idola, Kaiusie, też nie odzwierciedlają jego czynów, a jego czyny nie odzwierciedlają jego słów, przynajmniej nie zawsze, bo życie zmusza do czegoś innego niżby się chciało. Masz pewność, że twój ojciec wierzy w Chrystusa Pana tak mocno jak ty? Raczej chciałby wierzyć, bo posiada prawą duszę, i chciałby stale kierować się nauką Pisma Świętego, ale wódz, który prowadzi wojnę, rzadko otrzymuje pełną możliwość wyboru. Coś za coś. Zzymasz się, iż dokonał świętokradztwa, lecz dokonał go wdrażając akt miłosierdzia wobec małych dzieci, a czyż miłosierdzie nie było priorytetem Jezusa Nazareńskiego? „*Wynajduj!*”. Wynalazł sztuczki, która nie zrobiła twemu bogu krzywdy, a otarła łzy „*najmniejszym wśród braci waszych*”, synku. Chrystus, jeżeli spogląda ku wam ze swych gwiazdozbiorów, nie ma o to pretensji do trybuna. Pretensje miał

Rufus, kiedy uznał, że ten akt to szaleństwo grożące wam wszystkim zagładą. Jako chrześcijanin sądzisz, że to Bóg okazał wam swą łaskę mimo kuglarskiego dublowania świętych rzekomo zniczów, lecz bezbożnik mego pokroju i bezbożnik pokroju Regi znają tylko ludzkie „- *Wynajduj!*”, a nie boski palec ingerujący pośród Ziemian. Tak samo było w Vicetii, Kaiusie. Spierałeś się wtedy, perswadując Redze, że łaska boża uwolniła was od lochu, Rega zaś twierdził, że jedynie ludzka przemyślność.

- Ale też mówił wtedy, mistrzu, że bliżej mu do wiary niż do religii.

- Mówił tak księdzu Damianowi, by zaprzestać jałowego sporu, Kaiusie. Co jednak nie było zupełną błagą. Rufusowi bliżej do Chrystusa niż gromadom dewotów - to kwestia wyznawanych wartości, nie zaś wyznawanej wiary. Do religii mu wszakże daleko, bo religia to już instytucjonalny Kościół, tymczasem jego uwierają zwarte szeregi każdego rodzaju. Bardzo długo znosił wojskowe, a i tych nie chce już znosić, kropla się przelała.

- Kiedy, mistrzu?

- Gdy Fulwiusz omal go nie zabił, podejrzewając, iż Rega wpajał ci Mitrę... Sądzę, że ta kropla przelała czarę, ale spytaj go, niech ci wyjaśni sam. Jest za tobą.

Odwróciłem się i ujrzałem „*psa Fulwiusza*”. Wyglądał jak Philomusus - miał także kształt widma utoczonego z mgły, lecz nie falował, tylko stał bez ruchu, niczym biały przezroczysty posąg. Zapytałem:

- Chcesz odejść od nas?

- Chcę być suwerenny, Kaiusie.

- Kto ci krępuje wolność?

- Moja miłość do Fulwiusza kradnie mi tę wolność. Godziłem się z tym, póki nie poznałem Atenajosa. Zazdroszczę mu. To rude ptaszysko jest wolne - przychodzi, wychodzi, wchodzi, schodzi, skręca, zbacza, biega, fruwa, gęga lub milczy, kiedy chce, gdzie chce, co chce i jak chce, kaprysem własnym i drogą własną. Wpierw myślałem, że to jest bezdomność, teraz myślę, że to jest wolność. Całkowita swoboda! Masz wybór: liczby pierwsze, upał, placki lub siusianie w kucki, albo wszystko naraz kiedy zechcesz. „- *Co wolisz?*”. Wolę wszystko! Wiesz jak to zwę dzisiaj?

- Zwiesz to wolnością, suwerennością i swobodą - powtórzyłem każdy z użytych przezeń terminów.

- Zwę to prawem „*Avisa*”, Kaiusie! On najlepiej wdrożył moje „- *Wynajduj!*” - wynalazł suwerenność nie znającą rygorów dyscypliny. Mniemałem i wciąż mniemam, że dyscyplina jest czymś koniecznym, lecz dyscyplina wewnętrzna widzi mi się teraz ważniejsza od zewnętrznej, bo jest lojalnością wobec jednego tylko bytu - własnego!

- Więc to nie jest prawo „Ptaka”, lecz prawo sobiepanków i egoistów! - warknąłem.

- Indywidualistów, których uwierają cugle i parzy chomąto! - odparł.

Nie wstrzymałem jeszcze większej złości:

- A bat?

- Jaki bat?

- Ten, którym smagał cię mój ojciec, narowisty rumaku! Cugle, chomąto i bat! I miłość rumaka do jeźdźca!

- Moja miłość do Fulwiusza... Kiedyś, za młodu, byłem jak człowiek, który po omacku szuka czegoś, i jak dziecko, które szuka słów. Później znalazłem Fulwiusza i wiedziałem dla kogo żyję. Gdyby ktoś mnie spytał kim przez te lata był mi Fulwiusz, odparłbym, że był głosem w ciemności, a moje życie uzyskało dzięki niemu właściwy kierunek i ton. Musiało minąć dużo czasu, abym zrozumiał, że mojego ducha spłaszcza ta wierność, bo kultywując ją tracę suwerenną wolę. Jeden krok dzieli obie te rzeczy - piękno i brak piękna. Od wstydlivosti krok tylko do rozwiązłości. Od szczodrości lub łaski - do niewdzięczności. Od radości - do smutku. Od brawury - do strachu. Od nadziei - do zgorzknienia. Od daru - do pasożytnictwa. Od służebnictwa - do kajdan. Bronilem mej suwerenności przed bogami i religiami, lecz nie obroniłem przed wodzem miary bogów.

- Zostałeś druhem mego ojca, a nie jego kukłą! - wyszeptalem zdumiony. - Co ty gadasz?!

- Chcę wreszcie gadać po mojemu. Tak jak słowa ludzi głupich to tylko gwar, tak słowa ludzi jednakowych to tylko chór. Głupi mówią wszystko co ich bezrozumność przynosi im na język niczym ślinę, a jednakowi pieją wszystko co im kazano śpiewać. Fulwiusz, którego kocham i zawsze będę kochał, ma coś z chrześcijaństwa, które szanuję, jakkolwiek moja nieufność i złośliwość zdają się przeczyć rozmiarom tego szacunku. Fulwiusz chce, aby wszyscy jego żołnierze byli ulepieni z jednej gliny - aby każdy przypominał drugiego niczym figurki legionistów rzeźbione dla dziecka. Ja go rozumiem, ma rację - takie winno być wojsko. Chrześcijaństwo chce, aby wszyscy byli kopiami świętego Piotra i świętego Pawła - aby tworzyli Chrystusowe wojsko złożone ze świątków. Ja i to rozumiem - tak być powinno. Gdyby się udało, mielibyście budowlę o milionach kolumn, których nie da się odróżnić. Sto identycznych kolumn w jednej budowli to tylko nudna gra luster. Mnie tam nie ma! Nawet puszcza składa się z drzew różnych, nie znajdziesz dwóch identycznych kształtem, liczbą gałęzi, szatą.

- To demagogia, Rufusie! - krzyknąłem pełen gniewu.

- Wcale nie demagogia, zmierzacie do tego. Inna sprawa, że to nie uda się wam nigdy. Życie jest tym, czym jest, a nie tym, czym chcesz. Lecz już samo wasze zmierzanie do tego degradowałoby moją suwerenność, gdybym był wśród was, ponieważ ono wywiera przymus. Jak mody. Bogowie i religie zmieniają się od wieków niczym moda, a każda moda to przymus. Zobacz jak posłusznie kobiety preferują nowe klejnoty, których wzór co pewien czas się zmienia, i jak grzecznie mężczyźni stosują

się do zdobnictwa pancerzy modyfikowanego wedle nowych prądów, a czynią to, gdyż rolę batoga gra tu powszechny język, który zawsze będzie przymusem. Nikt nie życzy sobie wolności bycia niezrozumianym. Mnie wszakże na luksus tej wolności stać. Wolę być cudzoziemcem nieznanym waszego języka, mowy tłumy, skandowania ordynku, przytakiwania chóru, i takim pozostanę. Żadna większość nie zgwałci mnie, bym się w nią wtopił. Żaden autorytet nie zegnien mi już kolan i nie ściszy mi głosu. Żadne rytuały, regulaminy i kodeksy już mnie nie wzruszą. Tak jak żaden bóg nie doczeka, bym go wyznawał. To zresztą sprawia mi najmniej kłopotu, gdyż tłum wokoło istnieje, władza istnieje, rzeczywistość istnieje, a boga żadnego nigdy nie było.

- Nawet tego, który stworzył świat?

- Świat musiały stworzyć dziwne moce, których nie znamy, a jeśli nawet były czymś, co można zwać bogiem, to ten bóg źle się spisał. Mówiąc, że nigdy nie było boga, mówię, że nigdy nie było litościwego, łaskawego boga, wszystko to tylko dziki żywioł.

- Dowiodłeś sobie tego sam, czy ktoś równie durny ci tego dowiódł? - spytałem, już bez złości, lecz i bez dawnej sympatii.

- Dowiodło tego jedno dziecko, Kaiusie... - usłyszałem spoza pleców głos Philomususa.

Odwróciłem się, pytając:

- Które dziecko, mistrzu?

- Którekolwiek umarłe z głodu, Kaiusie. Nie trzeba tysięcy ludzi przelewających bliźnią krew każdego dnia, starczy to jedno dziecko.

Wtedy po mojej prawej ręce rozległ się głos:

- Oto ku czemu prowadzi racjonalizm logików i cyników! Boga zabija się łatwiej niż człowieka, nie trzeba nawet palcem ruszyć. Starczy mędrkować.

Wykręciłem głowę i ze zdumieniem ujrzałem księdza Eulogusa, gospodarza kościoła Świętej Trójcy - tego sędziwego kapłana, którego Fulwiusz zwał swym wujem. Był jeszcze bardziej wychudły niż wówczas, kiedy zegnaliśmy mury Rzymu. Srebrne włosy nie odróżniały się od poświaty wokół niego, więc zdawał się nie mieć włosów, lub mieć tyle włosów, ile było mgły wypełniającej całą przestrzeń. Powtórzył:

- Tak, Boga łatwiej zabić niżli człowieka, nie trzeba nawet ruszać dłonią. Ale choćbyś i zabił milion ludzi, zostaną miliony ludzi. Lecz gdy zabiłeś Boga, zabiłeś samego siebie i nie zostaje ci nic. Jesteś już tylko zwierzęciem. A zwierzę ma tylko dostęp do przedmiotów.

- Duch poezji to też martwy przedmiot według ciebie, klecho?

Rozpoznałem ten głos natychmiast - Sulpicjusz! Stał po mojej lewej ręce i szczyrzył zęby:

- Przebudź się, Kaiusie, nie będziesz musiał dłużej znosić kłótni dogmatyków i niedowiarków!

- Chcę, aby mi wyjaśnili, Sulpicjuszu... - odparłem cicho.

- Tracisz czas! Jak całe pokolenia przed tobą i później. Ludzie uczynili fatalny błąd tworząc pytajnik, najgłupszy ze znaków. To ślepa uliczka, Kaiusie, daję ci słowo!... Spójrz: jedni pragną wyjaśnienia. Lecz nie może być wyjaśnienia, bo świat nie ma sensu. Inni, mózgowcy, starzejąc się pytają: czemu nie rozumiałem tego wcześniej?! Jak gdyby wcześniej było coś do zrozumienia! Od samego początku!

- Było, zepsuty rymopisie! - zaprzeczył Eulogus tonem pełnym pogardy. - Można zrozumieć, czas służy do tego. Kiedyś cierpiałem, gdyż sądziłem, że jeśli będę żarliwie się modlił, Bóg odpowie mi przynajmniej raz. Raz! Ale nigdy nie usłyszałem Jego głosu. Był jak biały oślepiający punkt, który tylko wabi. Lub jak blok czarnego granitu, który milczy. Dziś rozumiem, że milczenie to cecha Jego majestatu. I że gdyby się odezwał, dałby dowód, iż nie jest Bogiem. A sens mych modlitw polega na tym, iż nie usłyszę odpowiedzi. Odpowiedź bowiem zrobiłaby ze mnie kupca, a mej modlitwie przydałaby piętno wymiany handlowej. Miłość zaczyna się tam, gdzie już nie ma żądzy daru. Mówię tu o miłości człowieka do Boga, Kaiusie. Miłość Boga do człowieka to coś bardziej złożonego. Błądził tedy ksiądz Damian mówiąc, iż Chrystus jest samą miłością, synu, gdyż nie jest.

Tym mnie osłupił:

- Nie jest?!

- Nie, synu. Gniew Pana może być równie silny jak Jego miłość. Chętnie domagamy się łaskawości, czyli miłosierdzia Chrystusowego, lecz zapominamy o bojaźni Bożej. „*Caritas maior iustitia* „,\* [\* - Miłosierdzie większe od sprawiedliwości; Miłosierdzie nad sprawiedliwością (łac).] - tego chcemy. Lecz jak czyste byłyby łąki Pańskie, gdyby kosą bezwarunkowego miłosierdzia wyciąć na nich sprawiedliwość? Ubolewam, iż nie brak kapłanów, którzy miast czytać Pismo Święte z szacunkiem wobec wszystkich strof, łowią tam sobie tylko przysmaczki dające kapłanowi popularność wśród ludu. Pragnienie przypodobania się ludziom, słowami miłymi dla uszu człowieka, nie było celem Chrystusa ani Jego nauką. Tak zaświadczał to również Paweł święty: „*Gdybym podobał się tłumom, nie byłbym sługą Chrystusa*”. Błądzą tedy kapłani, którzy pragną zjednywać ludzi samym dobrotlistwem, spoufalaniem i wybaczeniem. Zapominają, że poufałość prowadzi często do lekceważenia, a przesadna wyrozumiałość - do braku hamulców. Nieustannie mówią o miłosierdziu, o miłowaniu nawet wroga, o nadstawianiu drugiego policzka, et cetera, et cetera, zaś o karach milczą. Jeśli już piętnują, to grzech, nie grzeszników. Można tak wrywać kartki z Testamentu Chrystusowego? Pismo Święte trzeba traktować serio, gdyż ewangeliści cytują tam słowa Bożego Syna. Choćby o mieczu, który przyniósł na Ziemię. Wtrąciłem tu:

- Proszę księdza... czyż o mieczu Chrystus nie mówił, iż kto miecza używa, ginie pod tą bronią?

- Tak właśnie mówił o zwykłym, żelaznym mieczu, zaś ten miecz, który On przyniósł na Ziemię - to „*ensis spiritualis*”\* [\* - Miecz duchowy (łac).], moje dziecko. Przyniósł go, by tępić brudy tego



świata. Nie miał aż tyle litości dla grzeszników, ile głoszą heroldowie miłosierdzia bezwarunkowego. Pamiętasz słowa Chrystusa o mękach piekielnych dla wszystkich, którzy nie zyskali wybaczenia i rozgrzeszenia, ergo: dla zatwardziałych lub szcwanym łotrów? Cytował to Atenajos, Kaiusie, gdy z Custosem bawił, a tyś go wtedy zoczył.

- Cytował, proszę księdza, przy pierwszym spotkaniu. Cytował: „- *Idźcie ode mnie, wyklęci, w ogień wieczny, na mękę nieskończoną!*”.

- Mamy o tym zapomnieć? Mamy widzieć Pana Boga jako głuchego i ślepego dobrotliwca jeno? Bóg winien być groźny. Nie może być sędzią sędziów pocziwy wujaszek, przymykający oko na nieprawość. Tak, Kaiusie! Sama miłość nie starczy, musi być i rygor, i hamulec, i strach. Bojaźń sprawiedliwej kary, bojaźń kielznająca ludzką przyrodzoną słabość - człowieczą, ciągle podsycaną przez diabła, skłonność do grzechu. A miłosierdzie tylko dla takich, którzy szczerą skruchą i pokutą zmazali grzech - nie dla zatwardzialców i symulantów, jakich pełno. O człowieku bogobojnym, który swoim życiem nie ubliżył Chrystusowi, jeśli zaś ubliżył, to serdecznie swoją winę zmazal - mówię: w tym człowieku wszystko było na właściwym miejscu, gdyż w jego życiu Pan Bóg był na właściwym miejscu. Albowiem Pan Bóg to trzy filary: miłość Boga do człowieka, miłość człowieka do Boga, i strach człowieka przed Bogiem zakazującym grzeszyć, ergo: czynić zło wbrew Bogu swemu i wbrew bliźniemu swemu. Taka jest święta prawda!

Umilkł, i nikt mu nie odpowiedział, więc rozejrzałem się wokoło, ale z błyszczącej mgły wyłaniała się już tylko blada sylwetka Regi, nikogo innego nie było. Zniknął też Eulogus, zostaliśmy sam na sam. Rufus milczał, patrząc ku mnie, lecz nie we mnie, gdzieś wyżej mojej głowy, zimnym wzrokiem kamiennych figur lub ślepców. Zapytałem go:

- Słyszałeś, Rufusie, co rzekł ksiądz Eulogus?

- A co rzekł?

- Iż taka jest święta prawda.

- Jaka?

- Iż winniśmy się bać gniewu Niebios.

- Bzdura... Bóg nas nie karze, sami się karzemy. Święte prawdy szerzone przez ludzi niekoniecznie są święte, synku.

Zamilkł, i dalej obserwował jakiś punkt nad moją czupryną. Trwało długą chwilę nim znowu rozwarł usta, by szepnąć beznamiętnym głosem:

- Wyznaję kult innej prawdy: że przychodzimy z wieczności i odchodzimy w wieczność. Ale nie ma mnie pośród tych, którzy sądzą, że idziemy do piekła lub raj. Ja przyszedłem z nicości, i odejdę w nicość, Kaiusie.

Ledwo można było usłyszeć ostatnie wyrazy, gdyż zanikaniu jego sylwetki towarzyszyło zanikanie głosu, i została tylko mgła. Kiedy się przebudziłem, trafiło mnie jedno: czemu ukazał mi się Rufus? Dotychczas nawiedzali moje sny tylko zmarli, Eulogus także mógł być już trupem - lecz Rufus?! Czulem strach, wszakże Rufus chrapał obok głośno, był więc całkiem żywy. Przez cztery kolejne dni też był żywy, aczkolwiek wciąż ponury i zamknięty jak głaz. A później odszedł w swoją „nicość”.

Przez te cztery dni nękała nas dalej ulewa. Padało kilkanaście dni i nocy z rzędu. Brzuchy jesiennych chmur spuszczały wody quasi-potopu, więc sunęliśmy ciężko, grzęznąc raz za razem. Tamtej nocy deszcz już słabł. Przebudził wszystkich gwałtowny huk i wstrząs. Szarzał bezsłoneczny świt. Ziemia drgnęła, lecz to nie było trzęsienie gruntu. Nocowaliśmy na łące, blisko gościńca, który biegł wzdłuż wielkiej rzeki, kilkadziesiąt kroków od wysokiej skarpy flankującej nurt. Deszcze musiały podmyć skarpe, bo jej znaczna część runęła do wody, wraz z drzewami wegetującymi nad krawędzią. Między urwiskiem a traktem zostało jeszcze sporo ziemi, lecz Fulwiusz rozkazał, by się zbierać, gdyż głupotą byłoby sterczeć w tak niebezpiecznym miejscu. Wtedy strażnik nocny przybiegł, meldując:

- Wodzu, widziałem jak ksiądz Damianus szedł sam ku rzece!

- Nim skarpa runęła, żołnierzu?

- Tuż przed tym!

- Czego tu szukał?

- Pewnie za potrzebą, wodzu...

- Matko moja! - jęknął „*Soter*”.

Rzuciliśmy się ku urwisku, lecz wstrzymał nas krzykiem:

- Stać! Więcej ziemi może się osunąć, dajcie liny!

Obwiązany liną żołnierz podczołgał się ku krawędzi, spojrział w dół i kilka razy coś wołał, gdy wtem fragment skarpy znowu runął, lecz lina utrzymała żołnierza, który zawisł i został wyciągnięty na brzeg.

- Do księdza wołałeś? - spytał Fulwiusz.

- Tak, panie. Żyw jest, choć krwawi mocno.

- Gdzie leży, tutaj przy brzegu?

- Tu nie ma płaskiego brzegu, trybunie, tu jest pionowa ściana urwiska.

- Więc gdzie leży, w wodzie?

- Woda chyba głęboka, no i spieniona, on leży w drzewie.

- Jak to w drzewie?

- Na zwałonym pniu, pośród gałęzi. Zaplątać się musiał, czy co... Wygląda jak ten trup, ale żywy, bo dwakroć ruszył ręką.

- Tam! - huknął Lydus.

Spojrzeliliśmy ku rzece. Nie mogąc podejść zbyt blisko krawędzi, widzieliśmy tylko część nurtu, tę od drugiego brzegu (który był skarpą równie stromą). Zobaczyliśmy pień niesiony przez wodę, i leżącego wśród złamanych gałęzi księdza. Skoczyliśmy na konie i ruszyliśmy galopem wzdłuż rzeki, cały czas kilkanaście kroków od krawędzi skarpy, aż pień, zniesiony prądem do drugiego brzegu, osiadł tam. Fala kołysała nim, i mogła w każdej chwili porwać go znowu, lecz póki co trzymał się, a my nie wiedzieliśmy jak księdza ściągnąć. Wtedy krzyknąłem:

- Obwiążcie mnie liną, płynę tam!

- Zbyt gwałtowny to nurt, nie dasz rady! - rzekł Marcipor. - Źle!

- Przezywano mnie „Wydrą”, niestraszny mi ten nurt!

- Niestraszny ci, boś jeszcze młody i głupi - mruknął Rega. - Pływać umiesz, lecz sił może ci zabraknąć. Ja pływam równie dobrze, lub lepiej, a ramiona mam trochę silniejsze, więc ja pójdę. Tylko opuśćcie mnie nie tutaj, cofnę się kilkadziesiąt kroków, bo taki prąd mocno znosi. Na skos dopłynę.

Obwiązaliśmy go, spuściliśmy, i choć nie bez trudu, ciężko walcząc z falą, dopłynął. Chwilę trzymał się pnia, by złapać dech, później zawiązał linę wokół kikutow gałęzi, wciągnął się na korpus drzewa i siadł przy księdzu. Mówił coś do niego, odgarnął mu siwe włosy z czoła i przetarł skrawkiem szaty jego krwawiące ramię. Wreszcie uniósł ślepią ku nam i zakrzyknął. Był zbyt daleko - szum nurtu, deszczu i wiatru głużył słowa. Kiedy Rufus to zrozumiał, kiwnął parę razy przecząco głową, dając tym gestem znak, iż ksiądz jest w zbyt ciężkim stanie (lubo umierający, lubo połamany, lubo poharatany), aby dało się go holować czy ściągnąć liną. Sądząc może, iż nie odczytujemy tego gestu, rozłożył bezradnie ramiona, jakby mówiąc: „- Klops, nic nie da się zrobić!”.

- Przyciągniemy cały pień! - zdecydował Fulwiusz.

- Za ciężki, wodzu - rzekł Adaloald.

- Końmi! Dawać grubą gałąź. Lina do niej, i cztery konie do niej, szybko!

Tak zrobiliśmy, a konie ruszyły drzewo, lecz tylko porwał je nurt, gdy roztrzaskana krawędź innego drzewa niesionego prądem zahaczyła i przecięła linę.

- Skacz! - ryknął Fulwiusz do Rufusa. - Skacz!!

Wszyscy krzyčeliśmy:

- Skacz!! Skacz!!!

Musiał dosłyszeć ryk takiego chóru. Pokiwał przecząco ręką, i wykonał rozprostowaną dłonią legionowy gest powitania-pożegnania. Później uniósł delikatnie głowę księdza, złożył ją na swym biodrze i przytulił. Wydawało się, iż wiatr rozwiewa chrapliwy czuły szept: „- Nie zostawię cię tu samego, klecho”. Ku nam już nie patrzył. Widziałem jego malejące, zgarbione plecy, jego głowę schyloną nad głową starca, i błagałem Boga o cud.

Cwałowaliśmy dłuższy czas wzdłuż spienionego nurtu, w prześwitach drzew widząc pień płynący ku nieznannej dali. Wreszcie zatrzymała nas ściana przybrzeżnego lasu. Pień stawał się coraz mniejszy, coraz słabiej odróżnialiśmy go od innych płynących drzew i krzewów, aż stał się nierozpoznawalnym punkcikiem. Słyszałem długie, quasi-kobiece zawodzenie Marcipora, „*psa Regi*”, i pomyślałem, że Rufus Rega, „*pies Fulwiusza*” - najwierniejszy wśród legionowych psów - kiedy się zbuntował, nie umiał tego przeżyć, więc korzystając z okazji wynalazł swój ostatni wynalazek, piękną śmierć według własnego kaprysu, zuchwale demonstrując Chrystusowi, iż wcale nie trzeba być chrześcijaninem, aby być chrześcijaninem dla bliźniego swego.

Po księdzu płakało jawnie kilka kobiet, a po Redze, prócz Marcipora, nikt, lecz ilu opłakiwało któregoś bez łez, wewnątrz duszy, tego nie wiem. Ja bolałem po jednym i po drugim, a Fulwiusz z pewnością także, choć nie klął głośno (klęło wtedy pecha mnóstwo żołnierzy), tylko milczał. Łzy zobaczyłem dopiero na mnisiej gębie, kiedy „*Ptak*” wrócił przemoczony (bo go już brak gorącej strawy gniótł) i usłyszał o tragicznym zdarzeniu. Wcale mnie to nie zdziwiło, ale Caeliusz się zdziwił. Rzekł cierpko:

- Wylej też i łzę dla Rufusa, mnichu!

Zdumiała go odpowiedź:

- Płacę jedynie za nim! - chlipnął Atenajos.

- Jedynie za nim?!

- Księżulo stareńki był, to i do Niebios trafił już, gdzie mu łzej będzie, ale ten bezbożny kalafior mógł pożyć jeszcze długo i łaskę Bożą zyskać.

- Przecież ciągle darłeś z nim koty, mnichu!

- No właśnie.

- Co: no właśnie?

- Z nikim nie kłóciło mi się tak dobrze jak z Regą.

- Kpisz sobie, rudy?! - zezłościł się Caeliusz.

- Nie kpię, serio mówię, płaczę po nim, a ty się odwal!

- Znaczy: tak cenileś Regę, ptasia mordo?!

- Bardziej niż stu głabów twojego pokroju! Oceniam ludzi wedle mowy.

- Jak to?

- Głuchyś? Wedle mowy! Trybuna szanuję, bo zawsze mam wrażenie, że zna i rozumie więcej niż mówi, a Rufusa szanowałem, bo zawsze mówił to, czego ludzie nie kochają słuchać.

- Sam nie słuchasz, kiedy...

- Daj mi spokój!... - wrzasnął Atenajos. - Wolisz się przypieprzać, czy drapać, setniku?!

Rufus, to fakt, mówił często wbrew ludzkim uszom, chociaż niezbyt często w ogóle mówił. Moja relacja jest myląca od samego początku, wciąż bowiem cytuję jego słowa, i nawet rozwlekłe frazy, tymczasem Rega był milczkiem i gadał rzadko. Milczenie jednakowoż nie poddaje się opisowi, lub raczej: byłoby bezużyteczne dla opisu zdarzeń, a ja chciałem wskrzesić same istotne zdarzenia. Stąd, kiedy tu cytuję różne słowa Regi - wytwarzam pozór, iż gadał chętnie niby pytlus. To jednak nie było prawdą. Zazwyczaj milczał - baczył i słuchał - gadał tylko z musu (jak w lochu Vicitii), żeby kogoś przekonać, albo kogoś pokonać lub omamić słowem, albo coś koniecznie wybadać (tam gdzie inni byłiby bezradni), albo wypełnić rozkazy Fulwiusza, bądź przedyskutować z nim ważny problem, albo mnie nauczyć czegoś. Tedy zapamiętałem go jako milczka, chociaż każdy, kto będzie czytał moją relację, wyniesie inne, błędne wrażenie o tym człowieku. Kiedy wertuję zapisane już karty pergaminu, sam się dziwię, że Rufus tak dużo u mnie gada, bo moje pióro, selekcyjując zdarzenia, sprawy i dialogi, nie dało mu ust przymknąć. Gdzieś z głębi czyścica - mam nadzieję - widzi to, a jego kocie ślepie mruczą: „- Niechaj ci będzie, ramolu, twoja bajka mi nie przeszkadza”. Ukradłem mu małomówność.

Żywię tę nadzieję, o której właśnie wspomniałem, bom wtedy znalazł w jego klamotach coś długo nie dającego mi spokoju. Fulwiusz kazał mi je przejrzeć i na nowo ściślej popakować, by mało miejsca zajmowały. Łachy stare wyrzucić, lepsze rozdać lub samemu wykorzystać, broń i pancerz (który Rega zdjął, kiedy go liną obwiązywali) przypasować komuś. Przypasowałem sobie. Wśród drobiazgów znalazłem podłużne drewniane puzderko. Wewnątrz był duży zardzewiały gwóźdź i kawałek papirusu z napisem: „*Clavus de cruce Domini*”<sup>\*</sup> [\* - Gwóźdź z krzyża Pańskiego (łac).]. Wybałuszylem wzrok, a serce biło mi jak młot kowala. Dzisiaj ta relikwia tkwi w wylocie fletu, który dostałem od Regi. Zatem obie fujarki tego dziwnego „aulosa” są faszerowane metalem - wewnątrz jednej sztylet sprężynowy, wewnątrz drugiej Boży gwóźdź. Niepotrzebny mi ów instrument do grania, bo grając na nim wskrzeszałbym sobie melodią młodą Kornelię, a to byłyby grzeszne myśli, które nie przystoją seniorowi i bratu klasztornemu. Po mnie zostanie dla klasztoru ta relikwia,

a dzięki „Ptakowi” druga, którą krył w swym zawiniątku do końca marszu Fulwiuszowego, o czym nikt nie wiedział, bo gdyby ktoś wiedział, wędrownka mogłaby zmienić kierunek. Lecz nie zmieniła - tak chciał Los..

Los wyczyniał wówczas z nami bardzo dziwne rzeczy. Ze mną również. Młoda służąca królowy Selminy przechodząc otarła się o mnie biodrem, aż się zachwiałem, i roześmiała się perliście, rzucając mi spojrzenie, które nazajutrz uwieńczył grzech porubstwa. Spowiadać się nie było już komu, więc tym łatwiej grzeszyłem drugiej nocy, i później ile razy się dało. To nie był duży kłopot, to był głód cielesny zaspokajany wbrew prawdziwym kłopotom, które miał Fulwiusz. Znalazł stu kilkudziesięciu legionistów szukających „ostatniej kohorty”, co go bardzo cieszyło, bo dysponował teraz więcej niż połową kohorty dużej (600-osobowej) lub nieomal pełnym stanem małej (400-osobowej), ale musiał rozbić warowny biwak, żeby uorganizować swe wojsko na nowo i przywrócić dyscyplinę wśród „nowych”, świeżo wcielonych żołnierzy, odwykłych od moresu dzięki miesiącom wałęsania się, krycia i niedbalstwa. Kiedy wreszcie ruszyliśmy ku północy - przyszedł większy kłopot. Forsowaliśmy górski jar, którego wylot ktoś zarzucił bryłami skalnymi, pniami drzew i ziemią. Myśleliśmy, że uczyniła to natura, jednak uczynili to ludzie: spoza barykady przyfrunęła chmura strzał i oszczepów. Cofnęliśmy się do wylotu kanionu, lecz ten również zawalono - byliśmy w pułapce. Wielkie skalne nawisy i rozległe jaskinie dawały nam ochronę przed pociskami, jednak ile czasu można siedzieć w kojcu i wyczekiwać cudu? Trybun Markus Cluvion, wodzirej „nowych”, zapytał Fulwiusza:

- Kto to może być, wodzu? Turyngowie tak daleko nie włożą, nie ich teren.
- To Longobardowie, Marku, chcą uwolnić Geilimera.
- Przestali już wierzyć w naszą moc i w słabość swego bałwana? - zdumiał się Caeliusz.
- Musiało się tam wydarzyć coś ważnego, co rozwiało ich strach - domyślił się „Soter”.

Miał słuszność, tak wobec Longobardów (to byli oni), jak i wobec tego czegoś, co zmieniło sytuację. Któryś z tamtych krzyknął w końcu spoza zapory:

- Złóżcie broń, albo będzie po was!

- Idźcie precz, albo będzie po was! - odkrzyknął Caeliusz. - Daliśmy radę waszemu Wotanowi, to i wam damy radę!

- Czarnym pieprzem tego waszego sztukara?... - roześmiał się krzykacz longobardzki. - Dacie nam radę jak „ludziom morza”, kiedy to tkwiliście w widiach rzecznych niby zwierzyna w saku? Tutaj sak jest mocniejszy, nie rozwalicie go tym pieprzem!

- Masz pewność?

- Mam! Przybyła do nas taka jedna, która objaśniła nam wasze gierki!

- Emilia!... - szepnął Fulwiusz.

- Erynia! - zgrzytnął Caeliusz.

Marcipor zawtórował:

- Źle!

Longobard ryknął znowu:

- To jak?...

- Nijak! - rozdarł gardło Caeliusz.

- Oddajcie nam Geilimera i resztę jeńców, a puścimy was wolno i będziecie mogli wziąć sobie Selminę!

- Przepuście nas wolno, bo poderżnę Geilimerowi gardło! - odpowiedział Fulwiusz.

Krzyczeli tak do siebie każdego dnia, lecz szturmować nie próbował nikt. Tamci bali się atakować kilkuset legionistów, a my nie mogliśmy nawet podejść ku zwałowi którejś zapory, lub wspiąć się na stok jaru, żeby zobaczyć ilu jest wrogów, gdyż szyli spoza tych barykad bełtami niemiłosiernie. Mieliśmy co gotować i czym karmić rumaki, ale starczyć to mogło na miesiąc, może półtora, trzeba było wymyślić coś. Wymyślił setnik Frontinus:

- Wedrzemy się hurmą po tych głazach, tarcze osłonią nas przed łukami, a kiedy będziemy u szczytu, to już nasi kusznicy sprawią im łaźnię i zlecimy jak burza w dół!

Trybun roześmiał się cierpko:

- Runąłbyś do głębokiego dołu, Frontinusie, do takiego, z którego się nie wychodzi. Obie te zapory są w pionowych przewężeniach jaru, ze szczytu ścian można głazami i balami rozwalić setki głupich łbów, nie uchronisz się przed tym gradem.

- Zrobimy „żółwia”\* [\* - Legionowy sposób opancerzania boków i głów żołnierzy tarczami.] wodzu!

- Tarcze „żółwia” nie zdzierzą ciężkich bali, te pnie będą nas miażdżyć łatwo.

- Nie będą jak pójdziemy samym środkiem zapory, tam nie doleci żaden bal!

- I bez bali miotanych przez tę psiarnię żaden woj nie dojdzie z tarczą do szczytu zapory - wtrącił Adaloald.

- Zróbmy „żółwia”, wodzu!... - upierał się Frontinus, lekceważąc słowa Gota.

- Na stoku zapory? - zdziwił się Caeliusz. - Adaloald mówi sensownie, bo na takim stoku, choćbyś miał wolne łapy, można wśród pni i głazów giry połamać! A ty chcesz się tam wspinać z ciężką tarczą? I w zwartym szyku „żółwia”? „Żółw” skroś kupy piętrzących się kamieni i plątaniny konarów?!... Frontinusie, trybun już dawno temu ci powiedział, byś myślenie zostawił rumakom, one mają większe łby.

Teraz zdziwił się Frontinus:

- Jazda?! Wierzchowce tym bardziej nie podejda!

Fulwiusz i Caeliusz ryknęli śmiechem, Adaloald się skrzywił, zaś Markus tylko odwrócił kpiący wzrok, bo „*nowemu*” nie wypadało rechotać kiedy błaznił się weteran Fulwiuszowej ferajny. Mnie nie zezwalała się śmiać moja młodość; zresztą myślałem wówczas o czymś innym: Caeliusza zawiodła pamięć, gdyż to, że konie mają większe łby, warknął kiedyś do Frontinusa nie trybun, tylko Rufus.

Następna noc była pierwszą prawdziwie zimną. Zmarzłem (moja miłośnica przestała mnie nawiedzać, bo w jarze nie było już komfortu spania gdzie tam komu wygodnie), lecz bardziej zmarzli strażnicy, którzy pilnowali krańców jaru. Blisko południa jesienne słońce ogrzało nas, ale każdy dobrze czuł, że zima zbliża się milowym krokiem, sroższa niż zimy Italii. Wtem ku niebu gruchnęła wściekły bitewny wrzask. Po zewnętrznej stronie zapory wlotu trwał bój, jednak Fulwiusz nie zdążył nawet pchnąć ludzi do sprawdzenia kto się tam bije, gdyż wszystko raptownie ucichło i na szczycie zwaliska zobaczyliśmy młodego brodacza w bogatym pancerzu. Machnął przyjaźnie ręką, zszedł do nas (jego śladem zeszło kilku wojów) i przemówił:

- Jam komes Witfred, syn Chariberta, zięć króla Try...

Tejże chwili królowna Selmina, zakrzyknawszy radośnie, przypadła do niego wraz z dwójką dzieciaków. Ściskali się, głaszcząc i całując. Fulwiusz podszedł, odczekał aż przestaną się tulić, i wyrecytował:

- Ja jestem Juliusz Fulwiusz Corwinus, trybun rzymski, eks-legat armii rzymskiej.

- Jesteś „*Soter*”, słusznie cię nazwano!... - wygłosił z emfazą Witfred, a oczy miał pełne wzruszenia. - Jakże mam ci dziękować za to coś uczynił dla mojej żony i moich brzdąców?

- Już podziękowałeś, Witfredzie, bo utraciłbym trzecią część moich ludzi albo więcej, gdybym sam się stąd wydostawał. Kto ci doniósł o wszystkim?

- Kurier posłany przez tych, którzy kochają Trygemina, a Geilimera nie kochają.

- Rzym padł?

- Padł.



- Złupiliście gród?

- Tylko dzielnice bogaczy i gmach cesarski. Król Teudebert zabronił ruszać ludność.

- A Manger?

- Nie żyje. Ze starości, nie wskutek boju, długie oblężenie na śmierć go wymęczyło, chociaż są i tacy, co mówią, że wskutek zatrutego żarcia. Jam pognał tutaj, tylkom usłyszał o spisku Geilimerowym, pewien, iż matki swoich dzieci już nie zobaczę, ale Freja twoimi rękami sprawiła cud!

Fulwiusz wskazał zaporę i westchnął:

- Ciężko będzie ten jar otworzyć...

Witfred machnął lekceważąco dłonią:

- Hołota Geilimerowa własnymi łapami i zębami to zdejmie! Sprowadzimy tu woły, i najpóźniej pojutrze ściągniemy to wszystko, będziesz miał drogę wolną, Fulwiuszu. Tylko ja bym ci nie radził pchać się teraz przez góry na północny wschód lub na północ, idzie siarczysta zima.

- A co byś radził, komesie?

- Rozbij zimowy obóz tu za tym wzgórzem, blisko ziemi niczyjej między domeną Longobardów a domeną Turyngów. Zbudujemy wam chaty, damy futra plus żywność, i ruszycie wiosną. Bądźcie gośćmi Longobardów!

- Dzięki, przemyślę to, Witfredzie.

- Przemyśl, poradziłem ci z serca, lecz nim przemyślisz, daj mi Geilimera i Herlinę, bo mnie już łapy świerzbą!

- Ubijesz na miejscu?

- Tylko Geilimera. Herlinę i resztę zdrajców osądzi wiec, ale teraz to będzie mój wiec, mój kapłan i mój biały koń!

- Geilimera własnoręcznie chcesz ubić?

- Nie chcę ubić, chcę zamęczyć. Dam bydlakowi konać strasznie, i bardzo długo, Fulwiuszu!

Nienawidziłem Geilimera jako okrutnika, lecz kiedy prowadzono męża Herliny na okrutną śmierć, podziwiałem jego wyzywający chłód, bo przyrodzona mu bezczelność zdawała się już nie pychą, tylko szlachetną dumą. Mijając mego ojca uśmiechnął się wzgardliwie i splunął mu pod nogi:

- Kontent jesteś, tchórze?

Fulwiusz nic nie odpowiedział, a Geilimer jeszcze krzyknął:

- Wyręczą cię Trygeminowe kundelki!... Dziękuj swemu bóstwu, Rzymianinie, bo gdybyś musiał stanąć sam naprzeciwko prawdziwego mężczyzny, zesrałbyś się ze strachu jak dziecko! Pokazałbym ci wtedy ile masz w sobie prawdziwego woja! A tak... możesz grać herosa dalej!

Wtedy Fulwiusz ryknął:

- Stanę ci!!... Stanę ci, jeśli komes Witfred nie wyrazi sprzeciwu!

- Wyrazi, wyrazi, to mały rzeźnik, też tchórzliwy, a silny tylko jako dowódca dużych zastępów, kundelek, co chce mieć swoją małą satysfakcję, męczarnię rywala, o czym wiesz, dlatego łatwo ci tu udawać dzielnego! Wyrazi sprzeciw!

Fulwiusz zerknął na Witfreda. Komesowi źrenice rozblęły niby grom, ale się opanował, mówiąc spokojnie:

- Fulwiuszu, on cię judzi, by uniknąć karni... Tylko o to mu chodzi.

- Wiem.

- Cóż... zbyt dużo ci zawdzięczam... Chcesz tego?

- Tak.

- Bardzo?

- Tak bardzo jak myślisz.

- Raczej tak bardzo jak się dziwię. Dobrze, stań mu, zezwalam.

Ku Fulwiuszowi przyskoczył Adaloald, sycząc:

- Panie, to jest najlepszy szermierz wśród Longobardów, a może wśród wszystkich północnych ludów! Pono nikt mu nie dostoi!

- Chcę właśnie sprawdzić to „pono”, gocki druha, i zaraz będę wiedział.

- Zaraz możesz być martwy!... - rzekł Witfred. - Ten bydlak istotnie robi mieczem jak żaden ze znanych mi wojów. W pojedynkę daje radę kilku rębajłom.

Byłem przerażony. Przerażony możliwością śmierci Fulwiusza, zaś zdumiony konstatacją, że prawdziwy mężczyzna nigdy nie opiera się całkowicie ze smarka, którego nosi wewnątrz aż do zgonu. Kiedy drugi smarkacz rzuca mu wyzwanie - sens, rozum, rozsądek zostają zepchnięte na bok, góruje kogucia ambicja. O nią tu chodziło, o draśniętą pychę wodza, a nie o grad epitetów, wściekłość czy cokolwiek innego, wszyscy to chyba pojmowali wtedy. Geilimer splunął jeszcze raz,

i zapytał:

- Jeśli wygram, będę wolny?

- To nie zależy ode mnie - wzruszył ramionami Fulwiusz.

- Niech Witfred da słowo, albo szermując pozwolę się zabić, nie pachnie mi kaźń.

- Już uniknąłeś kaźni, bydlaku, bo jeśli wygrasz, zdążysz się przebić własnym mieczem! - warknął Witfred. - Nie unikniesz tylko śmierci.

- Racja! - zgodził się Geilimer. - Lecz nim otworzy się dla mnie Walhalla, poślę do rzymskiego piekła tę chlubę Rzymu! I wy wszyscy to zapamiętajcie! Ty zostaniesz przepomniany, Witfredzie, synu Chariberta, a ja dalej będę głośny klechdami Longobardów. Geilimer triumfator!... Jakie żelazo, Fulwiuszu? Krótki czy długi?

Fulwiusz odparł:

- Wybierz co chcesz.

- A jeśli wybiorę, prócz spathy, goły tors? Żelazo lepiej się ima nagiego ciała.

- Może być.

Zaczęli zdejmować odzienie. Longobard był grubiej umięśniony niż „Soter” i miał tatuaże wzdłuż barków po krańce ramion. Ciskając łachy, roześmiał się, pełen wigoru:

- Nikt cię dawniej nie przestrzegł, że kiedyś zgubi cię ta twoja rycerskość?

- Jeden rymopis, już zmarły.

- To zabijasz i poetów?

- Nie zabijam przyjaciół... Zginął w płomieniach Rzymu, gdy część miasta się paliła. Wcześniej mnie ostrzegł, iż szlachetność może sięgnąć tego stopnia prawości, który graniczy z głupotą.

- Więc to był dobry rymokleta... A już na pewno dobry wróżbita! Zgadł, głupku.

- Długo jeszcze będziesz gadał, mędrku? - spytał trybun. - Nie zabijesz mnie słowami.

Ta wymiana słów trwała dłużej niż pojedynek. Wszyscy myśleli, że zobaczą ciężką walkę, pełną finezyjnych ciosów i zasłon - dramatyczną rąbaninę, pełną iskier krzesanych przez zderzające się ostrza; szermierczą harówkę dwóch rutyniarzy machających mieczami aż do krwawego skutku, być może obustronnego, co się zdarza gdy dwie bestie równocześnie zatopią swoje żelazo w ciele wroga. Tymczasem stało się coś, czego nikt przewidzieć nie mógł. Dwa błyski kling, i koniec! Żelazo Geilimera chybiło o włos, a miecz Fulwiusza przebił brzuch Longobarda. Geilimer runął na plecy.

Miał szkarłatną ryse wyżej pępka, lecz krew nie lała się po skórze, musiała tedy lać się do wewnątrz. Zamrugał, niby człek zbudzony, i wychrypiał:

- Jak tyś to zrobił, Rzymianinie?... Ta sztuczka jest ze Wschodu?

Dychał niezbyt ciężko, lecz gdy próbował się dźwignąć, ból przeszkodził mu wstać. Tylko wargi ruszały się łatwo:

- Dobij!

- O to proś Witfreda, Geilimerze... - powiedział Fulwiusz.

- Gdzie twoje chrześcijańskie miłosierdzie, Rzymianinie, chcesz zobaczyć kaźń? Gdzie chrześcijańska litość?

- Pytałeś już o to na wiecu, a ja ci wyjaśniłem, że jestem żołdakiem, nie świętym. Nic się nie zmieniło od tamtej pory.

- Coś się zmieniło, ty stoisz, a ja leżę... Pamiętam też co mówił tam twój rudy mnich... „- *Leżymy leżąc, stoimy stojąc*”. Bardzo dowcipne!

Krew rzuciła mu się ustami; wytarł ją dłonią i trochę wypłuł. Niepotrzebnie prosił wcześniej o dobicie, bo jednak już konał. Źrenice mętniały, dychał z coraz większą trudnością. Spojrzał ku Fulwiuszowi i mruknął, parodiując gladiatorów:

- Umarły cię pozdrawia!

Chwilę czekał na odpowiedź, a ponieważ się nie doczekał, szepnął:

- Bez triumfu, i bez klechdy... Zwycięzeni nie mają racji, prawda?...

- Nie - rzekł Fulwiusz.

- Nieprawda, czy nie mają?...

Zamknął powieki, głowa wykręciła mu się wolno, i przestał dychać. W tym momencie na jego ramię sfrunęło kilka płatków białego puchu. Wszyscy unieśli wzrok. Padał pierwszy śnieg.

Gdy przymrozki wydorosłały w mrozy siarczyste, okuwając ziemię pancierzem twardym niby gład, a śnieżyce nawiały hałd puchu wysokich niczym stogi, zasypując gościńce i wodopoje - my już mieliśmy solidny zimowy obóz, z chatami dla ludzi i szopami dla zwierząt, tak jak Witfred proponował. Kilka tygodni trwało kleczenie tego siedliska, i trzeba się było spieszyć, bo wczesna zima szła piorunem. Śnieg padał najpierw drobny i rzadki, później walił coraz gęstszy i gruby, aż wreszcie zabielił całą okolicę - gdzie spojrzeć, biały mur. Świat zrobił się biały. Puch przykrył łąki, na których rośnie trawa do wypasu, i pola, na których rosną zboża do pieczywa, i stoki, na których rosną drzewa do budulca, i połoniny, na których rośnie baranina do pieczenia przy ogniu. Longobardowie forsowali łatwo bezdroża tego śniegu, mając sanie z szerokimi płozami, albo wiążąc sobie u butów deski o wygiętych końcach, lub też drewniane ramki wypełnione plecionką. Ci spośród legionistów, którzy brali niegdyś udział w kampaniach północnych, poznali to wszystko wcześniej. Dla reszty było to bulwersujące - coś z trwożącego, lecz i fascynującego snu, który ciągnie się miesiącami.

Kiedy człowiek Południa (permanentnego słońca, gajów oliwkowych, drzew cytrusowych i palm) zobaczy zimę Północy - pierwszy raz widzi Zimę. Ów biały całun wydaje mu się równie nierealny i równie groźny, jak bajkowy oraz tłamszący wydaje się dzikusowi przywleczonemu z germańskich puszczy i szałasów do dużego miasta kamienny świat wielopiętrowych insul, gigantycznych rezydencji i rzeźbionych kolumn, które rosną gęsto niczym lasy sosnowe. Przejmująca nadrealność, i ta myśl: „Boże, jakież dziwny i jaki różnorodny stworzyłeś padół!”.

Komes Witfred był z nami tylko dwa dni (pierwsze po bitwie), bo musiał wracać i robić ład w longobardzkiej domenie, rozdarłej między lojalnych a przeniewierczych wielmożów króla Trygemina. Kilka razy deliberował z Fulwiuszem, nie wiem o czym, słyszałem ledwo parę słów, gdy przyniósł im wino. Longobard mówił:

- Wypytaliśmy ich na ogniu. Gadają, że ta Emilia Gotka pojawiła się znikąd i jak duch przepadła, nie wiedzą gdzie.

- Gdyby się odnalazła, daj mi ją - rzekł Fulwiusz.

- Strzygi łowić trudno... - zauważył Longobard.

- Ta jest upiorem, ale nie strzygą, to baba z krwi i kości, wiem coś o tym.

- Słyszałem coś o tym! - roześmiał się Witfred. - Pono miałaś ją w łożu!

- Było, minęło. Teraz chętnie skręciłbym jej kark.

- Rzymianinie, gdybyśmy chcieli skręcać kark wszystkim babom, które nam dopiekły, wkrótce musielibyśmy sami rodić potomstwo, bo bab by nie stało!... - parsknął Longobard. - Napijmy się jeszcze...

Strach we mnie prawdziwy wzbudził ten fragment ich dialogu. Strach się pogłębił, kiedy nocą, we

śnie, ujrzałem Philomususa. Targały mną wtedy czarne myśli o Redze - czy zginął wraz z Damianem, czy może dopłynęli gdzieś, wylądowali i żyją? Zapytałem bez zwłoki:

- Mistrzu, czy Rufus żyje?

- Nie, synku - odpowiedział. - Rwąca woda doniosła pień w katarakty i wiry, gdzie ich utopiło. Wyznawca bóstw greckich rzekłby, iż sama Hekate czuwała nad tym, by Rufus Rega pomarł śmiercią gwałtowną, bez jakiegokolwiek pogrzebu...

- Hekate? Mistrzu, trybun mówi, że szkodzi nam Emilia, Caeliusz zwie ją erynią, boginią zemsty, a Witfred strzygą...

- Dla Germanów to strzyga, zaś dla Greków bogini. Wedle niektórych Greków Hekate należała do mścielek zwanych eryniami i eumenidami, które Rzymianie furiami zwa, ale każdy wyznający starą wiarę filozof i poeta grecki odpowie ci, że to bogini, córka Zeusa. Jako bezbożnik poświęcałem mało czasu wszelkim bóstwom, więc żaden tu ze mnie autorytet, lecz Sulpicjusz, który się grecką teogonią pasjonował, może ci wyjaśnić, spytaj jego.

- No, pytaj mnie! - usłyszałem spoza pleców. - Kurwy greckie i rzymskie nie mają przede mną tajemnic.

Odwróciłem się i ujrzałem figlarne ślepie Sulpicjusza.

- Co chcesz wiedzieć, Kaiusie? - spytał wesoło.

- Pyta cię o to wróg wyjaśnień i pytajników! - zadrwił Philomusus. - Pyta prosząc o pytajnik, najgłupszy znak!

- Wtedy wałkowaliśmy sens życia i wiarę w Chrystusa, to co innego! - bronił się rymopis. - Sam przekazałeś mi głos, tedy milcz, Greku! A ty, Kaiusie, pytaj. Cóż chcesz wiedzieć?

- Chcę wiedzieć czy Fulwiusz ma rację, kiedy...

- Twój ojciec, sieroto, ma zawsze rację, nawet wtedy, gdy pielęgnuje swoją legendę „*boga wojny*”, niezłomnego herosa, w pełni świadom dwuznaczności tego wizerunku.

- Nie o to pytam, żartownisiu, tylko o Emilię! - krzyknąłem rozzłoszczony.

- O tę Gotkę? Pytasz więc o Hekate, która przybrała postać Emilii, dzieciaku.

- Emilia to Hekate?

- Z całą pewnością, Kaiusie.

- A Hekate to kto?

- Długo by mówić.

- Rzeknij krótko, Sulpicjuszu.

- Co prawda poeci są mistrzami mowy zwięzłej, tedy rymem wyraziłbym to krótko, zaczynając od: „Trójmordzia suka Hekate rządzi ciemności światem, zmarłemu da nędzny grób, gdzieś u rozstaju dróg”, et cetera, et cetera, lecz tłumacząc to prozą muszę zużyć słów więcej, zatem trochę cierpliwości...

- Powiedz krótko!

- Ależ jesteś uparty!... Krótko? Proszę bardzo. Najpierw była dobra, później zła, najpierw dziewica, później złowrogie kurwiszczce, ciągle trójka, lecz właściwie setka, zrozumiałeś coś, synku?

- Nic.

- To nie smędz, ino słuchaj! Będę się streszczał, jeśli dam radę. Od czego by tu zacząć?...

- Od „trójka, lecz właściwie setka”, Sulpicjuszu.

- Czyli od końca, Kaiusie... Rzeźbiarze i malarze pokazywali ją z trzema głowami, a najważniejsza była tam głowa psa ukazująca „sukę Hekate”, według Greków. Pies to jej symbol czworonożny, ptasi to sowa, gadzi to wąż. A trójka to symbol liczbowy, wskutek różnych przyczyn, bo Hekate symbolizowała trzy fazy księżyca, była uznawana panią ziemi, podziemia i niebios, lub ziemi, morza i niebios, i tak dalej. Ale imię miała wywiedzione ze stu, od greckiego „*hekaton*” [\* - Sto (grec).], bo przez sto lat zatrzymywała cienie zmarłych ludzi nad brzegami Styksu. Lecz tylko ludzi zmarłych niespodziewaną gwałtowną śmiercią.

- I jedynie zmarłych Greków, wyznawców Zeusa!

- Niekoniecznie, synku. Rzymian to też tyczy, i wyznawców Jezusa, a może i pogańskich barbarzyńców, wśród których Hekate, różnie zwana, panoszy się także. Bogowie zła są nieśmiertelni.

- Według chrześcijan są nieistniejący! - zaprotestowałem.

- Skąd się tedy w waszym Piśmie Świętym wziął Książę Mroku vel Niosący Światło, ten Szatan, co kusił Chrystusa? Skąd ta żydowska „pierwsza Ewa”, diaboliczna Lilith, synku? Grecka „suka Hekate” to odpowiednik kaananickiej „sowy płomykowej” Lilith. Grecka, a dokładniej tracka, gdyż jako bóstwo debiutowała u Traków, choć niektórzy twierdzą, że przybyła tam ze Wschodu. Kto ją zrodził? Hezjod pisze, iż tytani, jednak...

- Nie Hezjod, lecz sekta Orfików, rymopisie!... - skarcił go Philomusus. - Pierwotnie u Hezjoda nie było mowy o Hekate, dopiero poeci orficy wtrynili między wersy jego „*Teogonii*” passus o niej!

- Wiem, Greku, ale się streszczam, tak jak chciał Kaius, czemu tedy mi bruździsz?! - ryknął poeta.  
- Jeśli chcesz się puszyć znajomością historii bogów, której rzekomo nigdy nie studiowałeś, trzeba było nie oddawać mi głosu, tylko samemu klarować Kaiusowi!

- Pragnę jedynie zwrócić uwagę Kaiusa na fakt, iż cała historia bogów to wymysł poetów, czyli Homera, Hezjoda i epigonów, aż do tego tajemniczego Greka, lub może Żyda, który uskrzydlił pierwszego ewangelistę... - mruknął Philomusus. - Bajdy poetów zawsze mnie ciekawiły, choć raczej przez swą treść niż przez swoje rymowane piękno. Sulpicjusz aż zsiniał wskutek gniewu:

- Mnie rozśmieszały zawsze bajdy filozofów, którzy objaśniają życie i świat międląc w te i wewte wszelkie dylematy! Nie ma takiej bzdury, co nie znalazłaby mecenasa wśród filozofów!

- Przestańcie się wyklócać - poprosiłem cicho. - Sulpicjuszu, mów o Emilii.

- Mówię o Hekate, Kaiusie.

- Rzekłeś już, iż Emilia to Hekate.

- Hekate się wciela, synku, boginie mają taką zdolność. Dawniej wcielała się w Artemidę, w Persefonę, w wiele tytanid i bogiń. Sama jest właściwie tytanidą, jeśli wierzyć orfickiemu tekstowi u Hezjoda. Według niego mieli ją zrodzić tytan Perses i tytanida Asteria, lecz czytałem również, że była córką Jowisza i Junony lub Latony lub Cerery, bądź Tartarosa i Cerery, bądź Aristaios, nie dojdiesz!

- Dojdiesz tu tylko tego jak się gził cały Olimp, każda z każdym, synku - parsknął Philomusus.

- Mistrzu, to najmniej ważna spośród przyczyn, wskutek których ludzie odwrócili się ku Chrystusowi, i Jemu, a nie tym pseudobogom, palą kadzidła - rzekłem.

- Kiedyś tłumy wielbiły Hekate za to samo, za co dziś wielbią Chrystusa: za dobroć dla ludzi, synku.

- Tak się działo - potwierdził Sulpicjusz. - Hekatezje dla uczczenia Hekate odprawiano w całej Grecji. W Atenach, w Laginie, w Eginie, w Beocji, wszędzie, na lądzie i na każdej wyspie. Samotracja, Delos, Lemnos, Wybrzeże Karyjskie, góry Menalu, misteriów eleuzyjskich nie wyłączając. Bo była bóstwem dobroczynnym, szafarką szczęścia. Odwracała pechy i klęski, przynosiła pomyślność. Darzyła sędziów sprawiedliwą mądrością, myśliwych wielkim łupem, pasterzy rozlicznym stadem, rybaków obfitym połowem, a zabłąkanych wskazaniem właściwego kierunku. Lecz później została przeklętym demonem nocy!

- Sama z siebie, dla kaprysu, bo znudziło się jej czynienie dobra? - zapytał kpiąco Philomusus. - Nie! To rymopisy późniejszych pokoleń przerobiły ją na królową nocnych upiorów, szafarkę fatalności, czarnej magii i grozy, wcielenie zła. Chwała poetom!

- Greku, czemu się ciągle przypieprzasz?! - wrzasnął Sulpicjusz. - Skończ, nie jesteś już w okresie



płodnym, fallicznym, pieprzniczym! Pytanie: czy kiedykolwiek byłeś?, bo to rzecz równie bliska filozofom co połóg.

- Równie bliski Hekate co tobie zazdrość wobec filozofów, wierszokleto! - zrewanżował się Grek bez urazu, ale nie bez kpiny. - Terencja winna się modlić do niej, albo bać...

Znowu mnie zaniepokoiło:

- O czym mówisz, mistrzu?

- Mówi, że Hekate była patronką położnic, Kaiusie. Jednak bardziej była znana jako bogini ludzi ginących gwałtowną śmiercią i niepochoowanych, tudzież bogini czarów i pechowych rozstajów. „*Dea feralis*”\* [\* - Bogini zguby; bogini gwałtownie zmarłych (łac).] mówiono o niej, i „*Trivia*”\* [\* - Bogini rozstajnych dróg; od „*trivium*” - rozstaje (łac).] mówiono o niej, jako o władczyni złych duchów dybiących na rozstajach. Dlatego blisko skrzyżowań i rozwidleń dróg stawiano, gwoli przebłagania, „*hekateie*”. Różne. Od prymitywnych kopczyków i drewnianych słupów, do kamiennych filarów przypominających hermy, bo dźwigających trzy głowy. Tam właśnie składano jej ofiarny pokarm: zazwyczaj kudłate czarne psy, i czarne jagnięta, i bardzo ciemny miód. Znowu trójka, ale to czarny kudłaty psiak był ulubionym żarciem „*suki Hekate*”...

- Dość! - zagrzemiał Philomusus. - Przestań młodzieńca straszyć, rymokleto!

- Słowami nikt go nie wystraszy. W portki narobi wówczas, kiedy ujrzy Hekate.

- Cóż może mieć Hekate przeciwko niemu?

- Przeciwno młodziankowi nic, lecz młodzian trzyma się tatusia jak rzep psiego ogona, a tatusiowi suka nie daruje. W moich stronach mówiono: „- *Bóg wybacza, Hekate nigdy*”. Więc gdy ją znowu usłyszą, niejedne portki pękają od strachu. Wtedy bowiem poruszy się las, jęknie ziemia, krwawy deszcz zmoczy łąki, zaskrzypią ochryple skały, rozszczekają się psy, rozsmrygają jadowite węże, a wokół unosić się będą duchy zmarłych, cha, cha, cha, cha, cha, cha, cha, cha, cha, cha, cha, cha!...

Jego rechot grzmiał niczym dzwon, lecz po chwili zaczął się oddalać, cichnąć, gasnąć wraz z sylwetką, i wtedy się przebudziłem, mokry jak szczur. Kilka godzin później spytałem ojca:

- Czy to prawda, że Terencja jest w stanie błogosławionym?

- Prawda, a kto ci o tym rzekł?

- Dziewki służebne plotkują. Przyjmiesz pomoc Witfreda, zostaniemy tu?

- Do wiosny, Kaiusie, wiosną ruszymy dalej.

Propozycja i pomoc Witfreda stała się dla Fulwiusza łaską Niebios. Miało tu swoje znaczenie, że

Terencja była w ciąży, a wędrówka przez świat zasypany śniegiem, i to górzysty świat, mogła okazać się zbyt trudna dla niej i dla narodzin dziecka. Lecz równie ważne, jeśli nie ważniejsze, wydawało się to, że ciężkie przeziębienia powaliły pół taboru, gdyż ludzie nie byli przyzwyczajeni do takiego aż zimna, więc nawet futra (których zebraliśmy duży zapas) kiepsko chroniły od gorączki i śluzu klejącego nosy. Miał też trybun problem uzdatnienia ochotników zasilających jego wojsko. Wśród napływających legionistów (mitraistów i innych) było bowiem wielu rannych i chorych, co potrzebowali kuracji i odpoczynku. W ciągu paru późnojesiennych tygodni, kiedy budowaliśmy (przy znacznej pomocy Longobardów) nasze zimowe gniazdo, dotarło jeszcze kilkudziesięciu łachmaniarzy z gór i z puszczy turyngskiej, a wtedy Adaloald powiedział:

- Wodzu, ten dzikus, był żołnierz legionu Victrix, i ci chłopcy, którzy do nas ściągają, mieli rację - to my jesteśmy „ostatnią kohortą”.

- Błagam Boga, aby ten żołnierz i wszyscy inni, którzy tak twierdzą, nie mieli racji - mruknął Fulwiusz. - Ciągłe liczę, że gdzieś w tych puszczech i górach są większe grupy legionistów, i że dane nam będzie znaleźć te wojska rychło.

- Witfred wie, że bardzo tego pragniesz, słyszałem jak jego przyboczni drwili, że szukasz „ostatniego legionu”.

- Komes także drwił?

- Nie, to człek prawy, choć raz ci skłamał.

- Wiem.

- Wiesz, panie?! - zdziwił się Got.

- Domyślam się, iż kłamał mówiąc o wzięciu Rzymu.

- Istotnie, kłamał mówiąc ci o tym. Miasto złupiono, była mordercza grabież...

- Cóż jeszcze podsłuchał?

- Przyboczni Witfreda kpili gadając o „rzymskim Ragnar@ók”.

- Cóż to jest?

- „Ragnar@ók” to w ich narzeczu koniec świata bogów.

- Myśleli o „Urbs Roma”?

- Nie wiem, panie, czy o wzięciu Romy... - zawahał się Got.

- O nas?

- Wokół Romy nie ma mrozów i śniegów... Wedle germańskiej mitologii „*Ragnarók*” zacznie się wtedy, gdy straszny mróz ogarnie ziemię i niebo. Bogowie wyginą wówczas, walcząc z węzami i z demonami. Padnie nawet bóg bitwy, Odyn-Wotan. Runą też Słońce i Księżyc, a zmarzniętą ziemię pokryje wieczna ciemność. I zatrzyma się czas. Kpiąc o „*rzymskim Ragnarók*” - dopasowywali sobie ten mit do wieszczby głoszącej naszą rychłą zagładę.

- Planują coś przeciw nam?

- Nie, Witfred nie zezwoliłby. Tylko kpią po żołniersku.

- Co jeszcze słyszałeś?

- Nic już ciekawego, ale mój bratanek więcej nasłuchiwał. Mam go zawołać?

- Sam mi rzeknij.

- Liutperd słyszał jak mówią, że mądrzej byś zrobił, wodzu, maszerując z Italii wprost do Hiszpanii, bo tam przetrwały pono resztki legionów w górach, a wędrując na północ, ku Turyngom, i na wschód, ku Słowianom - pójdziesz w otchłań, z której się nie wraca. Tak mówią, panie.

Tak mówiono już dawno. Bywało, że kupcy, co przemierzali bursztynowy szlak, wracali stamtąd i snuli dziwne gadki, charakteryzując plemiona, które gnieźdzą się za ziemiami znanych nam barbarzyńców. Według tych gadek różnica między „naszymi” barbarzyńcami a tamtymi nie rysowała się jasno. Jedni kupcy mówili, że to są zwyczajni dzicy ludzie. Ludzie wykołysani legendami Północy, pełnymi czarcich jam i wykrotów gnomów, pełnymi przelotów żurawi i ciągów siwych gęsi, pełnymi wołań kaczek i wycia wilkołaków, pełnymi cisz i melodii, które toną w bezmiarze puszczy lub uderzają o hałdy śniegu rysujące tę skrzeptą mrozem Północ. Wszakże inni kupcy dawali obraz dzikości strasznej, a potwierdzali taką wersję żołnierze, którym przyszło zapuścić się głęboko w tę północną dzicz i cudem stamtąd ujść. Nie bez powodu papież Leon Wielki mawiał: „*furentes barbari*”\* [\* - Szalejący barbarzyńcy (łac).] o dzikusach tamtych dalekich ziem. Trwożyła mnie myśl, iż wiosną będziemy kroczyć ku tym ziemiom dla kaprysu mego ojca. Już dotychczasowa droga naszego taboru, pośród barbarzyńców częściowo ucywilizowanych, była trudna i przyniosła wiele niebezpieczeństw. Każdy krok dalej groził jeszcze większymi. Wyobrażałem sobie, iż cały nasz dalszy rejs skroś tego dzikiego świata będzie - niby pierwsza wizyta młodzianka w lupanarze, czy penetrowanie bezkresnych pustyń afrykańskich przez mieszcucha - wyprawą poza granice naturalnego porządku, skokiem w głęboki odmęt tajemniczego niebezpieczeństwa i autodestrukcji. Jednak - dziwna rzecz - to ja i mnich zrobiliśmy pierwszy krok do wnętrza tego świata.

Dłużące się tygodnie obozu zimowego uzmysłowiły nam wszystkim, iż trud każdej wędrowki - każdej ciężkiej dreptaniny wzdłuż szlaku - ma pewną wielką zaletę: brak codziennej przytłaczającej nudy. Nawet nuda pustego gościńca jest dużo lżejsza aniżeli nuda ciągłego bezruchu, gdy czas wlecze się niemiłosiernie. Kisło się w chatkach od rana do wieczora; tylko sen dawał azyl ciekawszym sprawom. Żołnierze zabijali nudę ćwiczeniami na serio, lub miotając dla hecy śnieżkami, lub grając kośćmi, lub snując legionowe wspomnienia z dawnych bojów. Ja i Atenajos żartowaliśmy lub

dyskutowaliśmy, jednak i to się nudzi prędzej czy później. Któregoś dnia rudas mruknął:

- Idę się przejść, wracam za parę dzionków.

- Za parę dzionków? To gdzie chcesz łązić?

- Tam gdzie polecą Custos.

- A jak polecą ku ziemi Turyngów?

- To pójdę tam. Zresztą ziemia Turyngów nie tak blisko, wcześniej jest ziemia niczyja, Longobardowie mówią, że to szmat pustej ziemi. Idziesz?

- Idę! - zdecydowałem, bo nuda była gorsza niż strach.

Ptak poleciał, jak myślałem, w stronę rozległych rubieży bezpańskiej ziemi między domeną Turyngów i domeną Longobardów. Chcieliśmy ominąć las, ale wokoło wszędzie był las, więc wybraliśmy rzadszy, choć tam śnieg leżał głębszy, co nam jednak nie wadziło, bo mieliśmy dookoła stóp plecionki broniące buty od zapadania. Sporo czasu minęło nim uświadomiłem sobie pewien kłopot:

- Gdzie będziemy spać, bratku?

Mnich zamrugnął jak przebudzony i sapnął:

- Kocia noga!... Nie pomyślałem o spaniu w tym śniegu, tak już chciałem się wyrwać, dusiło mnie w tych ścianach...

- Wiesz co Marcipor mówi...

- Że źle? Nie jest tak źle, trochę zostało czasu do wieczora. Wracajmy szybko!

Wracaliśmy po własnych śladach, te jednak rychło zniknęły, zawiał je wiatr i przykrył tuman śniegu. Zgubiliśmy kierunek, błędziliśmy, wreszcie mnich krzyknął:

- Custos nas doprowadzi, ku niemu bacz!

Ale zadymka gęstniała i dało się widzieć ledwie na kilka kroków. Schroniliśmy się pod drzewem, żeby ją przeczekać, a gdy odeszła, było już ciemno.

- Widać gwiazdy! - ucieszył się mnich.

- Co ci to da?

- Strony świata, głupku! Teraz widzę kierunek, tam trzeba iść!

Deptaliśmy skrzypiący śnieg pod niebem pełnym gwiazd, wydmuchując z nozdrzy kłęby mroźnego powietrza, klnąc w duchu, a milcząc, by warg nie ślinić, gdyż lód mógłby je boleśnie okuć. I to te dymki z nosa, kiedy raptem zaniknęły, swą nieobecnością dały mi znak, że coś się zmieniło. Chwilę później dostrzegłem, iż śnieg robi się mokry, wodnisty, tworzy kałuże i odsłania trawę. Chwyciłem bark Atenajosa:

- Zobacz, rudy!

- Toć ślepy nie jestem! - pisnął.

Zdjęliśmy plecionki z butów, i z grzbietów futra, bo robiło się coraz cieplej, a wokół było coraz mniej śniegu. Wreszcie biel przepadła, jakby ją wiatry wymiotły, i kroczyliśmy pośród zieleni tak soczystej, jakby witała już lato. Ścieżka między szpalerami krzewów zaprowadziła nas do brzegu jeziora. Zobaczyliśmy małą przystań i kilka uwiązanych łodzi. Siedział tam człowiek gwizdzący dziwną melodyjkę, wciąż tę samą jej sekwencję. Był odwrócony tyłem, lecz kiedy pokazał nam swą twarz, rozpoznałem go bez trudu:

- Co tu robisz, sługo Valerianusa?

- Nie służę już Valerianusowi, czcigodny synu czcigodnego wodza, uciekłem.

- Zwiesz się Tryfon?

- Zwę się teraz Tryfon-przewoźnik. Życzycie sobie, bym was przewiózł do kasztelu?

Spojrzałem dalej i zobaczyłem na środku jeziora wyspę, którą prawie całą zajmowała jakaś budowla.

- Co tam jest? - spytał mnich.

- Tam jest wszystko - odparł Tryfon.

- Więc tam jest Qho, popłyniemy, Kaiusie.

Wsiadliśmy na łódź, którą Tryfon-przewoźnik pchnął wiosłem ku brzegom wyspy. Drewniane schody prowadziły tam od kładki przybrzeżnej do bramy w murze, gdzie zobaczyłem siedzącego Perktarita.

- Witajcie, szlachetny synu prześwietnego trybuna i szlachetny mnichu liczbożerco! - zawołał Perktarit. - Witajcie w Nolawie!

- Tak się mieni jezioro czy wyspa? - spytał Atenajos.

- Tak się też mieni kasztel wyspy, braciszku.

- Co tu robisz, longobardzki bałwochwalco?

- Pilnuję wejścia.

Teraz ja spytałem:

- Przed kim?

- Przed nikim, lecz każda brama winna mieć odźwiernego, sama się nie otworzy, młody człowieku.

- Winien to robić ktoś inny, a nie wieszczek-kapłan!

Perktarit uśmiechnął się:

- Właśnie dlatego dano mi tę pracę, że umiem wieszczyć. Gdy tu dotarłem, spytali mnie: ktom zac? Powiedziałem, iż jestem wróżem, świątynnym wieszczkiem, a wówczas oni spytali: co robi wieszczek? Wyjaśniłem, że wieszczek otwiera ludziom przyszłość. Natenczas stwierdzili, że jeśli umiem otwierać, to mogą mnie zatrudnić do otwierania, i tak zostałem tutaj odźwiernym. Odźwiernym bramy w Kasztelu Nolava - Kasztelu Czterech Kręgów.

- Jakie to kręgi, Perktaricie? - spytał Atenajos.

- Krąg medycyny, krąg wiary, krąg sztuki i krąg ciszy, mnichu. Mogę was oprowadzić, jeśli taka wasza wola.

Zaprowadził nas do wnętrza tej budowli drewnianej, która jednak miała podmurówkę kamienną. Znajdowały się tam cztery krużganki, a właściwie duże patia czy też dziedzińce wewnętrzne o kolistym kształcie i o pawimentach różnego rodzaju. Krąg wiary miał granitową podłogę i przypominał salę sądową, którą zresztą był. Kiedy pytaliśmy co robią ludzie skupieni tam wokół tęgiego dygnitarza, Perktarit wyjaśnił, że część to sędziowie, którzy sądzą bezbożnika, zaś część to jego obrońcy. Drugi krąg miał podłogę ceglana i rzędy amfiteatralnie wznoszących się ław, pełnych ludzi, którzy kłócili się tak wrzaskliwie, iż słyszałem nie dyskurs, lecz tumult. Był to krąg sztuki, a kłócono się na temat zależności sztuki rzymskiej od sztuki greckiej. Mnich został tam, bo to go ciekawiło, ja jednak znałem to już z klasztoru Felk (choć tu dyskutowali inni ludzie, o dziwo także niewiasty!), więc ruszyłem do kolejnego kręgu, gdzie miast twardej podłogi rosła trawa. W samym środku zobaczyłem płaski kamień. Leżał na nim goły człowiek, a wokół niego siedziało kilkanaście staruch i kilkunastu starców. Wyglądali jak nieboszczycy, którzy opuścili groby dla tego zebrania. Ich twarze emanowały wieczność. Mruczeli monotonnie, i nie była to żadna melodia, jeno chóralne przeciągłe mruczando, bardzo ciche, bez pomocy ust.

- Krąg medyków - objaśnił mi Perktarit.

Widząc, że mają puste dłonie i nic nie robią, tylko mruczają tudzież intensywnie wpatrują się w nagusa, zapytałem:

- Jak będą go leczyć?

- Już leczą.
- Czym, mruczeniem?
- Patrzeniem i skupieniem. Leczą go siłą woli.
- Samą siłą woli?
- Ummm.
- I wyleczą?

- To najskuteczniejsza terapia, chłopcze. Żadna siła nie sprosta sile woli. Trzeba tylko tę siłę kondensować, gromadząc ludzi, którzy promieniują.

W ostatnim kręgu ujrzałem młodych, dorosłych i starych mężczyzn siedzących naokoło wielkiego kamienia. Kamień medyków był płaski jak blat stołu, a ten był pękaty i wysoki jak skalna bryła, którą ktoś z gór zepchnął. Wokoło leżał czysty piach stanowiący pawiment. Nogi obecnych nurzały się w piachu nie bez satysfakcji. Wszyscy milczeli; to milczenie też sprawiało im radość. Nie przyglądali się sobie - wodzili oczami po kamieniu, ścianach i kolumnienkach, lub po chmurach, gdyż nad kręgiem nie było sufitu. Albo domykali oczy, robiąc błogie miny. Albo nie robili min, tylko dumali, rozważając coś, czy wspominając coś. Bił od nich tak kojący spokój, że i mnie udzieliła się atmosfera błogostanu. Szepnąłem:

- Więc to jest krąg ciszy...

- Istotnie, Kaiusie, to jest krąg milczenia - rzekł Perktarit. - Przychodzi się tu, aby wspólnie pomilczeć, poniemówić zbiorowo.

- Wrózu, dlaczego w tamtych trzech kręgach były kobiety, a tu nie ma żadnej?

- Jakoś nie chcą tu przychodzić, sam Wotan nie wie dlaczego. Tę zagadkę spróbuje rozwikłać krąg sztuki, kiedy tylko skończy dyskusję o wpływie płaskorzeźb greckich na reliefy Rzymu.

Wyszliśmy do biegnącego między kręgami korytarza. Błąkał się tu Atenajos, zmęczony już tumultem kłótni o sztukę Grecji i Rzymu. Chciał zobaczyć krąg medyków i krąg milczenia, więc rzekłem Perktaritowi, by go tam wziął, a ja poczekam w westybulu. Gdy czekałem, zjawiła się młoda dziewczka (prawie naga, bo miała tylko przezroczyste peplum), pytając:

- Chcesz zobaczyć krąg piąty, Kaiusie?

- Piąty?... Perktarit mówił, że to jest Kasztel Czterech Kręgów...

- Dla człowieka tak sędziwego jak on, dla spróchniałka, to jest kasztel czterech kręgów. Piąty, a właściwie pierwszy krąg, to krąg miłości cielesnej. Młode kapłanki tego kręgu pragną, byś je odwiedził. Pójdź!

Chwyciła moją dłoń i śmiejąc się pociągnęła mnie w głąb korytarza...

Młodzięcze halucynacje cielesności zawstydzają dziś mą duszę i peszą moje pióro. Są mi obce, niczym klejnoty bez żalu uronione do studni. Leżą na dnie pamięci i nie wabią swym fałszywym blaskiem. Może to i rodzaj kalectwa, chociaż prędzej rzecz normalna gdy się żyło cztery piąte wieku, i tym bardziej normalna gdy się wstąpiło do klasztoru dawnymi laty. Czemu czas i los miałyby mnie oszczędzać, jeżeli nie oszczędzają nikogo? Czyż wszystkie te białogłowy, które posiadałem za młodu, sterowany grzesznym instynktem, wybroniły przed bezwzględnością upływającego czasu swe żądze, swoje zamiłowanie do lubieżności (albo nawet sprośności) i swój cielesny powab? Tamta kapłanka bogini Wenery zdążyła już oswoić swą starczą samotność, jakże inną niż samotność młodej szafarki wdzięków, która uprawiając kultowy nierząd też żyje samotnie we własnym ciele, chociaż nie bez przerwy, gdyż coraz to dzieli swe ciało z przygodnym jego użytkownikiem. Chutliwa młodość była nam niby morze pełne czarownych wysp; płynęliśmy kołysani falami popędów, nie widząc lądu stałego, gdzie są cmentarze, a dzisiaj ten ocean zdaje się nam sadzawką. Kapłance miłości - maleńką, zbyt szybko przepłyniętą; mnie - płytką, zbyt podatną zwierzęcemu wyuzdaniu. Ceremoniał gaśnięcia w klasztornym kręgu ciszy - kręgu skupienia podczas wspólnych modlitw, i milczenia podczas wspólnych rozmyślań, a tym bardziej podczas odosobnień - ma tę wyższość nad rytuałem kopulacji, że prowadzi cię zew ducha, a nie zew organu wydalającego płyny cielesne. To autentyczna wolność. Tak właśnie spekulujemy, by zabić żal, iż nie wróci zwierzęca młodość - przymus zmysłów.

Czytałem wczoraj pogańskie pismo, ukryte pośród rzadko ruszanych pism klasztornej biblioteki. Myśli jedyne go cesarza, który umiał głębiej myśleć. Przerwał mi tę lekturę promień słońca, niespodziewany, gdyż tygodniami było chmurno. Zerknąłem ku oknu. Musiał chyba powiać ciepły wiosenny wiaterek, bo drobne witrażowe szybki odmarzły i zaczęły płakać. Marek Aureliusz bez złudzeń traktował miraż czarownych wysp młodego tudzież dojrzałego wieku, pisząc: „*Namiętność miłosna mną powodowała, a później ozdrowiałem*”. Mogę to rzec o sobie tymi samymi słowy. Zresztą słowami Marka Aurelega mógłbym prawić też o innych rzeczach czy ludziach, choćby o moim drugim ojcu, bo i Marek, i ja mieliśmy drugich ojców - każdego z nas adoptowano. Marka adoptował cesarz Antonin Pius, mnie trybun Fulwiusz. Antonina Marek tak charakteryzuje: „*Nikt nie wyraziłby się o nim, że był gadułą lub sofistą. Był mężem dojrzałym, niedostępnym pochlebstwu, zdolnym kierować sobą i drugimi też. Szanował ludzi godnych szacunku, lecz przy tym bez łatwowierności. Życzliwie traktował takich, co wymagali opieki, i takich, którym konieczna była pomoc. Miał przekonania tradycyjne, wedle wzorów, jakie przodkowie dali, ale nie puszył się nimi dla blasku. Potrafił wstrzymać się od tego, od czego większość ludzi wstrzymać się nie umie. Zachowywał siłę i trzeźwość właściwą mężom niezłomnym, o twardych duszach*”. Mogę też adresować refleksję Marka do wydarzeń, które spisywałem przez tyle miesięcy: „*Wszystko, od wieków, w podobny dzieje się sposób, i wciąż się powtarza. Na to samo patrzymy, patrząc na coś, co się działo sto lat temu, dwieście lat, dzisiaj, jutro i pojutrze, zawsze*”. Los ma czkawkę nieuleczalną, z lenistwa. Miast wymyślać zupełnie nowe trafy i charaktery - kopiuje stare wątki bez ustanku. A może nie przez lenistwo, tylko wskutek misjonarskiej obsesji? Jak artysta, który wciąż tworzy repliki, tłukąc dłutem bryłę, lub rymopis, który wciąż draży słowami wewnątrz jednego tematu, lub preceptor, który zmusza kolejne roczniki dziatwy, by kuły na pamięć starą melodię czy pierwotny dekalog, wierząc, iż jedynie w taki sposób da się ocalić resztki uniwersalnych prawd i zasad.



Jestem już zmęczony słowami, które tu kaligrafuję i które wzajemnie się przedrzeźniają, sumowane dla opowiedzenia tej historii z dawno minionych czasów, kiedy rozpierała mnie młodość. Nie jestem ukontentowany. Boję się, że opisałem drzewo, jego korę, gałęzie, liście, szerokość i smukłość, cały jego wygląd - a przecież chciałem opisać jego naturę wewnętrzną i te soki, które w nim płynęły, dając mu korzenie, wzrastanie i cały jego wygląd. Teraz, gdy muszę opisać już tylko jego zagładę, ręka mi drży... Zrobię to szybko, krótko, bez patosu i nie demonstrując bólu, piórem kronikarza. Zbyt długo pisałem.

Wtedy mieliśmy wrażenie, iż zima trwa zbyt długo. Rzadko działo się coś, co było przeciwnikiem nudy. Terencja urodziła córkę (dano jej imię: Arria). Zmarło, od chorób, dwoje ludzi: jedna słuźka i legionista Febus. Inny legionista, Marinus, został zabity przez kolegę, który mu podbierał miłośnicę, niemłodą już Gotkę, a Fulwiusz stracił mordercę bez litości. Mnich więcej czasu spędzał z małym Justusem niż ze mną. Sulpicjusz nawiedził mnie przez te kilka miesięcy tylko raz, Philomus dwukrotnie (za drugim razem stawiał się także Rufus i kłócili się co do dziwnej wróżby Perktarita, bo mój mistrz - wbrew twierdzeniu Regi, że chodziło o wyznawców Marsa, marsistów - przypuszczał, że mogło chodzić o wielbicieli cesarza-filozofa, Marka Aureliusza, marksistów). Pamiętam również dzień, kiedy zrozumiałem, iż ta męka zimowej nudy niebawem się skończy. Poranek był gnuśny, nijaki, niezdecydowany, jakby się wahał czy dalej spać mrozem, czy lepiej upić się odwilżą. Później świat zaczął się gwałtownie zmieniać. Wczesne deszcze dziurawić zaczęły powłoki starego śniegu od góry, gdy pierwsze kwiaty dziurawiły już od dołu. Roztopiały się i błotniły pola tudzież gościńce. Gruby szron spęłzył z gałęzi drzew, a ptactwo, jak oszalone, chóralnie wrzeszczało swoje hymny dla słońca i rymy dla nowego życia. Wtedy wypełziliśmy.

W ciągu kilku pierwszych dób wszystko było lustrem minionych wędrówek. Rankiem mgła, wieczorem dymy ognisk przesączały się do namiotów i pod plandeki wozów. U stóp trakt, u góry obłoki na błękiecie lub gwiazdy na czerni. Niedaleko wierzchołki sosen tarמושzone wiatrem, daleko przysypane ciszą wierzchołki skał. Wokoło rozległy obszar Ziemi Niczyjej i kwitnąca roślinność. Lecz im bliżej byliśmy górskich masywów, tym bardziej roślinność bladła, a temperatura spadała. Futra wróciły na grzbiety, a nozdrza koni i ludzi dymiły znowu. W górach bowiem panowała jeszcze zima, leżało sporo śniegu, więc wznoszący się gościńiec oddalał nas od wiosny. Sam trakt, pełen pośniegowej brei, nie sprawiał dużych kłopotów, jednak flankujące go zbocza lśniły bielą, która mogła gdzieś dalej zasypywać fragmenty szlaku. Gdy u stóp masywu droga się rozwidliła, zobaczyliśmy kamienny kopczyk, pal i ściervo jakiegoś zwierzęcia o czarnych kudłach, a wtedy przypomniałem sobie Hekate, i strach przewiercił mi serce grozą.

- Co się tak trzęsiesz? - spytał rudy.

Powiedziałem czego się boję, ale mnie wyśmiał, mówiąc, że chrześcijaninowi nie wolno ulegać pogańskiemu bajdurzeniu, głoszącemu siłę starych bóstw. Fulwiusz, gdy zwróciłem się do niego, nawet nie chciał słuchać. Milę dalej zarządził nocleg w kotlinie u stóp gór, bo już się zmierzchało.

Ze snu wybudził mnie skrzek ptaka, lub może zostałem szarpnięty przez Atenajosa. Wewnątrz furgonu było ciemno, lecz na zewnątrz jasno od poświaty księżycowej. Niebo pulsowało kropelkami gwiazdozbiorów. Mnich troczył swoje zawiniątka, a Custos siedział na kabłąku plandeki, panicznie

popiskując.

- Co się stało, rudy? - spytałem.

- Miałeś rację, czas wiać!

- Dlatego zabierasz klamoty, mnichu?

- Zabieram, bo mi się widzi, że już nie wrócę. Custos mnie przebudził. Siadł mi koło piersi i kwilił, pełen strachu. Słyszysz? Pogania nas!

- Jakich nas? Nigdzie nie idę!

- Gdybym wierzył, że ktoś pójdzie, zbudziłbym trybuna, ale co mu powiem, że ptak kwili ze strachu? Przynajmniej ty pójdź ze mną. Wziąłbym jeszcze Justusa, lecz Terencja nie da.

- Czego się boisz?

- Że wydarzy się coś złego, Kaiusie.

- Co?

- Nie wiem co się wydarzy, lecz wiem, iż Custos nie budziłby mnie bez powodu. Wdziewaj łachy i chodź!

- Zwariowałeś!

- Chodź ze mną przynajmniej do tych rozstajów, gdzie jest kopczyk, słup i kudły czarnego zwierza. Tam mnie pożegnasz i stamtąd wrócisz. To tylko jedna mila, nie zmęczysz się bardzo.

Uległem. Strażnikom pilnującym obozu rzuciłem:

- Wzmóście czujność, trybun jest niespokojny.

Przy kopczyku stanęliśmy gdy szarzało. Wtedy z za pleców usłyszałem potworny grzmot. Odwróciłem się i zobaczyłem widok godzien apokaliptycznego snu: białe zbocza gór waliły ku kotlinie, dymiąc niby bezkresna chmura, co zasnuwa całe niebo. Fale lawiny schodziły jedna po drugiej, było ich kilka, ostatnia szła już milcząco, nie dając huk. Później zrobiło się cicho i pył śnieżny opadał wolno jak mgła nad moczarem. Pierwsze promienie słońca liznęły drzewa, niezasypany fragment gościńca i ten zbiorowy grób, który pomieścił resztę glorii Rzymu. Ziściło się „*Ragnar@ók*” wieszczone przez barbarzyńców: „*Umarły Słońce i Księżyc, a przemarzniętą ziemię pokryła ciemność* „. Mnich wyszeptał zbielełymi wargami:

- Qho, Kaiusie...

Chciałem biec tam, lecz nogi grzęzły mi w hałdach śniegu, mowy nie było. Usłyszeliśmy

dochodzący z daleka płacz. „*Avis*” rozpoznał ten płacz:

- To Justus!

Stałem bezradny, póki płkanie dziecka nie ucichło, zastąpione przez szum wiatru. Nie wiedzieliśmy co czynić. Potem zjawili się górale i wzięli nas do siebie, a wkrótce któryś przyniósł wymarzonego Justusa.

- Weszliście tam gdzie leżą? - zapytał mnich.

- Weszliśmy - odparł góral, zdejmując plecionki z butów.

- Żyw kto jeszcze?

- Głęboko leżą, nic nie widać. Dzieciaka musiało cisnąć na wierzch, to przeżył. Doprowadziła nam to gockie szczenię jakowaś kobieta, tyż Gotka, ale chyba nie była pod lawiną. I zniknęła, czort ją wie gdzie.

„*Ptak*” pochylił się nad Justusem, pytając:

- Znasz tę panią co cię wzięła ze śniegu?

Mały kiwnął głową, że tak.

- To była Emilia, Justusie?

I znowu mały kiwnął główką, że tak.

Górale przywieźli nas do księcia Longobardów, Witfreda, gdzie czekaliśmy całą wiosnę aż górskie śniegi zupełnie stopnieją. Jednak okazało się, że lawina zmiotła ze zboczy mnóstwo gałęzi, drzew i ziemi, tedy niewiele ciał dało się wyszukać. Lecz truchło mego ojca dobyto spod farfocli wozu. Gdyby nie łańcuch i pancerz - nie zostałby rozpoznany. Pochowaliśmy go blisko siedziby króla Trygemina, który uważał to za swój honor. Przy wierzchołku kamienia nagrobnego małżonka Witfreda i Atenajos wbili krzyż. Ja już wyparłem się Boga - krzyż był mi obojętny. Nie było mi tylko obojętne (radowało mnie), że Hekate, pani zmarłych gwałtowną śmiercią i niepochowanych, częściowo przegrała, gdyż „*Soter*” dostał swój pochówek i swój grób wbrew jej intencji, a swój krzyż wbrew godłom jej nikczemnego kultu.

To już właściwie wszystko - cała historia mojej wędrówki u boku Fulwiusza, którą chciałem opowiedzieć. Moje dalsze życie nie jest warte pergaminu, który mi wydzielają. Wspomnę jeszcze tylko czemu znalazłem się w klasztorze, i dlaczego grób mego ojca został tu przeniesiony.

U Longobardów mieszkałem dwa lata. Następnym moim miejscem zamieszkania stał się Konstantynopol. Przybyłem tam z Justusem, Atenajosem i posłem Longobardów. Król Trygemin dał poselstwu eskortę wojskową, więc się nadarzyła okazja. Władający różnymi językami mnich szybko

zaczął robić w metropolii karierę urzędniczą, później dyplomatyczną, wreszcie dygnitarską. Ja zostałem jego sekretarzem. Custos przepadł, gdy wygasło zamięłowanie Atenajosa do samotnego szwendania się po pustkowiu, a wygasło, kiedy ciężki wóz trącił „Ptaka” i zgruchotał mu girę, czyniąc kuternogą. Justusa umieściliśmy w rodzinie bezdzietnych, bogatych rzemieślników. Zmężniawszy, został kancelistą administracji cesarskiej.

Moja bizantyjska wegetacja trwała trzynaście lat - trzynaście lat hazardu, papuziej tandety, bezbożności i rozpusty; wszystkie ladacznice Bizancjum znały moje ciało. Nikt jednak nie widział mnie pijanego - chociaż piłem, lecz nigdy na umór. Philomusus i Sulpicjusz ani razu już nie odwiedzili moich sennych rojeń. Wędrowki przez świat u boku Fulwiusza nie wspominałem prawie ani razu. Prawie, gdyż raz zadałem sobie pytanie: kiedy zrozumiał, że cały ten marsz jest bez sensu - bez „ostatniego legionu”? Być może wiedział to wcześniej niż ktokolwiek inny spośród nas, Rufusa nie wyłączając. Wreszcie: ani razu nie wstąpiłem do kościoła i nie westchnąłem do Pana Boga, nawet wówczas, gdy pewien rogal, mąż baby, którą uwiodłem, wbił mi sztylet w brzuch. Mówiono, że zemrę, lecz wykurowałem się po paru miesiącach słabowania.

Dzisiaj rozumiem, że uległem wówczas trzynastoletniemu zamroczeniu, które było jak ciemny tunel między młodością, pełną buńczucznych nadziei, a pełną refleksji dojrzałością. U wielu ludzi ten proces postępuje rytualnie: wolno, stopniowo, bez dramatycznych granic - rytmicznie odkładają się słoje lat, marzenia cicho przechodzą w zgorzknienia. Mrą rodzice, zawodzą druhowie, wikłają się plany, szwankuje ciało - czarna woda życia dyskretnie sączy się do szczelin mózgu, aby zamulić go boleścią na starość. Tymczasem ja, już przy progu dorosłości, zostałem gwałtownie przemieniony różdżką złego fatum - niczym młody królewicz z bajki - w brzydką żabę. Lawina momentalnie odebrała mi rozumność, religijność, wstrzemięźliwość, całe moje człowieczeństwo - wszystko. Miałem wrażenie napiętnowania, bo szok wzmogła pamięć o „*terramoto*”\* [\* - Trzęsienie ziemi (łac).], które ukradło mi rodziców, tudzież o pożarze, który ukradł mi Philomususa i Sulpicjusza, wreszcie o runięciu skarpy, które ukradło mi Regę. Katakлизmy kolejno mordowały bliskich mi ludzi. W tym upiornym łańcuchu lawina była kroplą przepełniającą czarę traумы. Żaba oszalała. Obraziła się na Fulwiusza, że ją zostawił samą sobie, i na Pana Boga, że do tego dopuścił, i na Los, że ją karze za winy niepopelnione. Dla rewanzu postanowiła żyć tak, jak złośliwe fatum chciało - życiem niekochającej nikogo, wstrętnej żaby. Praktykowałem ten najupiorniejszy rodzaj samotności, którym jest dystansowanie się od ludzi nurzaniem wewnątrz tłumu - wewnątrz ludzkiego błota. Ale wszystko się zmieniło, gdy epidemia rządziła w Konstantynopolu.

Nie bałem się tej straszliwej, budzącej powszechną panikę zarazy, gdyż nie bałem się śmierci. Od dawna, od bardzo dawna - od całych trzynastu... nie, więcej, od całych piętnastu lat. Sulpicjusz również nie wierzył w Boga i również nie bał się śmierci. Napisał, kilka tygodni przed śmiercią:

*„Dziś usłyszałem że*

*Do śmierci jest tylko życie*

*Nieskończona liczba wariantów*

*A raj wszędzie tam*

*Gdzie my go widzimy*

*Kiedy do śmierci jest tylko życie*

*Łzy za szybko*

*Związane z uśmiechem*

*Gdy rozumiemy ten prosty fakt*

*Że do śmierci jest tylko życie”.*

Ludzie umierali tysiącami - padali jak muchy. Umarł Justus. Umierał Atenajos. Pokryty wrzodami, cuchnący ropą, leżał prosząc jedynie o wodę. Siedziałem przy nim i moczyłem kompresy, aby chłodzić mu rozpalone czoło. Za oknem wiły się dymy stosów, na których kremowano zwłoki, i dymy ziół, którymi okadzano ulice. Chciał mnie przegnać:

- Wyjdź, pyrgaj stąd, głupku!
- Nie będę nigdzie pyrgał, nogi mnie bolą.
- Nie małpuj szlachetności Rufusa wobec Damiana!
- Nie kombinuj, nie wynajduj perswazji wedle Rufusa.
- Wolisz żyć, czy gnić?
- Rudy, daruj sobie swoje „wolisz”, to mnie już nie rozbawia.
- A co cię jeszcze rozbawia?
- Ta bidula śmierć.
- Dlaczego bidula?
- Bo chociaż chce, nie umie mnie przestraszyć.
- Wszystko ci jedno?
- Od dawna... Jeśli czegoś pragnę, to żebyś ty wyzdrowiał, „Ptaku”.
- Więc spróbuj!
- Co mam spróbować?

- Błagaj Boga o przedłużenie mi życia, Kaiusie.
- Nie ma Boga, Atenajosie.
- Mówi Psalmista: „*Rzekł głupiec w sercu swoim: nie ma Boga*”...
- Nie ma, jest tylko cyniczne fatum. I liczby pierwsze, ruda mord.

- Pamiętaj!... - westchnął, z trudem przywołując uśmiech. - Dzielą się przez jedynekę i przez siebie. Przez siebie podzieliłem już mój los, a Pan Bóg to Jedyńka, którą może wezwać ktoś inny.

- Ktoś wierzący, nie ja, „*Ptaku*”.

- Szkoda, że nie chcesz...

Nazajutrz gasł. Wyszeptał cichutko:

- Jeśli przeżyjesz, zabierz stąd „*Flagellum*”...

- „*Flagellum*”?! - krzyknąłem. - Ty masz „*Flagellum*”?! Gdzieś je znalazł?

- W tamtym kościółku nad jeziorem...

Przypomniałem sobie ów kościółek od razu. To było między Tergeste i Aquileą, kiedy Valerianus pojechał do Cimbera, rzekomo paktować z wrogami, ja zaś włóczyłem się blisko biwaku i znalazłem tę ruinę kościoła nad jeziorem, i te pełne gruzu schody kościelnej krypty, których nie chciało mi się forsować. Gdy Atenajos usłyszał, że doprowadził mnie tam Custos, pognął zobaczyć ruinę, odwalił gruz i wyniuchał „*Flagellum*” wewnątrz krypty. Przez całą resztę naszej drogi, i później przez piętnaście lat, trzymał Święty Bicz wśród swoich łańców. Mógł tą relikwią przyspieszyć sobie karierę, lecz może bał się Valerianusa rezydującego w Konstantynopolu, a może czekał na sposobniejszą chwilę, a może był duchem tak bardzo niezawisły, iż nie chciał się łączyć z nikim.

Rozwinałem szmatę i ujrzałem kańczug... Skórzane pasy, wieńczone kulkami ołowiu, pękały ze starości. Chwyciłem rękojęść i zadrzałem, jakby poraził mnie płomień pioruna. Nie zdołałbym opisać tego, co się wówczas ze mną działo. Myślę, że sfrunął Duch Święty, by dać mi ostatnią szansę. Klęknąłem przy łożu i powiedziałem patrząc w stronę okna:

- Chrystusie, uzdrów rudego, a ja będę cały Twój, będę Ci służył ze wszystkich sił, i będę Cię miłował póki nie wezwiesz mnie przed Sąd, który zważy głąz moich grzechów!

Kolejnego wieczora ropnie mnicha zaczęły maleć i schnąć. Kolejnego miesiąca Atenajos posłał mnie do nowego klasztoru, najdalej ku północy wysuniętego klasztoru rzymskich chrześcijan. Przybrałem imię: Sabinus. Czasem korespondujemy. Dwa razy był tutaj i modlił się za duszę „*Sotera*” u jego grobu, bo przenieśliśmy zwłoki z ziemi Longobardów, gdzie po śmierci króla

Trygmina włada Witfred, a Selmina jest królową. Trochę mi żal Atenajosa. Został wielkim dostojnikiem w Konstantynopolu, a że sam kiedyś mówił, iż „*dostojeństwo znieprawia* „- pewnie cierpi, jeśli zachował sumienie.

Dniem piszę (zresztą kończę już), a wieczorami wspominam. Siadam na tarasie kiedy ciemność zaczyna otulać klasztor. Barwy szarzeją coraz intensywniej, kształty rozplývają się w wilgoci mroku, gęstnieje cisza, słycać tylko szelesty drzew. Jest to ta godzina, gdy cienie robią się coraz dłuższe, mięknią i uchodzą w chłód nocy niby pustynne zjawy, a niewidoczny wiatr płynie z różnych kierunków - jakby sobie drwił. Daleko, u dna doliny, rozbłyskują ognie, rzucając wyzwanie gwiazdom...

Czasami myśli płaczą mi się, mylą się kamyki, mozaika faluje niby dywan oceanu. Kochanka-mara senna wabi mnie w swoje ramiona i odbiera logice całą trzeźwość. Szkoda, że Philomusus, jak również Sulpicjusz, przestali nawiedzać mnie nocami. Nęka mnie często inny sen: widzę Fulwiusza stojącego po kolana w wodzie morskiej, tak jak go widziałem kiedy blisko rzeki Atesis skręciliśmy ku Patavium. Później Fulwiusz znika, a na plażę wkracza kobieta, prowadząc dwójkę dzieci. Jeszcze później morski bałwan zmywa kobietę, a malcy - chłopiec i dziewczynka - bawią się górą piachu, formując dziwaczne gmaszysko. Nie wiem dlaczego śni mi się ów sen.

Wiem natomiast dlaczego spisałem tamtą marszrutę rzymskiej gromady u boku Fulwiusza: aby ci, którzy będą to czytać kiedyś, mogli zobaczyć swoich przodków. Aby ujrzeli sznur widm sunących przez taki sam świat, w poszukiwaniu takich samych wymarzonych spełnień, co się, jak zawsze, nie spełnią, lecz ważne jest czy maszerując byłeś istotą wierzącą w nadrzędność dobra. Które istnieć będzie - wbrew wszelkiemu złu władającemu ludzkością - póki ludzie będą chcieli się modlić i będą umieli marzyć.

Kiedym się spowiadał memu przeorowi, wyznałem, że za nikogo nie modłę się równie żarliwie, co za duszę i za zbawienie Fulwiusza. Przeor stwierdził, iż to lekki grzech. Gdyby spytał kim jest dla mnie Fulwiusz, nie powiedziałbym prawdy. Musiałbym bowiem rzec jako prawdę, iż jest dla mnie tym, czym był dla swego orszaku, Głosem w Ciemnościach, a takim może być wyłącznie Bóg, więc grzeszę bluźniąc.

Teraz czekam już tylko na własną śmierć. Chciałbym, żeby była senna. Archanioł konających wejdzie do mojej celi, stanie u nóg mego łoża i powie cicho:

- Twój czas, braciszku.

Ja zaś, widząc jego łagodne spojrzenie, uśmiechnę się do niego, westchnę ostatni raz ku Niebiosom, dziękując Bogu, i przymknę powieki.

Qho.

**KONIEC**